

Nowa trylogia islandzkiego mistrza kryminału, autora **MILCZENIA LODU**,
który już pierwszą powieścią wszedł do światowej czołówki
i zajął 1. miejsce w Amazonie, wyprzedzając Stiega Larssona.

RAGNAR JÓNASSON



CIEMNOŚĆ

Tom pierwszy
Trylogii HULDA
z bohaterką, uznaną
przez „The Sunday Times”
za jedną z najtragiczniejszych
we współczesnych kryminałach


AMBER



**RAGNAR
JÓNASSON**

CIEMNOŚĆ

Przekład
**ANDRZEJ JANKOWSKI
MAŁGORZATA STEFANIUK**



Redaktorka prowadząca serii kryminałów i thrillerów
psychologicznych
Małgorzata Cebo-Foniok

Korekta
Hanna Lachowska
Małgorzata Tarnowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© shaunl/iStockphoto

Tytuł oryginału
Dimma

DIMMA by Ragnar Jónasson
Copyright © 2015 Ragnar Jónasson
Published by agreement with Copenhagen Literary Agency ApS,
Copenhagen.

For the Polish edition
Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6823-1

Warszawa 2018. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysienki 58

Mojej matce

Wściekłość, jak piorun z piekła, wykręca wszystkie członki, rozpala w oczach morze ognia...

Biskup Jón Vídalín

DZIEŃ PIERWSZY

1

Jak mnie znalazłaś? – zapytała kobieta. Głos jej drżał, miała wystraszoną minę.

Komisarz Hulda Hermannsdóttir skupiła uwagę, chociaż jako stary fachowiec w tej branży wiedziała, że ze strony przesłuchiwanego może się spodziewać nerwowych reakcji, nawet jeśli nie mają nic do ukrycia. Rozmowa z policjantem w każdej sytuacji budzi strach, bez względu na to, czy to formalne przesłuchanie na komisariacie, czy nieformalna pogawędka, jak teraz. Siedziały zwrócone do siebie twarzami, w przyciasnej kawiarence obok stołówki dla personelu, w domu spokojnej starości w Reykjavíku, gdzie pracowała przesłuchiwana. Miała około czterdziestki, krótko przycięte włosy, zmęczoną twarz. Widać było, że denerwuje ją niespodziewana wizyta Huldy. Oczywiście, można było znaleźć zupełnie niewinne wytłumaczenie, ale Hulda była prawie pewna, że ta kobieta ma coś do ukrycia. Od tak wielu lat rozmawiała z podejrzanymi, że wyrobiła w sobie zdolność odkrywania, że ktoś próbuje jej mydlić oczy. Można by to nazwać intuicją, ale Hulda nie znosiła tego słowa. Uważała je za przejaw byle jakiej pracy policyjnej.

– Jak cię znalazłam...? – powtórzyła łagodnym tonem. – A nie chciałaś, żeby cię znalezione? – Przekręcała słowa kobiety, ale musiała jakoś podtrzymać rozmowę.

– Co? Tak...

W kawiarence czuć było kawę – trudno było nazwać to aromatem – w ciasnym, ciemnym pomieszczeniu stały byle jakie meble, jak to w ośrodkach państwowych.

Kobieta trzymała rękę na stole. Kiedy znów podniosła ją do policzka, pozostał po niej wilgotny ślad. W innej sytuacji Hulda byłaby zadowolona z takiego wymownego znaku, że znalazła winną, ale teraz nie czuła satysfakcji.

– Muszę cię zapytać o wypadek, który miał miejsce w ubiegłym tygodniu – powiedziała po krótkiej przerwie. Jak zwykle mówiła trochę pospiesznie, przyjaznym i optymistycznym tonem. Był częścią jej pozytywnego wizerunku zawodowego, nawet kiedy zajmowała się trudnymi sprawami, takimi jak ta. Sama, kiedy była wieczorami w domu, stawiała się zaprzeczeniem tej postaci, poddając się zmęczeniu i depresji.

Kobieta skinęła głową: najwyraźniej wiedziała, co zaraz nastąpi.

– Gdzie byłeś w piątek rano?

Odpowiedź była natychmiastowa.

– W pracy, o ile pamiętam.

Huldzie niemal ulżyło, że kobieta nie odda wolności bez walki.

– Jesteś pewna? – zapytała. Patrząc uważnie, jaka będzie reakcja na te słowa, rozparła się na krześle i założyła ręce na piersi, przyjmując swoją zwyczajną pozycję podczas przesłuchań. Można by pomyśleć, że chce się bronić albo że brakuje jej empatii. Bronić się? Pozór. Chodziło o to, żeby ręce jej nie przeszkadzały, kiedy musi się skupić. Co do braku empatii, nie musiała bardziej angażować się emocjonalnie, niż wynikało to z jej natury: praca zebrała z niej swoje żniwo. Wiedziała, że prowadzi śledztwa uczciwie i tak zapamiętała, że graniczyło to z obsesją.

– Jesteś pewna? – powtórzyła. – Bez trudu możemy to sprawdzić. Nie chcesz, żeby przyłapano cię na kłamstwie.

Kobieta nic nie powiedziała, ale widać było, że jest zaniepokojona.

– Samochód przejechał człowieka – powiedziała Hulda rzeczowym tonem.

– Och?

– Tak, musiałaś o tym czytać w gazetach albo widzieć w telewizji.
– Co? A, może. – Po krótkim milczeniu kobieta dodała: – Jak on się czuje?

– Przeżyje, jeśli to chcesz ze mnie wydobyć.

– Nie, naprawdę nie... ja...

– Ale nigdy nie dojdzie zupełnie do zdrowia. Nadal jest w śpiączce. Więc wiesz, że zdarzył się ten wypadek?

– Ja... ja musiałam o tym czytać...

– W gazetach o tym nie pisano, ale ten człowiek był pedofilem po odsiadce.

Kobieta nie reagowała, więc Hulda mówiła dalej.

– O tym musiałaś wiedzieć, kiedy go przejechałaś.

Nadal brak reakcji.

– Przed laty skazano go na więzienie. Już swoje odsiedział.

Kobieta weszła jej w słowo.

– Dlaczego myślisz, że mam z tym coś wspólnego?

– Jak mówiłam, swoje odsiedział. Ale podczas śledztwa odkryliśmy, że mimo to nie przestał. Widzisz, mamy powody, by uważać, że wypadek, po którym sprawca zbiegł, nie udzielając pomocy, wcale nie był wypadkiem, więc przeszukaliśmy mieszkanie pedofila, żeby znaleźć prawdopodobny motyw. Wtedy znaleźliśmy wszystkie te zdjęcia.

– Zdjęcia? – Kobieta wyglądała teraz na mocno zszokowaną. – Jakie zdjęcia? – wstrzymała oddech.

– Dzieci.

Widać było, że kobieta rozpaczliwie chce dowiedzieć się więcej, ale się powstrzymuje.

– W tym twojego syna – dodała Hulda, odpowiadając na pytanie, które nie padło.

Po twarzy kobiety zaczęły spływać łzy.

– Zdjęcia... mojego syna – wyjąkała, a jej oddech zamienił się w

łkanie.

– Dlaczego nie zgłosiłaś tego człowieka na policję? – zapytała Hulda, starając się, żeby nie zabrzmiało to jak oskarżenie.

– Co? Nie wiem. Oczywiście, powinnam to zrobić... Ale zrozum, myślałam o nim. Myślałam o synu. Nie mogłam znieść, że mu to zrobię. Musiałby... powiedzieć o tym ludziom... zeznawać w sądzie. Może to była pomyłka...

– Przejechanie człowieka? Tak, to była pomyłka.

Po chwili wahania kobieta znów zaczęła mówić.

– Cóż... tak... ale...

Hulda czekała, chciała, żeby cisza potrwała dłużej, żeby kobieta wreszcie zaczęła zeznawać. Ale nie wykorzystywała umiejętności, które zdobyła, rozwiązując zagadki kryminalne. Zazwyczaj starała się być coraz lepsza w swoim fachu i była dumna z liczby trudnych przypadków, które przez lata rozwiązała. Teraz miała problem; wcale nie była przekonana, że siedząca przed nią kobieta to prawdziwa winowajczyni, chociaż jej wina nie podlegała dyskusji. Była raczej ofiarą.

Kobieta nie była w stanie powstrzymać szloch. Znów zaczęła mówić.

– Ja... obserwowałam... – za bardzo dławily ją łzy, żeby mogła mówić dalej.

– Obserwowałaś go? Mieszkasz w tej samej okolicy, prawda?

– Tak – wyszeptała kobieta. Już się opanowała, złość nagle dodała jej siły. – Nie byłam w stanie znieść myśli, że on nadal będzie to robił. Ciągle budziłam się z koszmarów, śniło mi się, że wybrał kolejną ofiarę. I... i... to wszystko z mojej winy, bo nie zgłosiłam sprawy. Rozumiesz?

Hulda pokiwała głową. Jasne, że rozumiała.

– Potem zauważyłam go przy szkole. Właśnie podwiozłam syna. Zaparkowałam i obserwowałam go – rozmawiał z paroma

chłopcami. Miał na twarzy ten... obleśny uśmiezek. Przez jakiś czas włączył się wokół placu zabaw, a ja wściekałam się. Nie przestał – ludzie tacy jak on nigdy nie przestają. – Otarła policzki, ale łzy nadal spływały jej po twarzy.

– Zgadza się.

– Niespodziewanie pojawiła się okazja. Kiedy oddalił się do szkoły, pojechałam za nim. Przeszedł przez jezdnię. Wokół nikogo nie było, nikogo, kto mógłby mnie zobaczyć, więc tylko nacisnęłam gaz. Nie wiem, co myślałam... chyba w ogóle nie myślałam. – Rozplakała się głośno, ukryła twarz w dłoniach. Wreszcie roztrzęsionym głosem znów zaczęła mówić. – Nie chciałam go zabić i chyba nie zabiłam. Byłam po prostu wystraszona i zła. Co teraz ze mną będzie? Nie mogę... nie mogę pójść do więzienia. Jest nas tylko dwoje, syn i ja. Jego ojciec do niczego się nie nadaje. Nie ma mowy, żeby go zabrał do siebie.

Hulda wstała bez słowa i położyła rękę na ramieniu kobiety.

Młoda matka stała przy szybie i czekała. Jak zwykle ubrała się na tę wizytę najlepiej jak mogła. Jej najlepszy płaszcz wyglądał na trochę sfatygowany, ale pieniędzy było mało, więc musiał jej wystarczyć. Zawsze kazali jej czekać, jakby chcieli ją ukarać, przypomnieć o błędzie i dać szansę, żeby przyjrzała się swoim potknięciom. Co gorsza, na dworze padało i płaszcz był wilgotny.

Minęło parę minut, które w milczeniu ciągnęły się jak wieczność, zanim pielęgniarka niosąca dziewczynkę weszła wreszcie do sali. Matce mocno zabiło serce, jak zawsze, kiedy widziała córeczkę przez szybę. Zalała ją fala depresji i rozpacz, ale dzielnie spróbowała to ukryć. Chociaż dziecko miało tylko pół roczku i na pewno nie zapamięta niczego z tej wizyty, matka instynktownie czuła, jakie to ważne, żeby wszystkie wspomnienia były pozytywne, a te wizyty wyglądały na pełne szczęścia.

Ale dziecko nie wydawało się szczęśliwe, co gorsza, prawie nie reagowało na kobietę po drugiej stronie szyby. Patrzyło na nią jak na kogoś obcego: dziwną kobietę w wilgotnym płaszczu, której jeszcze nigdy nie widziało. A przecież tak niedawno spoczywało w ramionach matki na oddziale położniczym.

Kobiecie pozwolono na dwie wizyty w tygodniu. To nie wystarczało. Za każdym razem, kiedy przychodziła, wyczuwała, że dystans rośnie: tylko dwie wizyty w tygodniu i szyba między nimi.

Matka próbowała powiedzieć coś do córki przez szklaną taflę. Wiedziała, że dźwięk przez nią przeniknie, ale czy słowa dadzą coś dobrego? Dziewczynka była za mała, żeby je zrozumieć. Matka powinna ją ukołysać w ramionach.

Walcząc ze łzami, kobieta uśmiechała się do córki, mówiła cichym

głosem, jak ją kocha.

– Jedz dużo – powiedziała. – Bądź grzeczna dla pielęgniarek. – Ale naprawdę chciała zbić szybę i wyrwać dziecko z ramion pielęgniarki, przytulić je mocno i już nie puścić.

Nie zdając sobie z tego sprawy, podeszła blisko szyby. Postukała w nią cicho i na ustach dziewczynki pojawił się uśmiezek, który stopił serce matki. Pierwsza łza spłynęła jej po policzku. Zastukała trochę głośniej, ale dziecko wzdrygnęło się i też zaczęło płakać. Matka nie mogła się powstrzymać, zaczęła walić w szybę coraz głośniej i krzyczeć:

– Dajcie mi ją, chcę dostać swoją córkę!

Pielęgniarka wstała i szybko wyszła z pomieszczenia razem z dzieckiem, ale nawet wtedy matka nie mogła powstrzymać się przed waleniem i krzykiem.

Nagle poczuła rękę na swoim ramieniu. Przestała uderzać w szkło i popatrzyła na starszą kobietę, która za nią stała. Już wcześniej się spotkały.

– Cóż, wiesz, że to nic nie da – powiedziała łagodnie kobieta. – Nie możemy pozwolić, żebyś podczas wizyt robiła takie zamieszanie. Wystraszysz córeczkę.

Te słowa odbiły się echem w głowie matki. Już je słyszała: w interesie dziecka było, żeby nie powstały zbyt mocne więzy z matką, to sprawiłoby, że czas między odwiedzinami tym trudniej byłoby przeczekać. Musi zrozumieć, że to dla dobra jej córki.

Nie miało to dla niej sensu, ale udawała, że rozumie, bojąc się, że w ogóle zabronią jej wizyt.

Kiedy znów wyszła na deszcz, postanowiła nie mówić córce o tych czasach, kiedy znów będą razem, o szybie i wymuszonej separacji. Mogła tylko mieć nadzieję, że dziewczynka nie będzie tego pamiętała.

Dochodziła szósta, kiedy Hulda skończyła przesłuchanie. Poszła prosto do domu. Potrzebowała czasu, żeby przemyśleć kolejne kroki.

Nadchodziło lato i dni robiły się dłuższe, ale nie było śladu słońca, tylko deszcz i deszcz.

W jej pamięci zachowały się cieplejsze i jaśniejsze, skąpane w słońcu letnie miesiące. Tak wiele wspomnień: doprawdy, za dużo ich było. To niewiarygodne, że dobija do sześćdziesiątego piątego roku życia. Nie czuła, żeby była już w połowie siódmego krzyżyka, z siedemdziesiątką mającą na horyzoncie.

Zaakceptowanie własnego wieku to jedno, zaakceptowanie przejścia na emeryturę drugie. Ale nie sposób tego uniknąć, będzie żyła z emerytury. Nie wiedziała, jak powinien czuć się ktoś w jej wieku. Jej matka była stara, już kiedy miała sześćdziesiątkę, a może i wcześniej, ale teraz, kiedy nadeszła kolej na Hulde, nie widziała prawdziwej różnicy między wiekiem czterdziestu czterech a sześćdziesięciu czterech lat. Może ostatnio miała trochę gorszą kondycję, ale trudno było to zauważyć. Wzrok nadal całkiem dobry, chociaż słuch już nie taki, jak bywało.

Była w dobrej formie: przyczyniło się do tego umiłowanie wypraw turystycznych. Miała nawet zaświadczenie dowodzące, że nie jest stara. „Jesteś w doskonałej formie”, powiedział młody lekarz – znacznie za młody, żeby być lekarzem, rzecz jasna – podczas ostatniego badania. A naprawdę powiedział: „W doskonałej formie, jak na twój wiek”.

Trzymała figurę, a krótko obcięte włosy nadal miała czarne, bez farbowania. Tu i ówdzie pojawiło się kilka siwych włosów. Dopiero kiedy spojrzała w lustro, widziała spustoszenia dokonane przez

czas. Czasem nie mogła uwierzyć własnym oczom, jakby odbicie przedstawiało kogoś obcego, kogoś, kogo nie bardzo rozpoznaje, chociaż twarz jest znajoma. Tu i ówdzie zmarszczki, torby pod oczami, obwisła skóra. Kim jest ta kobieta i co robi w lustrze Huldy?

Siedziała w wygodnym fotelu, który należał do matki, i wyglądała przez okno salonu. Widok nie był zachwycający, można było się go spodziewać po czwartym piętrze magistrackiego bloku.

Nie zawsze tak było. Czasami pozwalała sobie na przemijającą nostalgię za dawnymi latami, za życiem rodzinnym w domu nad morzem, w Álftanes. Pozwalała sobie na wspomnienia. Śpiew ptaków był tam znacznie głośniejszy i natarczywy, wystarczyło wyjść do ogródka, żeby znaleźć się bliżej natury. Bliskość morza sprawiała oczywiście, że było tam wietrznie, ale świeże oceaniczne powietrze, choćby zimne, było dla Huldy kołem ratunkowym. Miała zwyczaj stawać na brzegu pod domem, zamykać oczy, wypełniać umysł dźwiękami natury – hukiem fal, krzykiem mew – i po prostu oddychać.

Lata tak szybko przeleciały. Dopiero co została matką, dopiero co wyszła za mąż. Ale kiedy zaczynała liczyć lata, docierało do niej, że minęło pół życia. Czas był jak harmonia: to ściśnięty, to znów rozciągnięty w nieskończoność.

Wiedziała, że będzie jej brakowało pracy, chociaż czuła się pokrzywdzona, że nie doceniano jej talentu, mimo że tak często tłukła głową o szklany sufit.

Prawda była taka, że bała się samotności. Ale na horyzoncie majaczył potencjalny jasny punkcik. Nadal nie wiedziała, dokąd zmierza jej przyjaźń z mężczyzną z klubu pieszych wędrówek, lecz możliwości, które się otwierały, były zarówno kuszące, jak i niepokojące. Odkąd owdowiała, była mniej lub bardziej singielką i z początku nie robiła nic, żeby zachęcać zalotników. Ciągle myślała o przywarach związków i martwiła się o swój wiek, chociaż to nie było

w jej stylu. Zazwyczaj robiła, co mogła, żeby o tym zapomnieć, myślała o sobie jako o kobiecie z młodością w sercu. Ale tym razem liczba – sześćdziesiąt cztery! – wchodziła jej w drogę. Ciągle zadawała sobie pytanie, czy to naprawdę dobry pomysł, zacząć nowy związek w tym wieku, ale wkrótce zdała sobie sprawę, że to tylko pusta wymówka, żeby uniknąć ryzyka. Bała się i tyle.

Cokolwiek by się stało, Hulda była gotowa przyjąć to powoli. Nie było sensu przyspieszać biegu spraw. Lubiła go i bez trudu była w stanie wyobrazić sobie, że spędzi z nim swoje ostatnie lata. To nie była miłość – zapomniała, jak to jest być zakochanym – ale miłość nie była jej potrzebna. Mieli wspólną pasję, długie wycieczki, co nie musiało trwać wiecznie, i lubiła jego towarzystwo. Ale wiedziała, że jest jeszcze jeden powód, że zgodziła się na kolejne spotkanie. Uczciwie mówiąc, wiszcząca nad nią emerytura była czynnikiem decydującym: nie potrafiła pogodzić się z tym, że będzie się starzeć samotnie.

E-mail zaniepokoił Huldę, chociaż prośba wydawała się całkiem prosta. Szef chciał się z nią widzieć z samego rana, żeby omówić sprawy. E-maila wysłano poprzedniego wieczora, co samo w sobie było niezwykle, a zupełnie niepodobne do szefa było „omawianie spraw” właśnie z nią. Hulda przyzwyczała się już do tego, że szef prowadził nieformalne poranne zebrania, ale sama nigdy nie bywała na nie zapraszana. To nie były zebrania robocze, raczej tworzenie więzów między chłopakami, a ona z całą pewnością nie należała do ich bandy. Mimo wszystkich lat na stanowisku wymagającym odpowiedzialności, nadal miała wrażenie, że jej zwierzchnicy nie do końca jej ufają. To samo dotyczyło zresztą jej podwładnych. Kierownictwo nie mogło całkowicie jej pomijać w promocjach, ale w końcu dotarła do ściany. Awanse, o które się starała, nieustannie trafiały w ręce młodszych kolegów. Mężczyzn. W końcu zaakceptowała to, co nieuchronne. Zamiast ubiegać się o kolejne laury, ograniczyła się do jak najlepszej pracy na stanowisku komisarza.

Szła więc z pewnym niepokojem do gabinetu Magnúsa. Niezwłocznie odpowiedział na jej pukanie, ale Hulda miała wrażenie, że jego przyjacielskość jest całkowicie powierzchowna.

– Huldo, usiądź, proszę – powiedział, a ona najeżyła się na nutkę protekcyjności w jego głosie, choćby i nieświadomą.

– Mam mnóstwo spraw – powiedziała. – Czy to coś ważnego?

– Usiądź, proszę – powtórzył. – Musimy trochę pogawędzić o twoim położeniu. – Magnús niedawno przekroczył czterdziestkę, szybko wspinał się po drabinie policyjnych awansów. Był wysoki, wyglądał zdrowo, chociaż niezwykle chudo jak na mężczyznę w jego

wieku.

Usiadła, serce w niej zamarło. O jej położeniu?

– Niewiele ci zostało – zaczął z uśmiechem Magnús.

Hulda nic nie powiedziała, więc odchrząknął i znów zaczął, trochę niezdarnie. – Chodzi mi o to, że to twój ostatni rok z nami, prawda?

– Tak, zgadza się – odparła z wahaniem. – Przechodzę na emeryturę pod koniec roku.

– Właśnie. Rzecz w tym... – Przerwał, jakby starannie dobierał słowa. – Jest młody człowiek, który dołączy do nas w przyszłym miesiącu. Naprawdę dobry policjant.

Hulda nadal nie była pewna, do czego zmierza ta rozmowa.

– Przejmie twoje sprawy – mówił dalej Magnús. – Mamy ogromne szczęście, że go dostaliśmy. Mógł wyjechać za granicę albo przejść do sektora prywatnego.

Jakby dostała cios w brzuch.

– Co? Przejmie moje sprawy? Co... co chciałeś przez to powiedzieć?

– Przejmuje twoje stanowisko i twój gabinet.

Huldę zamurowało. W głowie zaczęła się gonitwa myśli.

– Kiedy? – zapytała ochryplym głosem, gdy znów była w stanie mówić.

– Za dwa tygodnie.

– Ale... ale co będzie ze mną? – Informacja ją znokautowała.

– Możesz już odejść. W tej chwili. I tak niewiele czasu ci zostało. To tylko kwestia przeniesienia twojego przejścia na emeryturę o kilka miesięcy.

– Odejść? W tej chwili?

– Tak. Z zachowaniem prawa do pełnej wypłaty. Nie zostałam wyrzucona, Huldo, po prostu bierzesz kilkumiesięczny urlop, potem przechodzisz bezpośrednio w stan spoczynku. To nie wpłynie na sumę, jaka będzie ci wypłacana. Nie masz co się dziwić. Propozycja jest w porządku. Nie mam zamiaru źle cię potraktować.

– W porządku?

– Oczywiście. Będiesz miała więcej czasu na swoje hobby. Więcej czasu na... – Jego mina zdradzała, że nie ma pojęcia, co Hulda robi w czasie wolnym. – Więcej czasu dla... – Znów urwał w połowie zdania. Powinien wiedzieć, że Hulda nie ma rodziny.

– Miło z twojej strony, że to proponujesz, ale nie chcę wcześniej iść na emeryturę – powiedziała z chłodem Hulda, próbując utrzymać kamienny wyraz twarzy. – Ale i tak dziękuję.

– Właściwie to nie była propozycja: już podjąłem decyzję. – Głos Magnúsa zrobił się twardszy.

– Decyzję? Więc nie mam nic do powiedzenia?

– Przykro mi, Huldo, potrzebujemy twojego gabinetu.

I młodszego zespołu, pomyślała.

– To tak mi dziękujecie? – Słyszała drżenie w swoim głosie.

– Ależ nie przyjmuj tego tak źle. To nie ma nic wspólnego z twoimi umiejętnościami. Daj spokój, Huldo. Wiesz, że jesteś jedną z najlepszych w policji... oboje to wiemy.

– Ale co ze sprawami, które prowadzę?

– Większość już przekazałem innym kolegom. Zanim odejdiesz, możesz usiąść z tym nowym i przedstawić mu, jak sprawy się mają. Najpoważniejsze, co teraz prowadzisz, to ucieczka kierowcy z miejsca wypadku po przejechaniu pedofila. Jakies postępy w tej sprawie?

Myślała przez chwilę. Bardzo podbudowałoby jej miłość własną, gdyby wypaliła z grubej rury: sprawa zamknięta, przyznanie się w teczce. Kobieta w chwili szaleństwa wzięła wymiar sprawiedliwości w swoje ręce, żeby uchronić inne dzieci przed szponami dręczyciela. Może i była w tym jakaś sprawiedliwość, sprawiedliwa odpłata...

– Obawiam się, że w tej sprawie daleko mi do końca – powiedziała po chwili milczenia. – Skoro pytasz, to to był prawdopodobnie wypadek. Radziłabym odłożyć na jakiś czas sprawę na półkę i mieć

nadzieję, że kierowca wpadnie w odpowiednim czasie.

– Cóż, zgoda. No dobrze, niech będzie. Pod koniec roku urządzimy małe przyjęcie na twoją cześć, kiedy nadejdzie czas formalnego przejścia w stan spoczynku. Ale bądź łaskawa już teraz zabrać swoje rzeczy z biurka.

– Chcesz, żebym odeszła... już dzisiaj?

– Oczywiście, jeśli się zgodzisz. Ale jeśli wolisz, możesz zostać jeszcze na kilka tygodni.

– Tak, proszę – odparła, natychmiast żałując tego „proszę”. – Odejdę, kiedy nowy zacznie, ale do tego czasu nadal będę pracowała nad moimi sprawami.

– Jak już mówiłem, wszystkie zostały przydzielone innym. Ale cóż, chyba możesz zająć się jakąś starą sprawą. Czymś, co cię zacieka. Co ty na to?

Poczuła impuls, żeby wstać, wyjść z wściekłością i więcej tu nie wracać, ale nie chciała dawać mu tej satysfakcji.

– Doskonale, tak zrobię. Dowolna sprawa. Która mi się spodoba?

– Hm, tak, jak najbardziej. Weźmiesz, co zechcesz. Cokolwiek, czym chciałabyś się zająć.

Hulda odniosła bardzo mocne wrażenie, że Magnús chce pozbyć się jej z gabinetu bez pożegnania i podziękowań.

Jakoś dotarła do swojego gabinetu. Była w szoku. Miała wrażenie, że wylano ją z pracy, że wyleciała z hukiem, jakby lata jej służby nie były nic warte. To było zupełnie nowe doświadczenie. Wiedziała, że reaguje za mocno, że nie powinna tak do tego podchodzić, ale nie potrafiła pozbyć się bólu w dołku.

Usiadła za biurkiem i patrzyła obojętnie na ekran monitora, brakowało jej energii, żeby włączyć komputer. Gabinet, który do tej pory był jej drugim domem, nagle zaczął być obcy, jakby nowy właściciel już objął go w posiadanie. Stare krzesło stało się niewygodne, brązowe, drewniane biurko wyglądało na podniszczone i sfatygowane, dokumenty nie miały już dla niej znaczenia. Nie była w stanie znieść myśli, że pobędzie tu choćby minutę dłużej.

Potrzebowała jakiejś odmiany, czegoś, co oderwałoby jej myśli od tego, co się stało. Więc może najlepiej byłoby wziąć Magnúsa za słowo i przekopać się przez teczki ze starymi sprawami? Hulda nie musiała się zastanawiać: był nierozwiązany przypadek, który aż krzyczał, żeby wznowić śledztwo.

Pierwsze dochodzenie prowadził jeden z jej kolegów – ona dowiadywała się o postępach śledztwa z drugiej ręki – ale to mogło działać na jej korzyść, bo dawało świeże podejście do dowodów.

W sprawie chodziło o niewyjaśnioną śmierć, która pozostanie nierozwiązana, chyba że znajdą się nowe dowody. Może stanie się to zamaskowanym błogosławieństwem, ukrytą okazją. Nie było nikogo, kto mógłby wstawić się za zmarłą, ale Hulda, choćby na krótko, mogła wziąć na siebie rolę jej orędowniczki. W dwa tygodnie można wiele zdziałać. Nie towarzyszyła jej nadzieja, że rozgryzie tę

sprawę, ale warto było spróbować. Co więcej, miałyby jakiś cel. Co do jednego nie miała wątpliwości: codziennie będzie przychodziła do pracy, póki „młody człowiek” jej stąd nie wywali. Pomyślała, że mogłaby napisać oficjalny protest do wydziału zasobów ludzkich o tym, jak ją potraktowano, i zażądać pozostawienia jej w pracy do końca roku, ale przecież miała czas na zastanowienie. W tej chwili chciała skupić energię na czymś bardziej pozytywnym.

Najpierw przejrzała teczkę sprawy, żeby odświeżyć sobie szczegóły. Ciało młodej kobiety znaleziono w ciemny, zimowy poranek w skalistej zatoczce na Vatnsleysuströnd, z rzadka zaludnionym odcinku półwyspu Reykjanes, jakieś trzydzieści kilometrów na południe od Reykjavíku. Hulda nigdy nie była nad tą zatoczką, nie miała powodu, żeby tam się wybrać, ale znała okolicę, bo często tamtędy przejeżdżała po drodze na lotnisko. Był to smętny, wietrzny zakątek kraju, pozbawione drzew pola lawy, niedające osłony przed burzami, które regularnie przechodziły znad Atlantyku na południowy zachód.

Ponad rok minął od wypadku, który zatarł się w pamięci ogółu. Ale i wtedy nie przyciągnął zbyt wielkiego zainteresowania mediów. Dano sobie spokój po zwyczajnych informacjach, że znaleziono ciało: reflektor prasy skierował się w inną stronę. Choć Islandia to jeden z najbezpieczniejszych krajów na świecie, z zaledwie dwoma morderstwami rocznie – a czasem nawet bez morderstw – przypadkowa śmierć zdarzała się znacznie częściej i zdaniem dziennikarzy nie była warta zachodu.

To nie brak zainteresowania ze strony mediów martwił Huldę, niepokoiło ją podejrzenie, że kolega z wydziału kryminalnego, który zajmował się tą sprawą, winien był zaniedbań. Alexander: nie miała zaufania do jego umiejętności. Według niej nie był ani sumienny, ani specjalnie bystry i trzymał się swojego stolka w wydziale tylko dzięki mieszance uporu i pleców. Prościej stawiając sprawę,

powinna zostać promowana powyżej jego stanowiska – wiedziała, że jest od niego bardziej inteligentna, skrupulatna i doświadczona – ale mimo to utknęła w starych koleinach. Czasami nie potrafiła oprzeć się zgorzknieniu. Dałaby wszystko, żeby wkroczyć do akcji i wyrwać sprawę detektywowi, który najwyraźniej nie dorastał do swojej pozycji zawodowej.

Brak entuzjazmu Alexandra do śledztwa był rażąco widoczny na zebraniach zespołu, kiedy znużonym głosem, z wysiłkiem, przedstawiał jakiś dowód wskazujący na przypadkową śmierć. Hulda odkryła teraz, że jego sprawozdanie było niechlujną robotą. Zawierało byle jakie podsumowanie wyników sekcji zwłok, ze zwyczajową klauzulą, że jeśli zwłoki wyrzuciło morze, nie sposób stwierdzić, czy śmierć nastąpiła w wyniku przestępstwa. Nie było się co dziwić, że z tego śledztwa nie wynikało nic użytecznego, a dochodzenie odłożono na półkę ze względu na „pilniejsze” sprawy. Hulda nie mogła nie pomyśleć, że podejście mogłoby być inne, gdyby młodą kobietą okazała się Islandka. Czy śledztwo trafiłoby w ręce bardziej kompetentnego detektywa, gdyby opinia publiczna podnosiła wrzawę i domagała się wyników?

Zmarła miała dwadzieścia siedem lat, czyli tyle, ile miała Hulda, kiedy urodziła córkę. Załedwie dwadzieścia siedem: znacznie za młoda, żeby stać się przedmiotem policyjnego śledztwa, które zostało zamknięte i nikt nie był zainteresowany, żeby je otwierać. Nikt poza Huldą.

Według raportu anatomopatologa dziewczyna utonęła w słonej wodzie. Urazy głowy wskazywały, że prawdopodobnie wcześniej padła ofiarą przemocy, ale z równym prawdopodobieństwem mogła się potknąć, przewrócić i spaść do morza.

Ofiara miała na imię Elena, pochodziła z Rosji i ubiegała się o azyl. W Islandii była załedwie cztery miesiące. Zapewne jednym z powodów, dla których Hulda nie chciała odpuścić sprawy, było to, że

wszyscy inni błyskawicznie zapomnieli o Elenie. Przybyła do obcego kraju, szukając schronienia, a znalazła grób w wodzie. I nikt się tym nie przejął. Hulda wiedziała, że jeśli nie wykorzysta ostatniej szansy na dojście do prawdy, nikt inny się tym nie zajmie. Historia Eleny zostanie zapomniana: będzie to tylko dziewczyna, która przybyła na Islandię i umarła.

Hulda jechała z Reykjavíku na południe, korzystała z trasy, którą kiedyś jeździła codziennie, gdy mieszkała z rodziną w domku nad morzem, w Álftanes. Od lat tam nie była, odkąd sprzedała dom i postanowiła nigdy nie wracać. Z jej prawej strony, po drugiej stronie zatoki, pojawił się półwysep, niski, pokryty zielenią. Álftanes zawsze było na poły wiejskim, zamkniętym w sobie światkiem, jakże różniącym się od miejskiej zabudowy Reykjavíku, ale od czasów, kiedy tu mieszkała, wyrosły zupełnie nowe domy.

Kiedy Álftanes zniknęło z tyłu, zabierając ze sobą jej stare życie, Hulda skupiła się na celu podróży, miasteczku Njardvík, leżącym w pobliżu portu lotniczego Keflavík, na półwyspie Reykjanes. Miała zamiar odwiedzić tam hostel dla osób ubiegających się o azyl, w którym, według dokumentów sprawy, mieszkała przed śmiercią Elena.

Potem mogłaby wziąć wolne na resztę dnia i pojechać do domu. Mimo deszczu w powietrzu czuło się wiosnę. Teraz, w maju, naprawdę zaczynało się spostrzegać, jak późno robi się ciemno, a rozświetlone wieczory niosły ze sobą obietnicę słońca o północy. Była to cudowna, budząca pozytywne nastawienie do życia pora roku, gdy zimowe mroki ustępowały stopniowo, a wieczory robiły się z dnia na dzień, niepostrzeżenie, coraz jaśniejsze, aż do połowy czerwca, kiedy noc całkowicie ustępowała. Hulde nawiedziły żywe wspomnienia tych szczególnych letnich nocy w ich starym domku w Álftanes. W ogródku było miejsce, żeby naprawdę oddychać, oglądać słońce zanurzające się w morzu, gdy niebo jaśniało od pomarańczowych i czerwonych płomieni, a nadmorskie ptaki szczebiotały przez całą noc w łagodnej poświacie. W ciasnym

mieszkaniu, w miejskim bloku, wszystkie pory roku wydawały się takie same, dni łączyły się w monotonne plamy, a czas uciekał ze zdumiewającą szybkością.

A przecież lato trwało tak krótko. U jego szczytu, w lipcu, ciemności zaczynały podstępnie powracać, wpełzały w życie wyspiarzy, najpierw jako zaledwie aluzja zmierzchu, potem w sierpniu, miesiącu, którego Hulda bardzo nie lubiła, noc znów się pojawiała, przypominając, że wkrótce nastanie zima.

Nie, nie było mowy o powrocie do domu, po tym jak Magnús rzucił taką bombę. Zamknięta w czterech ścianach mieszkania, wpadłaby w szaleństwo, bo nic nie odciągałoby jej od niszczącej duszę perspektywy końca życia zawodowego. Hulda nie przygotowała się mentalnie do emerytury. Była to zaledwie data, rok, osiągnięty wiek, rzecz czysto hipotetyczna. Aż do dziś, kiedy nagle stała się zimnym, twardym faktem.

Wróciła nagle myślami do terażniejszości. Cieszyła ją dwupasmowa jezdnia, bo mogła trzymać się prawej strony i pozwalać co bardziej niecierpliwym kierowcom przejeżdżać obok niej. Jechała skodą z lat osiemdziesiątych, reliktem czasów, kiedy większość Islandczyków rozbijała się przystępnymi cenowo wschodnioeuropejskimi samochodami – zazwyczaj modelami sowieckimi lub czeskimi – z krajów, do których Islandia sprzedawała ryby. Jej skoda była jasnozielonym dwudrzwiowym modelem, bez szczególnego przyspieszenia. Ostatnio samochód wymagał coraz więcej napraw. Hulda, chociaż miała zdolności praktyczne, nie była mechanikiem, ale na szczęście знаła człowieka, który dorabiał sobie, majstrując przy starych samochodach. To dzięki niemu stara skoda wyjeżdżała na ulice. Na razie.

Wiele czasu minęło, odkąd Hulda ostatni raz jechała na południe wzdłuż tego wybrzeża. Rzadko musiała wyjeżdżać na półwysep Reykjanes. Nawet międzynarodowy port lotniczy, główna atrakcja,

dla niej nie był aż tak atrakcyjny. Lubiła co prawda podróże zagraniczne – chętnie skorzystałaby z okazji – ale jej finanse nie pozwalały na planowanie czegoś takiego. Pensja policyjna nie pokryłaby zagranicznych wakacji, ledwie starczała na codzienne utrzymanie. W przeszłości takie luksusy były w zasięgu ręki. Mąż Huldy prowadził własną firmę inwestycyjną, a ona naiwnie sądziła, że ma z niej godne szacunku dochody. Więc czekał ją szok, gdy po jego nagłej śmierci dowiedziała się, że ich zabezpieczenie finansowe było iluzją. Kiedy prawnicy odsłonili jego interesy, okazało się, że odziedziczone długi przekraczają aktywa. Wynik był taki, że musiała sprzedać piękny dom i w średnim wieku zaczynać od początku, niemal od zera. Sprawami finansowymi zajmował się wyłącznie jej mąż, ona nie zaoszczędziła dla siebie żadnych pieniędzy i życie w granicach nowego, szczupłego budżetu okazało się bardzo trudne. Na początek kupiła małe mieszkanie, które potem sprzedała. Teraz mieszkała w trochę większym, w bloku. Miała szczególnego pecha, bo przeprowadziła się do mieszkania z uzależnioną od inflacji hipoteką tuż przed kryzysem bankowym i teraz utkwiała w nim z ogromnym długiem i wyciskającymi łyż z oczu miesięcznymi ratami.

Drogę na lotnisko Hulda zawsze uważała za ponurą i przygnębiającą. Po obu stronach rozpościerały się ciemne pola lawy, puste, omiatane wiatrem, płaskie, przerywane od południa tylko stożkowatymi kształtami Keilir i innych niskich gór, a od północy łączące się ze zdradzieckim, szarym morzem. Były to niebezpieczne okolice, pełne ukrytych kraterów wulkanicznych, kłębow pary, pobrużdżone od gwałtownych sił pracujących pod skorupą ziemską, w miejscu, w którym Islandia stała w rozkroku nad rysą między dwiema płytami kontynentalnymi. Góry cieszyły się popularnością wśród turystów – Hulda sama wspięła się na wiele z nich – ale poza tym na ten krajobraz lepiej było patrzeć z oddali niż przemierzać go

na własnych nogach. Każdy, kto zapuszczał się na pola lawy, łatwo mógł zrobić sobie krzywdę lub po prostu zniknąć.

Ale dzisiaj słońce oświetlało półwysep, chociaż pogoda była wietrzna, a Hulda, spoglądając za siebie, na zatokę, nadal widziała deszczowe chmury wiszące nisko nad Reykjavikiem. Wreszcie po jej prawej, z nudnej okolicy, wyrosły białe bloki z niebieskimi dachami, sygnalizujące, że tu zaczynają się przedmieścia Njardvíku. Skreśliła w stronę miasta. Nie było duże, ale nie znając drogi, jeździła trochę w kółko po ulicach, zanim w końcu zlokalizowała hostel.

Nie zadzwoniła, żeby uprzedzić o swoim przyjeździe. Nie przyszło jej to nawet do głowy, kiedy pośpiesznie wychodziła z komisariatu, żeby uciec od uciążliwej atmosfery, która jakby opadła na urząd w chwili, kiedy do Huldy dotarły złe wiadomości. Wyobrażała sobie, że korytarze pełne są ludzi plotkujących na jej temat, a wszyscy koledzy wiedzieli, że dostała kopa, że jakby już jej nie było, że jest zbędna, bo wyłano ją na rzecz nowego modelu. Do diabła.

Młoda kobieta w recepcji nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Hulda przedstawiła się, że jest komisarzem policji, nie rozwodząc się na temat przyczyn wizyty. Młoda kobieta nawet nie mrugnęła okiem.

– Ach tak? Co mogę dla pani zrobić? Czy chce pani porozmawiać z którymś z naszych rezydentów?

Z tego, co Hulda zdołała się dowiedzieć, hostel służył wyłącznie jako schronienie dla osób oczekujących na decyzję w sprawie udzielenia azylu. Miejsce było niezachęcające. W powietrzu niemal wyczuwało się rozpacz, ciszę i napięcie. Ściany pomalowano surową bielą, nie było niczego, co mogłoby kojarzyć się z domem, a nawet z hotelem. Tutaj ludzie czekali w czyścicu, aż dowiedzą się, jak rozstrzygnęły się ich losy.

– Nie, chciałabym tylko zamienić kilka słów z kimś, kto kieruje tym hostelem.

– Jasne. To ja, Dóra.

Huldzie zajęło chwilę, zanim zrozumiała, że ta młoda kobieta jest kierowniczką.

– Aha, jasne – powiedziała zawstydzona, że od razu tego nie rozpoznała. Nawet nie przyszło jej do głowy, że takie chucherko może kierować całą placówką. – Czy mogłybyśmy zamienić parę słów na osobności?

Dóra miała krótkie kasztanowate włosy i poważne podejście do życia. Chociaż uśmiechała się dość przyjaźnie, w oczach miała coś niepokojąco bystrego.

– Oczywiście, to nie problem – powiedziała. – Na zapleczu mam biuro.

Wstała, niczego więcej nie tłumacząc, i energicznym krokiem poszła korytarzem. Krok w krok za nią udała się Hulda. Biuro było małe i chłodne w stylu, z ciemnymi żaluzjami na oknach i samotną żarówką, która, zwisając z sufitu, rzucała bezlitosne światło na skromne umeblowanie. Nie było książek ani papierów, tylko laptop na biurku.

Usiadły, Dóra nadal nic nie mówiła, czekała, aż Hulda powie, o co jej chodzi. Komisarz szukała odpowiednich słów, wreszcie zaczęła.

– Powód, dla którego tu przyjechałam... to śledztwo w sprawie śmierci sprzed ponad roku. Chodzi o kobietę, która tu mieszkała.

– Śmierć?

– Tak. Ta kobieta miała na imię Elena. Ubiegała się o azyl.

– Ach, ona. Wiem, o co pani chodzi. Ale... – Dóra ściągnęła brwi, wyglądała na zaskoczoną. – Myślałam, że sprawa jest zamknięta. On do mnie dzwonił – wie pani, ten detektyw. Zapomniałam imienia...

– Alexander – podpowiedziała jej Hulda, wyobrażając go sobie, kiedy Dóra mówiła: odpychający, otyły, o pustym spojrzeniu, na widok którego zawsze zaciskała zęby.

– Tak, Alexander, zgadza się. Zadzwoił, żeby mi powiedzieć, że

zamyka sprawę, bo z dochodzenia nic nie wynikło, a osobiście uważa, że to był wypadek albo może samobójstwo – Elena czekała bardzo długo na odpowiedź z urzędu.

– Powiedziałyby pani, że czekała wyjątkowo długo? Z tego, co wiem, była tutaj cztery miesiące.

– Och, to niezbyt długo, nic w tym nadzwyczajnego, ale sądzę, że oczekiwanie na zainteresowanych może podziałać inaczej. Jest bardzo stresujące.

– Zgodziła się pani z nim?

– Ja?

– Tak, pani. Uważa pani, że ta kobieta utopiła się?

– Nie jestem specjalistką. Nie mam pojęcia, co o tym myśleć. Nie ja prowadziłam to śledztwo. Może ten – jak mu tam...

– Alexander.

– Tak, Alexander. Może wiedział o czymś, o czym ja nie wiem. – Dóra wzruszyła ramionami.

Hulda pomyślała, że bardzo w to wątpi. Stłumiła chęć, żeby powiedzieć to na głos.

– Ale musiała się pani nad tym zastanawiać.

– Cóż, jasne, ale mamy tu mnóstwo pracy. Przez cały czas ludzie przychodzą i odchodzą. Ona odeszła w taki właśnie sposób. Przypadkiem. W każdym razie nie mam czasu, żeby zastanawiać się nad tego rodzaju sprawami.

– Ale przecież pani ją знаła?

– Nie za bardzo. Nie bardziej niż innych. Proszę posłuchać, prowadzę tu biznes. Z tego żyję, więc muszę się skupić na codziennym zarządzaniu. Dla rezydentów to może być kwestia życia lub śmierci, ale ja tylko próbuję kierować tym hostelem.

– Czy jest tu ktoś, kto mógł znać ją lepiej?

Dóra zastanowiła się nad pytaniem.

– Wątpię. Już nie. Jak mówiłam: ludzie przez cały czas przychodzą i

odchodzą.

– Więc pozwoli pani, że postawię proste pytanie: chce pani powiedzieć, że żadnej z obecnie mieszkających tu osób nie było tutaj, kiedy Elena żyła?

– Och, cóż, zawsze jest możliwość...

– Byłaby pani w stanie to sprawdzić?

– Chyba tak.

Dóra odwróciła się w stronę komputera i zaczęła naciskać klawisze. Wreszcie podniosła wzrok.

– Dwóch facetów z Iraku – nadal tu są. Może się pani z nimi spotkać w każdej chwili. I Syryjka.

– Z nią też mogłabym się spotkać?

– Wątpię.

– Dlaczego?

– Jest gdzieś poza hostelem. Wcześniej przyszedł jej adwokat, myślę, że pojechali do Reykjavíku. Chyba coś się ruszyło w jej sprawie. To bardzo dobrze, bo tylko zamykała się w swoim pokoju i czekała. Rzadko nawet schodziła na posiłki. Wiem tylko tyle – adwokaci przecież nic mi nie powiedzą – ale domyślam się, kiedy na nich patrzę, że coś się dzieje. Miejmy nadzieję, że to dobre informacje, ale co do tego nigdy nie ma pewności.

– Niech mi pani opowie o Elenie. Jak się zachowywała? W jakim była stanie?

– Nie mam pojęcia.

– Czy miała jakiegoś adwokata, który zajmował się jej sprawą?

– Tak, wydaje mi się, że tak... chociaż nie pamiętam, kto to był, o ile w ogóle coś wiedziałam.

– Hm, a nie domyśla się pani, kto to mógł być?

– Zazwyczaj to są ci sami ludzie – odparła Dóra i wyszukała trzy nazwiska, które Hulda zapisała.

– Dałoby się zobaczyć jej pokój?

– Dlaczego policja znowu się tym zajmuje? – zapytała Dóra.

– Proszę pani, czy mogłaby pani po prostu pokazać mi jej pokój? – warknęła Hulda. Kończyła się jej cierpliwość.

– Już dobrze, już dobrze – odparła obrażonym głosem Dóra. – Mogłaby pani zachować się uprzejmie. To nie boli. Uwikłanie się w coś takiego to nie żarty.

– Uwikłana się pani?

– Przecież pani wie, o co mi chodzi. Jej pokój jest na górze, ale teraz korzysta z niego ktoś inny. Nie możemy tak po prostu wparować do niego.

– Mogłaby pani przynajmniej sprawdzić, czy lokator tam jest?

Dóra szybkim krokiem opuściła biuro, poszła korytarzem i po schodach, Hulda pospieszyła za nią. Przeszły obok kilkorga drzwi, Dóra nagle zatrzymała się przy jednych z nich i zapukała. Odpowiedział młody człowiek, a Dóra wyjaśniła po angielsku, że policja chce obejrzeć pokój. Młody człowiek, najwyraźniej przestraszony, zapytał z wahaniem:

– Chcą odesłać mnie do domu? – Powtórzył pytanie kilka razy, zanim Dóra uspokoiła go, że wizyta policji w ogóle go nie dotyczy. Tak mu ulżyło, że prawie się popłakał i kiwnął niechętnie głową, chociaż Hulda wiedziała, że prawo nie zobowiązywało go, żeby je wpuścił. Ale przecież to nieprawdopodobne, żeby ten biedaczyna ośmielił się upierać przy swoich prawach wobec przedstawicielki zagranicznej policji. Hulda czuła się trochę zawstydzona, że go na to naraża. Jednak cel uświęca środki. Nie miała zbyt wiele czasu.

– Czy ona mówiła po angielsku? – zapytała Dórę, kiedy tylko weszły do pokoju. Jego obecny lokator stał zakłopotany przed drzwiami, w korytarzu.

– Słucham? – Dóra rozejrzała się po wnętrzu.

– Ta Rosjanka. Elena.

– Bardzo słabo. Możliwe, że trochę rozumiała, ale nie potrafiła

przeprowadzić rozmowy po angielsku. Mówiła tylko po rosyjsku.

– Czy dlatego nie udało się pani jej poznać?

Dóra pokręciła głową, wyglądała na rozbawioną.

– Och nie, nie poznaję żadnej z tych osób, bez względu na to, w jakim języku mówią.

– Niewiele tu miejsca.

– Nie prowadzę luksusowego hotelu – odparła Dóra.

– Czy miała własny pokój?

– Tak. I nie sprawiała kłopotów, o ile pamiętam.

– Nie sprawiała kłopotów?

– Nie. Nie awanturowała się – wie pani, o co mi chodzi. Nie wszyscy z nich są w stanie znieść oczekiwanie. To bywa trudne.

W wąskim, podobnym do celi pokoju stało łóżko, maleńkie biurko i coś w rodzaju szafy. Nie było tu zbyt wielu rzeczy osobistych, nie licząc dwóch par spodni od dresów, które leżały na łóżku, i do połowy zjedzonej opiekanej kanapki na biurku.

– Bez telewizora? – zauważyła Hulda.

– Jak mówiłam, to nie jest luksusowy hotel. Telewizor jest na dole, w salonie.

– Może zostawiła jakieś swoje rzeczy?

– Obawiam się, że nie pamiętam. Kiedy ludzie znikają i nie pojawiają się ponownie, zazwyczaj wyrzucam ich rzeczy.

– Albo jeśli umierają.

– Tak.

Przynajmniej na pierwszy rzut oka niewiele można było dowiedzieć się z oględzin pokoju. Hulda jeszcze raz szybko się rozejrzała, choćby po to, żeby wejść w skórę zmarłej dziewczyny, zobaczyć, jak żyła przez ostatnie kilka miesięcy, wyrzucona na brzeg obcego kraju w byle jakim hostelu, w którym nikt nie rozmawiał w jej języku. Osaczona w czterech ścianach pokoiku, mogła czuć się jak więzień, tak jak Hulda czuła się czasem w swoim małym

mieszkaniu. Samotna, bez rodziny, bez nikogo, kto by się o nią troszczył. To było najgorsze – nie mieć nikogo, komu by na człowieku zależało.

Hulda zamknęła oczy na sekundę i próbowała poczuć atmosferę, ale poczuła tylko zapach zupy grzybowej rozchodzący się z kuchni po budynku.

Przed wyjściem Hulda zamieniła kilka zdań z dwoma mężczyznami z Iraku. Ten, z którym rozmawiała, dość dobrze znał angielski. Byli w Islandii już od ponad roku i ucieszyli się, że trafiła im się szansa porozmawiać z kimś z policji; najwyraźniej wzięli ją za przedstawicielkę władz. Zanim zdołała o cokolwiek zapytać, najpierw musiała wysłuchać potoku skarg na to, jak ich sprawy były prowadzone i na to, jak są traktowani. Kiedy wreszcie udało jej się dojść do słowa, ustaliła, że faktycznie pamiętali Elenę, ale głównie z powodu jej nagłej śmierci. Tak naprawdę nigdy z nią nie rozmawiali, bo nie znali słowa po rosyjsku. Więc z tej rozmowy niewiele uzyskała.

W drodze do wyjścia przez recepcję podziękowała Dórze i poprosiła o kontakt, kiedy pojawi się kobieta z Syrii; miała nikłą nadzieję, że może ona będzie coś wiedziała.

– Zadzwoń – obiecała Dóra, Hulda jednak nie miała złudzeń, że recepcjonistka potraktuje to jako swój priorytet.

Czterdzieści pięć minut później była z powrotem w Reykjavíku. Zaparkowała przed komisariatem, ale nie zamierzała wchodzić. Zaczęła ustalać, który prawnik prowadził sprawę Eleny. Już po kilku telefonach odkryła, że człowiek, o którego jej chodziło, to adwokat w średnim wieku. Kilka lat pracował w policji, zanim odszedł, żeby otworzyć prywatną kancelarię. Przypomniał sobie Hulde od razu.

– Chyba niewiele będę miał do powiedzenia – oznajmił przyjaznym głosem. – Ale zapraszam, wpadnij do nas. Znasz adres?

– Znam. Mogę przyjechać teraz?

– Jak najbardziej.

Kancelaria okazała się bardzo skromnym budyneczkiem w centrum miasta; nie było tam nawet recepcjonistki. Albert Albertsson, który wyszedł przywitać Huldę, zdawał się czytać jej w myślach.

– Mamy mały zespół – wyjaśnił. – Nie marnujemy pieniędzy na zbytki. Robimy wszystko sami, każdy to, co akurat jest potrzebne. Tak czy inaczej, miło cię znowu widzieć.

Albert zawsze zachowywał się swobodnie. Mówił ciepłym modulowanym głosem sympatycznego gospodarza nocnych audycji radiowych, gawędzącego ze słuchaczami na tle przyjemnej uspokajającej muzyki. Trudno było nazwać go przystojnym, ale twarz miał z rodzaju tych, które wzbudzają zaufanie.

Gabinet, do którego ją wprowadził, nie mógłby się bardziej różnić od gołego bezdusznego małego biura Dóry w hostelu. Ściany obwieszane obrazami, na regale za biurkiem rządki fotografii i wysokie stosy dokumentów na każdej dostępnej powierzchni. Było to nieco przytłaczające i przesadne, jakby Albert próbował zamaskować fakt, że w istocie wcale nie ma aż tak wiele pracy. Wszystkie te zdjęcia i obrazy pasowały bardziej do domu niż do miejsca pracy. Ale może to był jego dom, może innego nie miał?

– Przejęłaś tę sprawę? – spytał, kiedy usiedli.

– Tak, na razie.

– I jak ci idzie?

– Na razie nie dowiedziałam się niczego wartego wzmianki – odparła. – Czy w trakcie pierwszego śledztwa rozmawiał z tobą Alexander?

– Tak, rozmawiał. Spotkaliśmy się, ale chyba za wiele mu nie pomogłem.

– Sprawę wniosku Eleny o udzielenie azylu prowadziłeś od samego początku?

– Tak. Przyjmuję wiele zleceń z dziedziny praw człowieka. Rzecz jasna to dodatkowe zajęcie, obok normalnej pracy.

– Mógłbyś mnie zapoznać z okolicznościami przypadku Eleny?

– No cóż, występowała o udzielenie azylu w Islandii na podstawie tego, że w swojej ojczyźnie, w Rosji, była prześladowana.

– Ale jej prośbę odrzucono?

– Co? Nie, wręcz przeciwnie, szło nam naprawdę dobrze.

– Jak dobrze?

– Mieli przyjąć jej wniosek.

Hulda była skołowana.

– Chwila, chwila. Chcesz powiedzieć, że mieli jej dać azyl?

– Tak, dokumenty były już przygotowywane.

– A ona o tym wiedziała?

– Tak, jasne. Dowiedziała się dzień przed śmiercią.

– Mówiłeś o tym Alexandrowi?

– Naturalnie, chociaż nie bardzo rozumiem, dlaczego to takie istotne.

Alexander „zapomniał” wspomnieć o tym fakcie w swoim raporcie.

– Cóż, to zmniejsza prawdopodobieństwo, że odebrała sobie życie – wyjaśniła.

– Niekoniecznie – sprzeciwił się Albert. – Cały proces to ogromny stres dla wnioskodawców.

– Jakie wrażenie wywarła na tobie – ogólne, o to mi chodzi? Była pogodna? Czy raczej skłonna do depresji?

– Trudno powiedzieć. – Albert nachylił się nad biurkiem. – Trudno powiedzieć – powtórzył – bo bardzo słabo mówiła po angielsku, a ja w ogóle nie znam rosyjskiego.

– Czyli musiałeś korzystać z pomocy tłumacza?

– Tak, kiedy to było potrzebne. W takich sprawach najczęściej jest roboty papierkowej.

– Może powinnam z nim porozmawiać – mruknęła Hulda, bardziej

do siebie niż do Alberta.

– Myślę, że mogłabyś. Nazywa się Bjartur. Mieszka w zachodniej części miasta. Biuro ma w domu. Ale to wszystko jest w teczce sprawy. Możesz przecież ją pożyczyć.

– Dzięki, to dobry pomysł.

– Była muzykalna – dodał Albert nagle, jakby po namyśle.

– Muzykalna?

– Tak, myślę, że kochała muzykę. Mój partner trzyma w biurze gitarę i Elena raz po nią sięgnęła i zagrała dla nas kilka kawałków.

– Co jeszcze o niej wiedziałeś? – spytała.

– Co jeszcze...? Niewiele więcej – odparł. – Tak naprawdę to mało się dowiadujemy o osobach ubiegających się o azyl, które reprezentujemy. Zwykle są odsyłane, no wiesz. – Przez chwilę milczał, potem dodał: – To wszystko było takie smutne. Biedna dziewczyna. Skądinąd samobójstwo zawsze jest przygnębiające.

– Samobójstwo?

– No tak. Czy nie takie były wnioski ze śledztwa Alexandra?

– Tak, no właśnie. Śledztwo Alexandra.

Myślałem, że ta sprawa została zamknięta. – Tłumacz, Bjartur, usadowił się w fotelu biurowym, tak starym i chwiejnym, że musiał pochodzić z lat osiemdziesiątych minionego wieku. – Ale skoro nie, chętnie pomogę na tyle, na ile tylko będę w stanie.

– Dziękuję. Czy wtedy Alexander rozmawiał z panem? Pomagał mu pan zdobyć jakieś informacje?

– Alexander? – Twarz Bjartura pod ładną blond czupryną nie wyrażała nic. Imię do niego pasowało: Bjartur znaczy „jasny”. Siedzieli w przerobionym garażu, dobudówce małego domku jednorodzinnego, w zamożnej podmiejskiej części miasta. Miejsce, otoczone z trzech stron morzem, było przyjemne, choć wietrzne. Kiedy Hulda przyjechała i zadzwoniła do drzwi frontowych, jakaś starsza pani pokierowała ją do garażu za domem, „gdzie Bjartur ma biuro”. Nie było tam krzeseł dla gości, więc musiała przycupnąć na skraju starego łóżka zawalonego książkami; wiele z nich było po rosyjsku, tak przynajmniej wydedukowała po napisach na grzbietach. Choć dzwoniła, żeby uprzedzić, że przyjedzie, Bjartur nie wysilił się, żeby posprzątać. Na podłodze wały się stosy papierów, buty i pudełka po pizzy, a w rogu leżała sterta brudnych ubrań.

– Alexander to kolega z wydziału kryminalnego – wyjaśniła, czując w ustach nieprzyjemny posmak. – To on prowadził tamto dochodzenie.

– Och, cóż, nigdy go nie poznałem. Jest pani pierwszą osobą, która rozmawia ze mną o tamtej sprawie.

Hulda znów poczuła rozchodzące się po całym ciele gorzkie rozgoryczenie. Gdyby to ją awansowali i gdyby była nad

Alexandrem, jak na to zasługiwała, już dawno by go popędziła.

– Ale tak w ogóle, to o co chodzi? – zapytał Bjartur, wrywając ją z zamyślenia. – Pojawiły się jakieś nowe fakty?

Uciekła się do tej samej odpowiedzi, jakiej udzieliła adwokatowi.

– Nic, o czym warto by było w tej chwili wspominać. – W istocie kierowała się tylko instynktownym przecuciem, ale nie musiała się przecież do tego przyznawać. Poza tym, wraz z upływem godzin, była coraz bardziej przekonana, że decyzja o wznowieniu śledztwa była słuszna; bez względu na przyczynę śmierci Eleny było jasne, że pierwsze dochodzenie przeprowadzono haniebnie niechlujnie. – Często ją pan widywał?

– Nie za często. Biorę te zlecenia, kiedy się pojawiają. Nie są pracochłonne, za to dobrze płatne. Z samych tłumaczeń trudno jest wyżyć.

– Ale daje pan radę?

– Ledwie. Dużo tłumaczę dla Rosjan, czasami dla ludzi w tej samej sytuacji co... uhm...

– Elena – przypomniała. Nawet on nie zapamiętał imienia dziewczyny. Niesamowicie, jak szybko pamięć o jej pobycie na Islandii wyparowywała z ludzkich umysłów. Wyglądało na to, że mało kogo obchodziła.

– Elena, no jasne. Tak, od czasu do czasu robię za tłumacza dla ludzi w jej sytuacji, ale głównie jestem przewodnikiem Rosjan, oprowadzam ich po miejscach wartych zwiedzania. Niektórzy są nadziani, więc całkiem nieźle na tym wychodzę. Poza tym czasem coś tam przetłumaczę, jakieś opowiadanie, książkę... i sam też coś piszę...

– Jakie wrażenie na panu wywarła? – przerwała mu. – Wyglądała jak ktoś, kto może myśleć o samobójstwie?

– Muszę się zastanowić – odparł, chyba nieco zawiedziony, że nie może dalej perorować na swój temat. – Trudno powiedzieć.

Możliwe. Nietrudno zgadnąć, że nie była tu najszczęśliwsza. Ale przecież to nie było... to znaczy, to na pewno było samobójstwo?

– Prawdopodobnie nie – odparła Hulda bezpodstawnie pewnym tonem. Miała przeczucie, że tłumacz wie więcej, niż mówi. Trik polegał na tym, żeby zbyt nie naciskać: wystarczyło być cierpliwą i czekać, aż przyjdzie czas, kiedy sam się otworzy. – Studiował pan w Rosji? – spytała.

Chyba go zaskoczyła tą nagłą zmianą tematu.

– Co takiego? Och, tak. Na Uniwersytecie Moskiewskim. Zakochałem się w tym mieście i w języku. Była tam pani kiedyś?

Pokręciła głową.

– Niesamowite miejsce. Powinna się tam pani wybrać.

– Zapewne – zgodziła się, wiedząc, że nigdy tego nie zrobi.

– Wspaniałe miasto, ale pełne wyzwania – ciągnął Bjartur. – Trudne dla turystów. Wszystko jest takie obce: język, napisy cyrylicą.

– Ale po rosyjsku mówi pan biegle, tak?

– Och, oczywiście – potwierdził nonszalancko. – No, ale poznałem ten język już dawno temu.

– Czyli z Eleną porozumiewał się pan bez żadnych problemów?

– Problemów? Nie, oczywiście, że nie było żadnych problemów.

– No to o czym rozmawialiście?

– Ze sobą to w zasadzie rzadko rozmawialiśmy – przyznał. – Najczęściej służyłem jej za tłumacza na spotkaniach z adwokatem.

– Wspomniał pan, że lubiła muzykę – zauważyła Hulda, pragnąc popchnąć rozmowę do przodu.

– Och tak, zgadza się. O tym akurat rozmawialiśmy. Jest... była muzykiem. W Rosji nie miała szans zajmować się tym zawodowo, ale to było jej marzenie: żyć tutaj z muzyki. Kiedyś u adwokata coś dla nas zagrała. To było nawet dobre... no, co najmniej niezłe. Ale to marzenie ściętej głowy. Na Islandii nie da się wyżyć z muzyki.

– Nie bardziej niż z tłumaczeń?

Bjartur się uśmiechnął, ale tematu nie pociągnął. Zamiast tego, po krótkiej pauzie, powiedział:

– Ale prawdę mówiąc, to było coś jeszcze...

– Coś jeszcze? – powtórzyła Hulda zachęcającym tonem. Po minie tłumacza widziała, że waha się, czy ma mówić dalej.

– Tylko najlepiej byłoby, gdyby zachowała to pani dla siebie.

– Co to takiego?

– Proszę posłuchać, nie chcę się dać w to wplątać... Nie mogę...

– Co się stało? – spytała, przyjmując swój najbardziej przyjazny ton.

– Chodzi o coś, co kiedyś powiedziała... Tylko niech pani pamięta, to stuprocentowo nieoficjalna informacja.

Hulda zmusiła się do uprzejmego uśmiechu, opanowując chęć przypomnienia tłumaczowi, na czym polega różnica między policjantem a dziennikarzem. Nie zamierzała składać żadnych obietnic, milczała jednak dyplomatycznie, żeby nie zniechęcić rozmówcy.

Taktyka się sprawdziła. Po chwili wahania Bjartur podjął wątek:

– Myślę, że mogła być w grze.

– W grze? Prostytuowała się, o to chodzi? – upewniła się. – A co panu każe tak myśleć?

– Mówiła mi.

– W żadnym raporcie nie było o tym słowa – rzuciła ze złością Hulda, choć jej gniew odnosił się bardziej do nieobecnej postaci Alexandra niż do tłumacza.

– Nie, nie mogło być. Powiedziała mi o tym podczas naszego pierwszego spotkania i nalegała, żebym nikomu nic nie mówił. Odnosiłem wrażenie, że się bała.

– Czego?

– Raczej kogo.

– Islandczyka?

– Nie jestem pewien. – Wahał się, wyglądał, jakby się zastanawiał. –

Szczerze mówiąc, z tego, co mówiła, można było wywnioskować, że sprowadzono ją na Islandię wyłącznie w tym celu.

– Coś takiego. Chce pan powiedzieć, że jej wniosek o uzyskanie azylu to była tylko przykrywka?

– Mogło tak być. O całej sprawie mówiła dość mętnie, ale było oczywiste, że nie chciała, żeby ta informacja się rozeszła.

– A więc jej adwokat nic nie wiedział?

– Nie sądzę. Ja na pewno mu o tym nie mówiłem. Dotrzymałem tajemnicy. – Po krótkiej przerwie dodał nieco zmieszany: – Aż do tej pory, rzecz jasna.

– Ale dlaczego, na litość boską? Dlaczego nic pan nikomu nie powiedział? – zdenerwowała się Hulda, a jej głos zabrzmiał ostrzej, niżby chciała.

Znowu krótka pauza, potem Bjartur odpowiedział, dość nieprzekonywająco:

– Bo nikt mnie o to nie pytał.

Młoda matka jak zawsze wracała do domu piechotą. Tego wieczoru była zmęczona bardziej niż zwykle. Miała za sobą długi dzień w hotelu Borg, pogoda była paskudna, wiatr i deszcz dobijały ją. Zakres jej obowiązków w słynnym hotelu w centrum miasta nie był jasno określony; czasami kazano jej sprzątać pokoje, innym razem pomagała w restauracji i w barze, często do późna w nocy. Brała każdą zmianę, jaką mogła, pod warunkiem że nie kolidowała z odwiedzinami u córki.

Tego dnia było święto, 1 grudnia, Dzień Święta Narodowego, upamiętnienie częściowego uniezależnienia się Islandii od Danii w 1918 roku. Wieczorem w hotelu studenci urządzili przyjęcie, było dużo śpiewów, przemów, znany poeta Tómas Guðmundsson recytował swoje wiersze.

Na horyzoncie majaczyło szybko się zbliżające Boże Narodzenie. Młoda kobieta chciała kupić prezent dla córki, ale jeszcze nie była pewna co. Wiedziała jedynie, że na pewno coś wyjątkowego. I że musi mieć na to pieniądze. W Gamla Bíó puszczali ten film, *Boom Town*, z Clarkiem Gable'em, który bardzo chciała zobaczyć, ale prawdopodobnie będzie musiała sobie odpuścić, skoro każdy grosz oszczędzała dla córki.

Jakże zazdrościła tym młodym studentom. Jak bardzo chciała być wśród nich. Wiedziała, że ma potencjał, żeby coś ze sobą zrobić, ale wiedziała też, że tak się nigdy nie stanie. Islandia to kraj rzekomo bezklasowy, wszyscy są sobie równi, nie ma klasy wyższej, średniej, niższej. Każdy ma takie same szanse na sukces. Ale ona wiedziała, że to mit; nigdy nie wzniesie się ponad swój obecny status – słabo opłacanej pracownicy pozbawionej wszelkich zabezpieczeń. Nie

miała na to żadnych szans.

Dlatego podjęła stanowczą decyzję: życie jej córki będzie wyglądało inaczej.

Rewelacje Bjartura rzuciły na śledztwo Huldy, jeśli można to było w ogóle tak nazwać, zupełnie nowe światło. Nie tylko okazało się, że swoje dochodzenie Alexander przeprowadził koncertowo powierzchownie, to jeszcze śmierć tej Rosjanki zyskała zupełnie nowy wymiar. Pytanie brzmiało, w którym momencie Hulda powinna poinformować szefa o najnowszych ustaleniach. Na razie Magnús nie wiedział nawet, którą z zamkniętych spraw wybrała. Teraz pewnie jest zajęty gratulowaniem sobie tego, jak zgrabnie się jej pozbył. Jeśli w ogóle o niej myślał, zapewne zakładał, że siedzi za biurkiem i ślęczy nad starymi aktami, w ten sposób umilając sobie czas dzielący ją od nieuchronnego momentu przejścia na emeryturę.

Prawda jednak wyglądała tak, że od rana, od tego nieszczęsnego spotkania, nie było jej w wydziale. Ku własnemu zaskoczeniu dzień minął jej o wiele szybciej, niż się obawiała: była tak zaganiana, że brakowało jej czasu na uzalanie się nad sobą. Na to rezerwowała sobie wieczór. Chociaż w sumie też nie – planowała położyć się wcześniej, dobrze się wyspać i dopiero rano, z oczyszczoną głową, zdecydować co dalej. Postanowi, czy ma siłę – i odwagę – żeby zająć się sprawą śmierci Rosjanki, czy raczej się podda i zacznie się przyzwyczajając do życia w roli emerytki. Przyzna się sama przed sobą, że jej kariera w policji dobiegła końca. Przestanie opierać się nieuniknionemu. Porzuci pogoń za duchami, które może w ogóle nigdy nie istniały.

Jakakolwiek by była jej ostateczna decyzja, najpierw musiała się zająć zakończeniem pewnej niedomkniętej sprawy. Usadowiła się w wygodnym starym fotelu matki i z telefonem w ręce oddała

rozmyślaniom. Odwlekała moment wybrania numeru tej nieszczęsnej pielęgniarce, którą przesłuchiwała dzień wcześniej; kobiety, która potrafiła tego drania pedofila i przez cały czas, gdy była przesłuchiwana, z nerwów i z poczucia winy trzęsła się jak osika. Teraz pewnie przechodzi piekło, przerażona wizją rozdzielenia z synem i spędzenia wielu lat za kratkami. Jakkolwiek na to patrzeć, przecież się przyznała. Tyle że Hulda do tej pory nie tylko nie spisała oficjalnego raportu z rozmowy, ale w dodatku oszukała szefa, mówiąc, że sprawie daleko do rozwiązania. Pytanie, które musiała rozważyć we własnym sumieniu, zanim zadzwoni do tej biedaczki, brzmiało, czy ma się trzymać kłamstwa i zrobić wszystko, co możliwe, by oszczędzić matce i synowi dalszych krzywd, czy napisać w raporcie prawdę, ze świadomością, że kobieta prawie na pewno zostanie skazana za popełnioną zbrodnię.

W istocie odpowiedź była dla niej jasna od samego początku: mogła postąpić tylko w jeden sposób.

Kobieta miała komórkę i telefon stacjonarny. Komórki nie odebrała, a stacjonarny dopiero po dłuższej chwili. Hulda się przedstawiła.

– Hulda Hermannsdóttir z wydziału kryminalnego. Rozmawialiśmy wczoraj.

– Och... tak... naturalnie – odpowiedziała kobieta zduszonym głosem. Z drżeniem głęboko zaczerpnęła tchu.

– Przeglądałam akta sprawy – skłamała Hulda, z rozmysłem uciekając się do formalnego policyjnego żargonu – i doszłam do wniosku, że nie mamy wystarczających dowodów, żeby przekazać sprawę prokuraturze.

– Co... co to oznacza? – spytała kobieta, jękając się. Chyba płakała.

– Nie zamierzam przekazywać sprawy dalej, przynajmniej nie w odniesieniu do pani.

Po drugiej stronie połączenia zaległa przepelniona zaskoczeniem

cisza, po czym kobieta wychrypiała:

– Ale co z tym... z tym, co pani powiedziałam?

– Nie widzę większego sensu w kontynuowaniu tej sprawy, w ciąganiu pani po sądach.

Znowu cisza. Potem:

– To znaczy... to znaczy, że mnie nie... nie zaaresztujecie? Ja... jeszcze teraz trzęsę się po naszej... naszej wczorajszej rozmowie. Myślałam, że zostanę...

– Rozumiem. Ale nie, nie zaaresztuję pani. A ponieważ wkrótce przechodzę na emeryturę, to przy odrobinie szczęścia pewnie już nikt nigdy nie będzie z panią poruszał tego tematu. – Emerytura. Powiedziała to na głos po raz pierwszy i była zaskoczona, jak dziwnie to zabrzmiało. Setny raz pomyślała, że to niedorzeczne, że jest tak bardzo nieprzygotowana na ten oczywisty i przewidywalny przełom w swoim życiu.

– A co z innymi... z pani kolegami z policji?

– Proszę się nie martwić, nie wspominałam w raporcie o pani wyznaniu. Rzecz jasna nie jestem w stanie przewidzieć, co się stanie z pani sprawą po moim odejściu, ale jeśli o mnie chodzi, pani się do niczego podczas naszej rozmowy nie przyznała. Rozumiemy się?

– Co? Och, tak, oczywiście. Dziękuję...

Coś kazało Huldzie dodać:

– Tylko niech mnie pani źle nie zrozumie: to nie oczyszcza pani z winy. Może rozumiem, dlaczego zrobiła pani to, co zrobiła, ale będzie pani musiała z tym żyć. Mimo to uważam, że zamykanie pani i pozbawienie syna matki tylko by wszystko pogorszyło.

– Dziękuję – powtórzyła kobieta wzruszonym głosem. Teraz już wyraźnie było słyhać, że płacze. – Dziękuję – udało jej się wydusić jeszcze raz, zanim Hulda się rozłączyła.

Kiedy była zajęta lub pod presją, Hulda często zapominała o jedzeniu, ale teraz tego dopilnowała i coś sobie przygotowała. To

samo co poprzedniego dnia: tosty z serem. Po śmierci Jóna przestała gotować. Z początku podejmowała jeszcze jakieś próby, ale wraz z upływem lat, gdy już się przyzwyczaiła do życia w pojedynkę, zaczęła się stołować w kantynie w pracy, a wieczorami w domu ratowała się jedzeniem z fast foodów i kanapkami.

Właśnie słuchała wiadomości w radiu i była w połowie prostej przekąski, gdy zadzwonił telefon. Kiedy zobaczyła kto to, w pierwszej chwili pomyślała, że nie odbierze, ale przyzwyczajenie i poczucie obowiązku wzięły jednak górę. Jak zwykle przeszedł do sedna od razu, nie zwracając sobie głowy przedstawieniem się, ale przecież Alexander nigdy nie potrafił się zachować.

– W co ty się, do cholery, bawisz? – napadł na nią. Wyobrazila go sobie po drugiej stronie łączy: twarz wykrzywiona grymasem wściekłości, podwójny podbródek, opadające powieki pod gęstymi brwiami.

Nie zamierzała dać się zastraszyć.

– A o co chodzi? – spytała tak spokojnie, jak tylko mogła.

– Nie udawaj, Hulda. Dobrze wiesz o co. Do kurwy nędzy. O tę Rosjankę, która się utopiła.

– Nie potrafisz sobie nawet przypomnieć, jak miała na imię, co?

Pytanie ewidentnie go zaskoczyło. Na moment zaniemówił, co było do niego niepodobne. Ale szybko odzyskał rezon.

– A co to ma wspólnego z czymkolwiek? Chcę...

– Miała na imię Elena – wcięła mu się w słowo.

– Gównu mnie to obchodzi! – Głos mu się podniósł. I pewnie cały poczerwieniał. – Dlaczego wtykasz w to swój nos, Hulda? Myślałem, że odeszłaś.

A więc wieści już się rozeszły.

– Ktoś cię musiał źle poinformować – odparła spokojnie.

– Och? Z tego, co słyszałem... – Ugryzł się w język. – Nieistotne. Dlaczego wpierniczasz się w moją sprawę?

– Bo poprosił mnie o to Magnús – odpowiedziała. Trochę naciągane, ale co tam.

– Celowo próbujesz kopać pode mną dolki, o to w tym chodzi. Prowadziłem tę sprawę i ją zamknąłem.

– I źle zrobiłeś – odparła chłodno.

– Nie było w niej nic podejrzanego – wybuchł, już teraz prawie krzycząc. – To biedne krówsko miało być deportowane, więc babsko rzuciło się do morza. Koniec historii.

– Przeciwnie, jej wniosek o udzielenie azylu miał być rozpatrzony pozytywnie i ona o tym doskonale wiedziała.

Po drugiej stronie zapadła nagle cisza. Po chwili Alexander wybełkotał:

– Co? O czym ty mówisz?

– O tym, że ta sprawa nie została wyjaśniona i już. A ty przeszkadzasz mi w kolacji, więc jeśli nie masz nic więcej...

– Przeszkadzam w kolacji? Taa, jasne – sama z kanapką przed telewizorem – zakpił paskudnie. Po posłaniu tego pożegnального pocisku rozłączył się.

To był cios poniżej pasa. Ale zgodny z prawdą: zawsze była sama. Ona jedna, samotna kobieta w grupie mężczyzn, w przeważającej części żonatych, jeśli nie po raz pierwszy, to drugi, z wieloosobowymi rodzinami. Nie pierwszy raz ktoś jej tak dowalał. Typowe w takim miejscu pracy, razem z niewybrednymi dowcipami i z tyranizowaniem. W kontaktach z ludźmi bywała drażliwa, wiedziała o tym, ale z drugiej strony, żeby przetrwać, wyrobiła sobie grubą skórę, a to zdaje się tym bardziej zachęcało jej kolegów do wylewania na nią wiader pomyj.

To oczywiście, że powinna umieć zlekceważyć wredne docinki Alexandra, ale ona zamiast tego, chcąc udowodnić, że był w błędzie, postanowiła zadzwonić do Pétura z klubu pieszych wędrówek. Nadal traktowała go bardziej jak przyjaciela niż sympatię – ich

związek był na to zbyt platoniczny. Kiedy się z nim spotykała, zawsze żałowała, że nie ma dwudziestu, trzydziestu lat mniej; wtedy nie byłoby tak trudno postawić kolejny krok, od uprzejmych całusów w policzki przejść do czegoś intymniejszego. Z drugiej strony zdarzało się, że kiedy rozmawiali przez telefon, czuła się tak skrępowana jak młoda dziewczyna; znak, że ich związek był na właściwym kursie, że może jednak chciała czegoś więcej.

Jak zawsze odebrał prawie od razu, jak to on energiczny i czujny.

– Tak się zastanawiałam – zaczęła nieśmiało. – Może miałbyś ochotę wpaść do mnie na kawę. – Jak tylko skończyła, uświadomiła sobie, że jej słowa mogą zostać błędnie odczytane. Zapraszanie mężczyzny na kawę, tak nagle... Chciała dodać, że nie chodzi jej o to, żeby został na noc, ugryzła się jednak w język. Musiała mieć nadzieję, że Pétur nie przypisze jej słowom czegoś, czego nie zawierały.

– Bardzo chętnie – zgodził się bez wahania. Potrafił podjąć decyzję, nie grzązał w szczegółach, nie robił z igły wideł; Hulda ceniła takie cechy. Tak czy owak w ich przypadku to był dość duży krok: nigdy wcześniej nie zapraszała go do siebie. Czy dlatego, że wstydziła się swojego mieszkania? – zastanawiała się. W porównaniu z ich starym domem w Álftanes z jego dużymi oknami i wielkim ogrodem – to było możliwe. Ale przede wszystkim chodziło o niewidzialne mury ochronne, jakie wokół siebie postawiła, mury, których nie chciała dla niego burzyć aż do tej chwili, gdy desperacko potrzebując towarzystwa, postanowiła zaryzykować.

– Mam przyjść już teraz? – zapytał.

– Tak, jak najbardziej, byłoby wspaniale. Jeśli możesz. – Była niedorzecznie niepewna siebie; zupełnie jak nie ona. A przecież zwykle miała pod kontrolą każdy najmniejszy aspekt swojego życia.

– Jasne, że mogę. Gdzie mieszkasz?

Wyrecytowała adres, kończąc:

- Czwarte piętro, na dzwonku jest nazwisko.
- Już jadę – zapewnił i się rozłączył.

– Był już najwyższy czas, żebyś mnie zaprosiła – brzmiały pierwsze słowa Pétura, gdy otworzyła mu drzwi. Dobijając siedemdziesiątki, był od niej kilka lat starszy, ale trzymał się dobrze. Nie wyglądał ani na młodszego, ani na starszego, niż był, chociaż siwa broda trochę go jednak postarzała. Patrząc na niego, Hulda nigdy nie potrafiła się powstrzymać przed zastanawianiem się, jak w jego wieku wyglądałby Jón.

Niemal zanim się zorientowała, co się dzieje, Pétur wszedł do salonu i usadowił się wygodnie w jej ulubionym fotelu. Poczowała ukłucie irytacji: fotel matki to jej miejsce, ale oczywiście nie powiedziała tego na głos. Bądź co bądź była zadowolona, że przyszedł, szczęśliwa, że ktoś chce spędzić z nią wieczór. Wprawdzie przyzwyczaiła się już do samotności – na tyle, na ile to możliwe – jednak towarzystwa drugiego człowieka nie da się zastąpić niczym innym. Czasami próbowała wychodzić sama – do restauracji na obiad czy kolację – ale czuła się skrępowana, nie potrafiła nie myśleć o tym, że jest sama.

Zapytała, czy napije się kawy.

– Dzięki, bez mleka.

Pétur był lekarzem. Gdy miał sześćdziesiąt lat, kiedy zachorowała jego żona, przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Bez zagłębiania się w szczegóły powiedział Huldzie, że przed śmiercią żony zdążyli jeszcze przeżyć razem kilka dobrych lat. Ta informacja jej wystarczała; nie życzyła sobie, aby Pétur wylewał przed nią swoje smutki i miała nadzieję, że on, wykazując się podobną wyrozumiałością, nie będzie oczekiwał otwierania starych ran przez nią. Wszystko, co mu powiedziała, to że Jón zmarł nagle w wieku

pięćdziesięciu dwóch lat.

– O wiele za wcześnie – dodała, stwierdzając oczywiste.

Za ciepłym sposobem bycia Pétura kryła się nutka stali, kombinacja, która, jak Hulda się domyślała, czyniła z niego dobrego lekarza. I było widać, że odniósł sukces. Była kiedyś u niego, w dużym domu w modnej dzielnicy w Fossvogur. Dom był przestronny, z wysokimi sufitami i salonem wyposażonym w eleganckie meble, obrazy na ścianach, obszerny księgozbiór na półkach i nawet fortepian zajmujący zaszczytne miejsce na środku pokoju. Odkąd zobaczyła ten dom, często fantazjowała, że w nim mieszka, spędza dni zaszyta w pięknym salonie. Sprzedałaby swoje paskudne mieszkanie w bloku, za uzyskane pieniądze spłaciłaby długi i cieszyłaby się wygodną emeryturą w wygodnym domu w ładnej dzielnicy. Ale nie to, oczywiście, było siłą napędową jej decyzji: prawda była taka, że w towarzystwie Pétura czuła się dobrze i stopniowo nabierała przekonania, że być może jest już gotowa na kolejne kroki, na ponowne zaangażowanie się po tych wszystkich latach samotności.

– Mam za sobą ciężki dzień – wyznała, zanim wyszła do kuchni, żeby przynieść kawę, którą przygotowała już wcześniej.

Kiedy wróciła do zagraconego salonu i podała Péturowi filiżankę, ten podziękował uśmiechem i czekał na ciąg dalszy jej zwierzeń, emanując cierpliwością i współczuciem. Był chirurgiem, ale jej zdaniem świetnie nadawałby się na psychiatrę: ten człowiek potrafił słuchać.

– Przechodzę na emeryturę – oznajmiła, przerywając ciszę, która stawała się coraz bardziej krępująca.

– Przecież wiedziałaś, że ta chwila się zbliża, prawda? – zauważył. – Ale emerytura nie jest taka zła, jak by się wydawało, wiesz? Będziesz miała więcej czasu na ulubione zajęcia, więcej czasu na cieszenie się życiem.

Jasne, jemu łatwo tak mówić, pomyślała, pozwalając, by na moment jej myśli nasiąkły uczuciem zazdrości. Jako lekarz z udaną karierą zawodową nie musiał się na starość martwić o finanse.

– Wiem – potwierdziła cicho – ale nie sądziłam, że nastąpi to aż tak szybko. – Najlepiej być z nim szczerą, nie koloryzować faktów. – Mówiąc szczerze, to mnie zwolnili. Zostały mi tylko dwa tygodnie. Na moje miejsce zatrudnili jakiegoś dzieciaka.

– A niech to szlag. I nie walczyłaś o swoje? To do ciebie niepodobne.

– Cóż – zaczęła, przeklinając się w myślach za to, że nie postawiła się bardziej, kiedy Magnús przekazał jej te szokujące wieści. – Przynajmniej udało mi się wyłudzić od szefa ostatnią sprawę, którą mam dokończyć.

– No, to rozumiem. A ta sprawa to coś interesującego?

– Chodzi o morderstwo... tak sędzę.

– Poważnie? Dwa tygodnie na rozwiązanie sprawy dotyczącej morderstwa? Nie boisz się, że nie zdążysz i potem na emeryturze będzie ci to cały czas chodziło po głowie?

O tym nie pomyślała, ale Pétur miał rację.

– Teraz już za późno na wycofanie się – odparła bez większego przekonania. – Zresztą nie ma stuprocentowej pewności, że to było morderstwo.

– A o co dokładnie chodzi? – spytał i udało mu się nawet zrobić to tak, że wydawało się, że go to szczerze interesuje.

– Młodą kobietę znaleziono martwą w zatoczce na Vatnsleysuströnd.

– Kiedy to było?

– Ponad rok temu.

Pétur zmarszczył brwi.

– Nie przypominam sobie, żebym o tym słyszał.

– Bo media nie bardzo się tą sprawą wtedy interesowały. Ta kobieta była uchodźcą.

– Uchodźcą... Nie, zdecydowanie nic o tym nie słyszałem.

Bo mało kto słyszał, pomyślała.

– Jak zginęła? – zapytał.

– Utopiła się, ale miała rany na ciele. Detektyw, który prowadził sprawę – dodam, że nie najlepszy z naszego grona – uznał, że to było samobójstwo. Ale ja nie jestem tego taka pewna.

Zadowolona z postępów, jakich dokonała tego dnia, streściła swoje odkrycia, ale Pétur, ku jej rozczarowaniu, podszedł do nich sceptycznie.

– Jesteś pewna – zaczął z wahaniem – że nie wyolbrzymiasz tej sprawy? Nie robisz z niej czegoś więcej, niż jest w rzeczywistości?

Trochę ją zbulwersowała ta jego otwartość, ale zarazem ją doceniała.

– Nie, wcale nie jestem pewna – przyznała. – Ale jednak zamierzam pójść tym tropem.

– No tak, rozumiem – odpowiedział.

Robiło się późno. Kilka godzin wcześniej z kawy przerwali się na czerwone wino. Pétur został dłużej, niż przewidywała, ale nie skarżyła się, była zadowolona, że ma towarzystwo. Chmury deszczowe wreszcie się rozeszły, ustępując miejsca słońcu, niebo było zwodniczo jasne, zadawało kłam późnej porze.

Wino nie było jej pomysłem. Po dopiciu kawy Pétur spytał, czy ma może w domu kropelkę brandy. Przeprosiła, bo nie miała, ale powiedziała, że chyba ma gdzieś kilka butelek wina.

– No i świetnie. Wino dobrze robi na stare serducho – stwierdził jej gość, a ona nie oponowała, bo i na jakiej podstawie miałyby podważać słowa lekarza.

– Wydaje mi się to trochę niezwykle – zaczął w pewnej chwili Pétur ostrożnym sondującym tonem – że nie masz u siebie żadnych zdjęć

rodziny.

Zaskoczył ją tą uwagą, ale postarała się tego nie pokazać.

– Jakoś nigdy nie miałam skłonności do tego typu rzeczy, nie wiem dlaczego.

– Chyba rozumiem. U mnie zdjęć z żoną jest prawdopodobnie zbyt wiele. Może właśnie dlatego tak długo zajęło mi pogodzenie się z jej odejściem. Utknąłem w przeszłości, w sensie dosłownym – westchnął. Byli już teraz przy drugiej butelce. – A rodzice? Bracia i siostry? Ich zdjęć też nie masz?

– Nie mam ani braci, ani sióstr – odparła. I zamilkła, ale Pétur, sącząc wino, cierpliwie czekał. – Z matką raczej nigdy nie byliśmy blisko – dopowiedziała w końcu, jakby w ten sposób chciała usprawiedliwić brak zdjęć, chociaż z drugiej strony nie było przecież żadnych powodów, by musiała się z tego tłumaczyć.

– Jak dawno zmarła?

– Piętnaście lat temu. Nie była bardzo stara, miała tylko siedemdziesiąt lat – wyjaśniła, uzmysławiając sobie, że już niedługo sama będzie tyle miała: zaledwie za pięć lat. A ostatnie pięć przeleciało jej jak z bicia strzeł.

– Musiała być dość młoda, kiedy cię urodziła – zauważył Pétur po dokonaniu w myślach szybkich obliczeń.

– Miała dwadzieścia lat... chociaż w tamtych czasach nie uważano tego za jakiś specjalnie młody wiek na urodzenie dziecka.

– A ojciec?

– Nie znałam go.

– Naprawdę. Zmarł przed twoimi narodzinami?

– Nie. Po prostu nigdy go nie poznałam – był obcokrajowcem. – Cofnęła się myślami do przeszłości. – Chociaż kiedyś, wiele lat temu, wybrałam się nawet za granicę, żeby go odnaleźć, ale to już zupełnie inna historia...

Uśmiechnęła się uprzejmie. Choć tolerowała te osobiste pytania,

nie była nimi zachwycona. Bez wątpienia Pétur oczekiwał, że zrewanżuje mu się tym samym, zapyta go o rodzinę, o przeszłość. Ale ona nie zamierzała tego robić. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Na razie czuła, że wie o nim tyle, ile potrzebuje: stracił żonę, żyje sam (w domu o wiele dla niego za dużym) i, co ważniejsze, wydaje się porządnym miłym facetem; uczciwym i godnym zaufania. To jej wystarczało.

– No tak – mruknał, przerywając ciszę; był już chyba lekko wstawiony. – Oboje jesteśmy samotni, zgadza się. Niektórzy się na to decydują... na to, że będą sami, to mam na myśli. Ale w naszym przypadku to raczej sprawa przeznaczenia, jak sędzę – urwał. – Umówiliśmy się z żoną, że zaczekamy z rodzeniem dzieci... a potem... potem było już za późno na zmianę zdania. Pod koniec często o tym rozmawialiśmy, czy popełniliśmy bład. – Po chwili milczenia dodał: – Nie wierzę w spóźnione żale: życie jest, jakie jest, układa się tak albo inaczej. Ale chociaż tak mówię, to naprawdę wolałbym w tym momencie swojego życia nie być aż tak samotny.

Hulda nie spodziewała się aż takiego poziomu szczerości. Nie wiedziała, co ma powiedzieć, więc milczała. Po krótkiej chwili Pétur znowu zaczął mówić:

– Nie wiem, dlaczego nie mieliście z mężem dzieci, i nie chcę być wścibski, ale tego rodzaju decyzje... one mają olbrzymi wpływ na nasze życie. Liczą się, naprawdę się liczą. Zgodzisz się ze mną?

Skinęła głową, zerkając przy tym dyskretnie na zegarek, potem na butelkę. Pétur załapał aluzję: przyszła pora się pożegnać.

Nieważne jak bardzo była zajęta, na spotkania z córką zawsze przychodziła punktualnie. Dwa razy w tygodniu i nigdy nie opuściła ani jednego widzenia. Nawet w najgorszą śnieżycę, w największą burzę. Nawet choroba nie była przeszkodą, bo dzieląca je szyba gwarantowała, że nie zarazi córki. Te odwiedziny już dwukrotnie przysporzyły jej problemów u pozbawionych empatii pracodawców, za drugim razem złożyła wypowiedzenie. Bo córkę stawiała na pierwszym miejscu.

Od strony fizycznej dziewczynka rozwijała się dobrze. Niedługo kończyła dwa lata, była zdrowa i wysoka jak na swój wiek, ale w jej oczach stale gościł wyraz nieobecności, co bardzo niepokoiło matkę.

Chyba w głębi duszy przeczuwała, że minęło zbyt wiele czasu: że jej odwiedziny niczego nie dają; że niewidzialna nić łącząca matkę z córką pękła w którymś momencie tej dwuletniej separacji. Może stało się to na samym początku, w dniu, kiedy, wbrew woli, oddała córkę w obce ręce. Jej rodzice wstydziła się córki z dzieckiem z nieprawego łoża, chcieli uciszyć sprawę i uznali, że tak będzie lepiej. Postawili ją przed trudnym wyborem: albo odda dziecko do adopcji – czego nigdy by nie zrobiła – albo na początku umieści je w ochronce dla niemowląt.

Kiedy urodziła, mieszkała z rodzicami i nie stać jej było na wynajęcie własnego kąta, więc wybór był prosty: oddanie dziecka na zawsze nigdy nie wchodziło w grę, zatem druga opcja wydawała się mniejszym złem.

Po zakończeniu obowiązkowej nauki, rzuciła szkołę, a teraz jej zdaniem było już za późno, żeby to nadrobić. Tak czy inaczej, rodzice nigdy nie zachęcali jej, żeby się kształciła, wszystkie

oczekiwania w tej kwestii przelali na jej młodszego brata, który teraz studiował na uniwersytecie w Reykjavíku.

Ale już niedługo wszystko się zmieni. Od dwóch lat pracowała, odkładała pieniądze i chociaż nadal mieszkała z rodzicami, to już wkrótce będzie się mogła przeprowadzić do własnego mieszkania. A wtedy spełni swoje wieloletnie marzenie, zabierze córkę z ochronki.

Jej relacje z rodzicami były bardzo napięte. Na początku, kiedy niespodziewanie zaszła w ciążę, zbyt oszołomiona, żeby im się oprzeć, pozwalała im rozstawić się po kątach. Teraz bała się, że nigdy nie będzie umiała wybaczyć im separacji z jej własnym dzieckiem. Patrząc wstecz, nie potrafiła zrozumieć, jak się mogła na coś takiego zgodzić.

Miała tylko nadzieję, że jej mała dziewczynka tak bardzo będzie ją kochała, że jej to wybaczy.

Po pożegnaniu Pétura niewinnym całusem w policzek Hulda wróciła do pokoju gościnnego i usiadła w odzyskanym fotelu. Była zbyt podekscytowana, żeby od razu pójść spać, nie zniosłaby leżenia w ciemności, mając za towarzystwo jedynie własne myśli. A tych kołatało jej się po głowie całe mnóstwo, szykowały się do skoku, a każda bardziej dołująca od poprzedniej.

Nadal na pierwsze miejsce przebijały się myśli o Rosjance, chociaż, gdy piła wino z Péturem, udawało jej się je od siebie odpychać. Wino – dobry pomysł: trochę go jeszcze zostało. Po co miałyby się zmarnować? Sięgnęła po butelkę i wlała resztki do kieliszka. Rosjanka... Ale myśli o Elenie nieubłaganie sprawiały, że jej umysł zataczał koło i przypominał sobie, w jakich okolicznościach sprawa śmierci tej młodej dziewczyny trafiła na jej biurko: cokolwiek by mówić, dostała dzisiaj wypowiedzenie; powiedziano jej, że ma zwolnić swoje miejsce pracy; usunięto ją z drogi jak jakiś śmieć.

Żeby się oderwać od tych ponurych rozważań, przerzuciła się na rozmyślanie o Péturze, ale to też był temat problematyczny, bo nie chciała ryzykować i pokładać zbyt wielkich nadziei w przyszłości ich związku. Wizyta przebiegła nieźle, ale teraz powinni wykonać następny krok. Nie chciała go stracić, bała się, że jeśli będzie się posuwała zbyt wolno, być może skończy się tym, że Pétur zrezygnuje ze znajomości. A realistycznie patrząc, na ile podobnych okazji mogła jeszcze liczyć?

Roztrząsając ten dylemat, siedziała, sączyła wino i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w kieliszek, aż w końcu z mrocznych głębin jej umysłu wychynęły obrazy postaci, o których nie chciała myśleć, postaci, o których tak naprawdę myślała bez przerwy: Jón i

córka.

Po jakimś czasie poczuła wreszcie, że jej powieki opadają, że jest już tak zmęczona, że może iść do łóżka, że zaśnie szybko, nietorturowana niepotrzebnie przez wewnętrzne demony.

Kładąc się, wyłączyła alarm w budziku na stoliku przy łóżku, budziku, który przez tyle lat budził ją punktualnie o szóstej rano, każdego dnia niemal bez wyjątku. Cóż, tym razem budzik może odpocząć, podobnie jak ona. Nie myśląc o tym wiele, wyłączyła też głoś w telefonie, coś, co robiła niezmiernie rzadko, bo praca była dla niej najważniejsza, chciała być dostępna o każdej porze dnia i nocy. Nie zawsze, a być może nawet nigdy, skomplikowane policyjne dochodzenia da się prowadzić w ramach normalnych godzin pracy.

Zamknęła oczy i pozwoliła sobie odpłynąć w krainę snów.

DZIEŃ DRUGI

1

Hulda była zszokowana, kiedy się przekonała, że jest prawie jedenasta. Nie pamiętała, kiedy ostatnio obudziła się tak późno. Światło w sypialni było włączone, jak zawsze. Nie lubiła spać po ciemku.

Nie dowierzając, jeszcze raz spojrzała na budzik, ale nie było wątpliwości. Najwyraźniej w końcu musiało ją dopaść skumulowane zmęczenie. Leżała jeszcze chwilę, rozkoszując się faktem, że choć raz nie musi się spieszyć, i wtedy zaczęły do niej powracać urywki snów. Pojawiła się Elena: Hulda we śnie wróciła do Njardviku, do tej ponurej małej celi w hostelu. Nie udawało jej się odtworzyć wszystkich szczegółów, w pamięci pozostało wrażenie, że sen był niepokojący, choć nieporównywalnie mniej niż ten, który nawiedzał ją prawie co noc, tak przerażający, że czasami budziła się z uczuciem, że się dusi. Ten sen był przerażający nie dlatego, że jej wyobraźnia szalała, wręcz przeciwnie – w każdym detalu był wypomnieniem rzeczywistych wydarzeń, o których Hulda, jak bardzo by się nie starała, nie mogła zapomnieć.

Usiadła i żeby przepędzić widma, głęboko odetchnęła. To, czego teraz potrzebowała, to filiżanka dobrej mocnej kawy.

Uświadomiła sobie, że w zasadzie to nawet mogłaby się przyzwyczaić do emerytury. Żadnych zobowiązań, żadnych budzików. Wygodne, choć monotonne życie emerytki w mieszkaniu w bloku na czwartym piętrze.

Tylko że ona nie miała zamiaru się do tego przyzwyczajać.

Musiała mieć jakiś cel w życiu. W najbliższym czasie czekało ją

rozwiązanie sprawy zagadkowej śmierci Eleny, a przynajmniej próba jej rozwiązania. Wiedziała, że gdyby jej się udało, odeszłaby z pracy w nimbie chwały, przede wszystkim jednak zależało jej na uzyskaniu jakiejś sprawiedliwości dla tej biednej dziewczyny. W dalszej perspektywie chciała się ustatkować z kimś u boku, uciec przed samotnością i być może – ale tylko być może – tym kimś był właśnie Pétur.

Żeby zajrzeć do telefonu, pomyślała dopiero, kiedy była w połowie pierwszej filiżanki kawy; w przeciwieństwie do obecnej generacji obsesjonatów smartfonów, nie była niewolnikiem tego urządzenia. Młodszy koledzy z wydziału nie potrafili się oderwać od swoich ekranów choćby na minutę, ale ona, gdyby dano jej wybór, najchętniej w ogóle nie korzystałaby z tego ustrojstwa.

Dlatego była zaskoczona, kiedy zobaczyła, że ktoś próbował się do niej dodzwonić – dwukrotnie – z numeru, którego nie rozpoznawała. Z bazy danych teleadresowych otrzymała informację, że numer należy do hostelu, tego, który tak wyraźnie wybijał się w jej snach.

Zadzwoiła tam i usłyszała głos młodego mężczyzny.

– Dzień dobry, tu Hulda Hermannsdóttir. Dzwonię z policji.

– Tak, rozumiem. Dzień dobry – odparł mężczyzna.

– Ktoś spod tego numeru próbował się ze mną skontaktować około ósmej rano.

– Och, naprawdę? Spod tego numeru? To mogła być Dóra, chociaż równie dobrze mógł to być ktokolwiek. Ale nie ja – odparł mężczyzna. Mówił tak niewyraźnie, że prawie nie dawało się go zrozumieć.

– Jak to ktokolwiek? Co pan przez to rozumie? – spytała.

– No cóż, wie pani, dostęp do tego telefonu mają wszyscy rezydenci. – Doprecyzował to: – Chociaż mogą wykonywać wyłącznie rozmowy krajowe. Połączenia międzynarodowe są

zablokowane, inaczej rachunki poszybowałyby do gwiazd – roześmiał się.

Hulda nie była w nastroju do śmiechu.

– Czy da się w jakiś sposób ustalić, kto do mnie dzwonił? Albo mógłby mnie pan po prostu połączyć z Dórá?

– Z Dórá? Przykro mi, ale nie da rady.

– Ale dlaczego? – zdziwiła się, powoli tracąc cierpliwość. Najwyraźniej pół filiżanki kawy to za mało, żeby się w pełni obudzić.

– Miała nocną zmianę, więc teraz śpi. I nie ma sensu do niej dzwonić, bo na pewno ma wyłączony telefon.

– Ale to pilne – zaprotestowała Hulda, chociaż z tego, co wiedziała, mogło tak wcale nie być. – Proszę mi tylko podać numer jej telefonu stacjonarnego, dobrze?

Młody mężczyzna znowu się roześmiał.

– Stacjonarnego? Nikt już nie korzysta ze stacjonarnych.

– Cóż, w takim razie może jej pan przekazać, żeby do mnie oddzwoniła?

– Okej, spróbuję zapamiętać. Na numer, z którego pani dzwoni?

– Tak – potwierdziła, po czym z opóźnieniem o czymś sobie przypomniała. – Mieszka u was dziewczyna z Syrii, muszę z nią porozmawiać. Jest w hostelu?

– Z Syrii? Nie mam pojęcia. Ja tu jestem nowy, rozumie pani, jeszcze wszystkich nie znam. Pewnie Dóra będzie miała większe pojęcie.

Hulda musiała się poddać.

– Nieważne – rzuciła krótko. – Zadzwoń sama później.

– Okej. Czyli mam już nie przekazywać wiadomości... o tym, żeby do pani oddzwoniła?

– Na litość boską, tak, proszę ją poprosić, żeby zadzwoniła. Dziękuję.

Z westchnieniem rozdrażnienia rozłączyła się i dołała sobie kawy.

Pierwszy dzień w nowym domu: małym mieszkaniu w suterenie, tak małym, że nazywanie tego mieszkaniem zakrawało na lekką przesadę, ale mimo wszystko to był ważny dzień.

Nareszcie, dużo za późno, wyprowadziła się od rodziców, żegnając się z nimi czule, w duszy jednak obiecując sobie nigdy do nich nie wracać. Następnie poszła odebrać córkę, trochę niepewna, jak ona zareaguje i czy faktycznie pozwolą jej ją zabrać.

Jej obawy okazały się bezpodstawne. Pielęgniarka na dyżurze powiedziała, że dwa lata to wyjątkowo długi okres pobytu dziecka w ochronce, że zwykle dzieci pozostają u nich tylko przez kilka miesięcy. Ostrzegając, że przystosowanie się córki do zmian może trochę potrwać, ale że życzy im obu wszystkiego najlepszego. To dobre dziecko, stwierdziła na koniec.

I, o Boże, było trudno. Córka płakała i płakała, nie chciała dać się matce wziąć na ręce, nie chciała z nią pójść. Nie o takim połączeniu z dzieckiem marzyła matka od tak dawna.

Kiedy wreszcie były gotowe, żeby wyjść, pielęgniarka dodała:

– Czasami ma kłopoty z zasypianiem.

– Z zasypianiem? – zdziwiła się matka. – Wie siostra dlaczego?

Pielęgniarka wahała się, wyraźnie nieprzekonana, jak wiele może ujawnić z tego, co się działo z dziewczynką w czasie, gdy przebywała w ochronce, ale ostatecznie niechętnie wyznała:

– Było tu wcześniej dziecko, które... – zająknęła się – które lubiło bawić się w ten sposób, że innym dzieciom, kiedy spały, wsadzało palec w oko.

Matce, kiedy to usłyszała, po plecach przeszedł dreszcz grozy.

– Z początku myślałyśmy, że to jednorazowy przypadek – ciągnęła

pielęgniarka – ale w końcu musiałyśmy zainterweniować. Pani córka jest wrażliwa, więc wpłynęło to na nią bardziej niż na inne dzieci. Od tamtej pory ma problemy z zasypianiem; boi się zamknąć oczy w ciemności. Powiem szczerze, że miałyśmy z tym spory kłopot.

Pierwszego dnia dziewczynka nie zareagowała pozytywnie na nowy dom i obecność matki. Nie mówiła, unikała patrzenia na matkę. A nawet nie chciała jeść, chociaż w końcu uległa. I, naturalnie, kiedy nadszedł wieczór, nie chciała pójść spać. Kotysanki nie działały i młoda kobieta zaczęła się w desperacji zastanawiać, czy nie popełniła jakiegoś strasznego błędu. Może jednak powinna była oddać córkę do adopcji zamiast godzić się na kompromis, z którego wynikało wyłącznie to, że jest matką jedynie z nazwy. Teraz była jedynie kobietą, która regularnie pojawiała się po drugiej stronie szklanego przepierzenia, próbującą wymyślić, co ma powiedzieć, powtarzającą przez szybę banały, które nie mogły zastąpić prawdziwej miłości i poczucia bezpieczeństwa.

Mała dziewczynka nie była w stanie walczyć ze zmęczeniem w nieskończoność, chociaż bardzo się starała. Po długim czasie w końcu zasnęła przy zapalonym świetle. Wyczerpana matka, leżąc obok córki, zasnęła zaraz po niej. Nigdy nie była tak szczęśliwa jak w tamtej chwili.

Hulda była nieco zaskoczona, że Magnús się nie odzywał. Po wczorajszym agresywnym telefonie Alexandra spodziewała się podobnego od szefa. Istniały tylko dwa możliwe wytłumaczenia tej sytuacji: pierwsze takie, że Magnús postanowił zignorować obiekcje Alexandra i chciał, żeby Hulda w spokoju prowadziła swoje śledztwo. Ale to się wydawało mało prawdopodobne, bo ci dwaj byli jak papużki nierozłączki i jeśli Alexander się na coś skarżył, można było mieć pewność, że Magnús go poprze. Druga ewentualność, bardziej realna, to że Alexander nie pobiegł jednak na skargę do Magnúsa, być może dlatego, że w głębi duszy wiedział, że schrzaniał dochodzenie. Pewnie się modli, żeby Hulda niczego nowego nie odkryła i żeby cała sprawa odeszła cicho w zapomnienie. Zastanawiało ją tylko, skąd Alexander wiedział, że zajęła się śmiercią Eleny, doszła jednak do wniosku, że najprawdopodobniej powiedział mu o tym Albert, bo przecież znali się z czasów, gdy Albert pracował w policji.

Chociaż brak interwencji ze strony Magnúsa bardzo jej odpowiadało, to wiedziała, że to się może w każdej chwili zmienić. Na rozpracowanie sprawy dostała nadprogramowe dwa tygodnie, ale istniało realne ryzyko, że każą jej zamknąć śledztwo wcześniej, polecą zwinąć manatki z dnia na dzień, więc było istotne, żeby dobrze wykorzystywała dany jej czas. Pierwszy krok to pójście tropem podsuniętym przez tłumacza, Bjartura. A gdy w grę wchodziła obyczajówka i przemyt ludzi, skarbnicą wiedzy był funkcjonariusz, na którego wołano Thrándur. Naprawdę miał na imię Tróndur, bo był w połowie Farerczykiem¹, ale ponieważ mieszkał na Islandii całe

1 Farerowie (także Farerczycy lub Farerzy, far. *Føroyingar*) – naród skandynawski

życie, często używano lokalnej wersji jego imienia. Hulda nie przepadała za tym facetem, mimo że nigdy nie zdarzyło mu się być wobec niej nieuprzejmym. Ona jednak uważała, że jest zbyt luzusowski, chociaż musiała przyznać, że jej opinia o Thrándurze i różnych innych kolegach mogła być nieobiektywna, nie należała przecież do ich paczki. Co do Thrándura, to był przynajmniej kompetentnym policjantem: rozważnym, inteligentnym, na ogół z dobrymi wynikami, w przeciwieństwie do Alexandra.

Thrándur nie odbierał telefonu stacjonarnego, więc zadzwoniła na komórkę. Czekala całe wieki, ale w końcu odebrał.

– Mówi Thrándur – przedstawił się oficjalnie. Ze złością uzmysłowiła sobie, że nie dodał jej numeru do listy swoich kontaktów, pomimo tych wszystkich lat, które ze sobą przepracowali.

– Thrándur, tu Hulda. Moglibyśmy się spotkać na krótką pogawędkę?

– O, Hulda! Kopę lat – odpowiedział z jej zdaniem udawaną radością. – Tak się składa, że mam dzisiaj wolne – musiałem wykorzystać resztki urlopu z lata. Nie da się z tym zaczekać do jutra?

Zastanowiła się. Czas to podstawa. Musiała dzisiaj zrobić jakieś postępy, a to był najbardziej obiecujący trop, jaki miała.

– Przykro mi, ale sprawa jest pilna.

– Okej, wal.

– Mogłabym do ciebie wpaść? – Uważała, że wtedy osiągnie więcej: jeśli będzie kręcił, miała większą szansę domyślić się tego po mowie jego ciała.

– Cóż, jestem na polu golfowym. – To jej nie zaskoczyło: Thrándur

zamieszkujący Wyspy Owcze (ok. 45 000), a w diasporze przede wszystkim Danię (ok. 20 000), Norwegię (ok. 2000) oraz Islandię (ok. 300). Posługują się głównie językiem farerskim, jednak większość zna także duński (przyp. tłum.).

był gwiazdą drużyny policyjnej. – I zaraz zaczynam. Dasz radę szybko przyjechać?

– A gdzie dokładnie jesteś?

– W Urridavellir.

Nic jej to nie mówiło.

– Pole golfowe w Heidmörk – uściślił, gdy nie zareagowała. Wyjaśnił, jak ma dojechać.

– Będę za minutkę – skłamała, doskonale wiedząc, że jej stara skoda nie udźwignie takiego wyzwania.

Kiedy wyjeżdżała z miasta na południowy wschód, przyłapała się na tym, że myśli o Péturze. O tym, jak miło spędzili wieczór i jak bardzo jej brakuje takich spotkań. Myślała też o tym, co mu powiedziała o swojej przeszłości, a jeszcze bardziej o tym, co zataiła. Na razie. Kiedyś na pewno mu powie, mieli na to mnóstwo czasu.

Tuż za granicami miasta rezerwat przyrody Heidmörk przywitał ją całą swą glorią świeżej wiosennej zieleni; sosny, brzozy, płożące się po ziemi krzewy uchwycone w połowie drogi między zimową szarzyzną a pełnią letniego splendoru. W stale się rozrastającej betonowej dżungli Reykjavíku Heidmörk był spokojną oazą drzew i szlaków wędrownych, dobrym miejscem na jednodniowe wycieczki dla rodzin.

Wskazówki Thrándura w kwestii drogi dojazdu były precyzyjne, a długie lata pracy w policji nauczyły ją zwracania uwagi na szczegóły, więc nie miała większych problemów z trafieniem. Pomimo że zwirowa droga była kręta i nie było widać, co jedzie z naprzeciwka, Hulda i jej skoda dotarły do celu w jednym kawałku.

Thrándur czekał na nią na parkingu wystrojony w elegancki strój golfowy – sweter ze wzorkiem w diamenty, czapka z daszkiem, wózek i zestaw kijów przy nodze. Hulda nie znała się na golfie, nie mogła więc ocenić stroju, ale biorąc pod uwagę golfową manię Thrándura, domyślała się, że nie założyłby na siebie niczego, co nie

byłoby najlepsze.

– Mam mało czasu – uprzedził, kiedy podeszła. Nie potrafił ukryć zniecierpliwienia w głosie i dla podkreślenia swoich słów obejrzał się na duży zegar na budynku klubu. – O czym chciałaś porozmawiać?

Hulda nie była przyzwyczajona do tego, że się ją popędza, widziała jednak, że Thrándur nie dopuści, żeby coś stanęło mu na drodze do gry.

Przeszła prosto do sedna.

– Chodzi o tę Rosjankę, tę, która zmarła rok temu. Nazywała się Elena.

– Obawiam się, że nic mi to nie mówi – odparł. – Żałuję, bo chciałbym pomóc. – Był ucieleśnieniem uprzejmości, mimo że się spieszył.

– Przyjechała do Islandii jako uchodźca i skończyła martwa na plaży na Vatnsleysuströnd. Pierwsze dochodzenie było dość powierzchowne, ale właśnie się dowiedziałam, że mogła być sprowadzona do pracy w roli prostytutki, możliwe, że przez jakiś gang trudniący się handlem ludźmi. – Bacznie obserwowała Thrándura i zauważyła, że rozbudziła jego ciekawość. – Dlatego chciałam pogadać z tobą – dokończyła.

– Ja... ja nic o tej sprawie nie wiem – odparł zmienionym głosem, teraz już mniej pewnie, wykrętnie. – Nie słyszałem nigdy o żadnej Elenie. – I, jakby po namyśle: – Przykro mi.

– Ale to się zdarza, prawda? – naciskała. – Że ludzie przyjeżdżają pod pretekstem szukania azylu, a tak naprawdę wchodzą w skład zorganizowanej sieci prostytutki? – Przed wyjściem zajrzała szybko do Internetu i znalazła tam wystarczająco wiele potwierdzających jej przypuszczenia informacji. Miała podstawy, żeby zwrócić się do Thrándura po więcej danych.

– No cóż, jasne, zdarza się, ale my nad niczym takim w tej chwili

nie pracujemy. Chyba ktoś ci podał mylne informacje.

– Gdyby coś takiego się jednak działo – nie poddawała się – potrafiłbyś wymienić jakieś nazwiska, wiesz, kogoś, kto mógłby być zamieszany w tego rodzaju proceder? Kogoś stąd, mieszkającego na Islandii?

– Nikt nie przychodzi mi do głowy – odpowiedział odrobinę zbyt szybko; nawet się nie zastanawiał, jakby wolał, żeby trzymała się z daleka właśnie od tego jednego wątku śledztwa. – Może to była jakaś jednorazowa akcja: ktoś ją przywiózł do kraju, a potem się ulotnił. To najbardziej prawdopodobny scenariusz, nie uważasz?

– Możliwy – przyznała z zastanowieniem. – Pewnie tak. Kto byłby najbardziej prawdopodobnym kandydatem w takim przypadku? Jeśli ktoś miałby to wiedzieć, to tylko ty. – Była uprzejma, ale uparta.

– Przykro mi, Hulda – powtórzył – ale nie mam zielonego pojęcia. To nie takie proste, jak chyba ci się wydaje. Szczęśliwie na Islandii tego rodzaju zorganizowana przestępczość nie jest duża. Przykro mi. Posłuchaj, naprawdę muszę już lecieć: jeśli się spóźnię, przegapię swój *tee time*.

Kiwnęła głową, chociaż golfowy termin nic jej nie mówił.

– Mimo wszystko dzięki, Thrándur. Dobrze, że miałam możliwość się ciebie poradzić.

– Nie ma sprawy, Hulda. Zawsze do usług. – I dodał, a jej się wydało, że w jego głosie usłyszała cień sarkazmu: – Miłego odpoczynku na emeryturze.

Patrzyła za nim, jak odholowuje kije ścieżką do małego pagórka, gdzie stali inni golfiści, którzy najwyraźniej na niego czekali. Dzień był wymarzony na grę. Niebo czyste, bezchmurny błękit: ukojenie dla zmęczonych oczu po ponurej zimie, chociaż w powietrzu nadal jeszcze wyczuwało się charakterystyczne szczypanie chłodu.

Wyglądało na to, że Thrándur będzie wybijał pierwszy. Sięgnął do torby po kij, po czym, widząc, że Hulda wciąż jest na parkingu i mu

się przygląda, uśmiechnął się do niej krzywo i poczekał, aż odjedzie. Pomachała do niego, nie cofając się nawet o krok, rozkoszując się jego skrępowaniem. Odwrócił wzrok, ustawił się plecami do niej, kij podniósł wysoko, jak broń, potem zamachnął się i mocno uderzył. Piłeczka przeleciała nad polem i wylądowała po drugiej stronie ogrodzenia z drutu kolczastego. Po reakcji Thrándura i jego kompanów Hulda wywnioskowała, że jej koledze chyba nie o taki efekt chodziło.

Dziewczynka nadal była zamknięta w sobie. Ciągłe płakała, poza tym nie okazywała emocji, ale matka nie chciała się poddać. Musiała jakoś dotrzeć do córki. A ta jakby ją karała za nieobecność w przeszłości, a to było straszną niesprawiedliwością, bo matka nie mogła postąpić inaczej. Nie miała wyboru. A teraz była tutaj, sama ze swoim dzieckiem, nękana lękami o przyszłość, prawie w ogóle nie sypiając po nocach. Jak miała połączyć pracę z wychowaniem córki? Prawie wszystkie znane jej kobiety były mężatkami i nie pracowały, miały mnóstwo czasu na zajmowanie się domem i dziećmi. I to nie tylko społeczeństwo było przeciwko niej: nawet tak zwani przyjaciele nie ukrywali niechęci do jej statusu samotnej matki. Tymczasem jej rodzice, nadal przekonani, że dziewczynka powinna przed paru laty trafić do adopcji, zareagowali źle na decyzję kobiety o przeprowadzce na swoje i trzymali się na dystans. Przez większość czasu kobieta czuła, że nie ma nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić po pomoc.

Piętrzące się trudności nie wzmacniały jej. Przeciwnie: z dnia na dzień czuła się coraz bardziej wyczerpana.

Kiedy szła do pracy, nie miała wyboru i musiała oddawać córkę mieszkającej blisko opiekunce do dzieci, zimnej, surowej kobiecie ze staroświeckimi poglądami na tematy wychowawcze. Każdego roboczego dnia matka przeżywała katusze, że swoją małą dziewczynkę zostawia w zagraconym, cuchnącym dymem z papierosów mieszkaniu w suterenie. Ale musiała pracować, inaczej nie byłaby w stanie utrzymać siebie i córki, a w okolicy tylko ta opiekunka oferowała usługę dziennej opieki, na którą było ją stać.

Żegnanie się z córką było cały czas tak samo trudne. Chociaż matka

wiedziała, że pod koniec dnia odbierze dziecko, każde rozstanie było jak powtórka pierwszego rozdzielenia. Matka modliła się, żeby córka nie odbierała tego w ten sam sposób. Dziewczynka za każdym razem płakała, ale nie było jasne, czy powodem łez było rozstanie z matką.

Kobieta powtarzała sobie, że wszystko w końcu jakoś się ułoży, że relacja między matką i córką kiedyś się unormuje. Tylko na tym jej zależało: na normalności. Ale w głębi duszy czuła – wiedziała – że tak się nigdy nie stanie. Szkody były nieodwracalne.

Thrándur czegoś jej nie powiedział, to było jasne, ale Hulda nie dała się zniechęcić. Wśród jej nielicznych przyjaciół w policji musiał być ktoś z odpowiednimi kontaktami w półświatku, w którym na co dzień obracał się Thrándur. Ponieważ nie miała najmniejszej ochoty pojawiać się w wydziale, umówiła się z przyjaciółką w kafejce przy Kjarvalsstadir, w galerii sztuki prawie w centrum miasta. Przez to śledztwo ciągle była zajęta. I chociaż miała powody, żeby czuć się zobowiązana wobec Eleny, to prowadzenie sprawy pomagało jej również uciec od bolesnego uczucia odrzucenia zalewającego ją, ilekroć wspominała rozmowę z Magnúsem.

Kafejka była prawie pusta, nie licząc młodej pary turystów, sądząc po plecakach i aparacie fotograficznym, pałaszującej szarlotkę. Widać było, że młodzi są w sobie zakochani, jak kiedyś ona i Jón. Hulda niełatwo oddawała komuś swoje serce, ale w Jónie zadurzyła się po uszy i to wspomnienie nadal było boleśnie żywe. Uczucie do Pétura nie było aż tak silne, ale to dobrze: lubiła go i potrafiła sobie wyobrazić jakąś wspólną z nim przyszłość. To wystarczało. Co do miłości, prawdopodobnie utraciła zdolność jej odczuwania. Nie, nie prawdopodobnie; zdecydowanie – i dokładnie wiedziała, kiedy to się stało.

Szarlotka wyglądała tak kusząco, że zamówiła sobie porcję i właśnie niosła do ust ostatni kęs, kiedy do kawiarni weszła jej przyjaciółka. Karen była dwadzieścia lat od niej młodsza, ale zawsze dobrze się dogadywały. Hulda wzięła dziewczynę pod swoje skrzydła – nie jak matka, bo nigdy nie potrafiłaby myśleć o Karen jak o córce, ale jak nauczycielka. Widząc w młodszej kobiecie siebie z przeszłości, uczyła ją poruszania się po skomplikowanym świecie

policyjnego patriarchy. Karen okazała się pojętną uczennicą i bardzo szybko zaczęła piąć się w górę, otrzymywała szanse i stanowiska, o których Hulda mogłaby jedynie pomarzyć. Błyskawiczną karierę protegowanej obserwowała z dumą, ale też z cieniem zazdrości, cienki głosik w jej głowie pytał: dlaczego ty nie mogłaś zająć wyżej?

Nigdy nie znalazła na to pytanie satysfakcjonującej odpowiedzi. Nie ulegało wątpliwości, że istniało wiele czynników, które przyczyniły się do tego, że wyszło tak, jak wyszło, łącznie ze stosunkiem do kobiet w czasach, gdy zaczynała. Ale prawdą było też to, że zawsze miała problem z nawiązywaniem więzi z kolegami, zawsze trzymała ich na długość ramienia i na polu kariery zawodowej odpowiednio za to zapłaciła.

– Hulda, kochana, jak się masz? To prawda, że odchodzisz? Czy już odeszłaś? – Karen usiadła na krześle naprzeciwko. – Przykro mi, ale mam mało czasu. Jestem zagoniona jak diabli, wiesz, jak to jest.

Karen pracowała kiedyś pod Thrándurem w obyczajówce, ale teraz wspięła się na wyższy szczebel drabiny kariery zawodowej.

– Ale kawy zdążysz się chyba napić? – spytała Hulda. – Z jakimś ciastkiem?

– Za ciastko zdecydowanie dziękuję, jestem na diecie bezglutenowej. Ale kawy się napiję. – Wstała. – Pójdę, przyniosę sobie.

– Nie, proszę, pozwól...

– Nie ma mowy – przerwała jej Karen głosem, w którym zdaniem Huldy pobrzmiwała litość. Jakby miała zbankrutować od kupienia jednej kawy, teraz, gdy przechodziła na emeryturę. Jeśli istniało coś, czego Hulda nie znosiła, to była to właśnie litość. Ale ponieważ nie chciała marnować czasu na coś tak trywialnego, odpuściła sobie.

– Naprawdę powinniśmy od czasu do czasu umawiać się na jakiś lunch – oświadczyła Karen, kiedy wróciła z cappuccino – żeby nie

stracić kontaktu. Oczywiście wiedziałam, że jesteś ode mnie starsza, ale nie zdawałam sobie sprawy, że aż tyle. – Niewiarygodne, ale Karen chyba uważała, że to komplement. Uśmiechnęła się promiennie, zupełnie niezawstydzona gafą. Jakby Huldzie miała pochwalić uwagę, że młodo wygląda.

Hulda zapanowała nad poirytowaniem, starając się je zbagatelizować, ale dotarło do niej, że ona i Karen tak naprawdę nigdy nie były przyjaciółkami. Karen potrzebowała jej pomocy i przyjaźni, gdy starała się o coraz wyższe stanowiska, ale teraz Hulda nie była jej już do niczego potrzebna, można ją było odstawić na boczny tor. Hulda skłęła się w duchu, że nie zauważyła tego wcześniej, nic jednak nie powiedziała, potrzebowała Karen.

– Przechodzę na emeryturę – poinformowała.

– Tak, słyszałam. Wszystkim nam będzie ciebie strasznie brakowało, kochana, wiesz o tym.

– Tak, wiem. Mnie was też – odparła nieszczerze Hulda. – Tak czy inaczej, jest pewna drobna sprawa, którą Magnús kazał mi wyjaśnić przed odejściem; chciał, żeby rzucił na nią okiem doświadczony funkcjonariusz. – Tu trochę skłamała, ale zaczynała się już do tego przyzwyczajać.

– Serio, Maggi tak chciał? – zdumiała się Karen mało pochlebnie.

Huldzie nigdy nie przyszłoby do głowy nazywać szefa „Maggi”.

– Tak, tak chciał. Sprawa dotyczy młodej Rosjanki, która zmarła niewiele ponad rok temu. Mogła tu pracować jako prostytutka, pod przykrywką osoby ubiegającej się o azyl.

Twarz Karen przybrała wyraz pustki. Zerknęła na zegarek i uśmiechnęła się przelotnie, widać było, że przebiera nogami, żeby już wyjść.

Po krótkiej i dość niezręcznej chwili ciszy powiedziała:

– Przykro mi, ale chyba nie mogę ci w niczym pomóc. Nigdy nie słyszałam o tej sprawie, a poza tym przeniosłam się.

– Tak, wiem – potwierdziła Hulda spokojnie – ale zawsze mi się wydawało, że sporo wiesz o tym świątku, znasz nazwiska i twarze. Ale być może myliłam się co do zadań, jakimi się zajmowałaś... – nie dokończyła z rozmysłem. Przyszło jej do głowy, żeby zapytać wprost, czy Karen nie powierzano „ważnych” informacji, uznała jednak, że aluzja była wystarczająco oczywista.

– Nie, nie, słusznie ci się wydawało. Kurczę – mruknęła Karen, łapiąc się na haczyk.

– Jest ktoś, kogo nie przygwoździliśmy, a kogo podejrzewamy o... no cóż, zajmowanie się tego rodzaju procederem?

– Nie jestem pewna, jak ten obszar wygląda teraz, ale jedna osoba rzeczywiście przychodzi mi do głowy. Chociaż... – Karen zaczynała wymiękać, ale Hulda nie zamierzała dać się jej wymknąć. Czekala... i czekała, bo akurat w tym była dobra, i faktycznie już po chwili Karen poczuła się zmuszona kontynuować: – No wiesz, trudno było cokolwiek mu przypisać, więc w zasadzie mu odpuściliśmy. Nazywa się Áki. Mogłaś o nim słyszeć. Prowadzi hurtownię.

Imię brzmiało znajomo, chociaż Hulda nie kojarzyła twarzy.

– Młody czy stary?

– Pod czterdziestkę. Mieszka w zachodniej części miasta, w szpanerskim domu, który musiał kosztować fortunę.

– Prowadzenie hurtowni musi być dochodowe.

– Nie aż tak, zapewniam. On w tym siedzi po uszy. Ale czasami nie da się złapać kogoś za rękę, więc trzeba odpuścić i iść dalej. Tylko, błagam, nie rozpowiadaj o tym nigdzie; oficjalnie facet jest czysty jak lza.

– Nie obawiaj się, zachowam to dla siebie – zapewniła Hulda. – Informacja jest interesująca, ale wątpię, żeby do czegoś mi się przydała. Ja szukam jakiegoś powiązania z tą zmarłą dziewczyną.

– Rozumiem. Tak czy inaczej...

I z tym się rozstały, bez cienia uczucia z obu stron. A Hulda, wbrew

temu, co powiedziała, zamierzała złożyć wizytę hurtownikowi. No bo w końcu co miała do stracenia?

Chociaż życie z córką normalniało, matka nie do końca tak to sobie wyobrażała. Dla niej to była ciężka, zaciekła walka. Dziecko było nieposłuszne, drażliwe i zamknięte w sobie, mimo że matka starała się obdarowywać je całą miłością i dobrocią, do jakich była zdolna. Najtrudniejsze były wieczory: miała nadal tak się bała ciemności, że zasypiała tylko przy włączonym świetle. Ich sytuacja finansowa też była niepewna, i to całe zamartwianie się o dziecko, o pieniądze, o przyszłość zbierało swoje żniwo.

Kobieta zaczęła żałować, że nie powiedziała ojcu dziewczynki, że nosi jego dziecko. Był amerykańskim żołnierzem, który po wojnie krótko stacjonował na Islandii, a ich związek był nawet krótszy, trwał tylko noc czy dwie. Kiedy się zorientowała, że jest w ciąży, co noc dręczyła się pytaniem, czy ma go odszukać, ale bariera wydawała się nie do pokonania. Po prostu nie była w stanie się do tego zmusić, zbyt się wstydziła tego, że się ze sobą przespali i tego, do czego to doprowadziło. Oczywiście wina rozkładała się równo na nich dwoje, ale on mógł się urwać, uciekł do swojego kraju, zostawiając ją samą z konsekwencjami: ciążą i nieślubnym dzieckiem; z tym, że musiała spojrzeć w oczy rodzinie i znajomym.

Teraz, rzecz jasna, było już za późno. On wrócił do Ameryki. Wprawdzie wiedziała, w jakim stanie mieszka, niewiele by to jednak pomogło, bo, chociaż mogłoby się to wydawać nieprawdopodobne, nie znała jego nazwiska. Na pewno w którymś momencie mówił, jak się nazywa, ale jej angielski był słaby i prawdopodobnie to przeoczyła. Poza tym w tamtym czasie pewnie wydawało jej się to mało istotne. Gdyby się tak straszliwie nie wstydziła, mogłaby do niego dotrzeć na początku, kiedy odkryła, że jest w ciąży, bo wtedy

był jeszcze na Islandii. Ale na myśl, że będzie musiała pojechać do amerykańskiej bazy w Keflavík, prosić o widzenie z żołnierzem, którego nazwiska nie знаła, z brzuchem, który zaczynał być widoczny... Boże, nie, nie mogła tego zrobić. A jednak teraz najchętniej by sobie przyłożyła za to, że była taka żalosna. Żałowała, że nie była odważniejsza ze względu na dziecko, ze względu na tę małą dziewczynkę, która przypuszczalnie nigdy nie pozna własnego ojca. A on nigdy się nie dowie, że w dalekiej mroźnej Islandii spłodził piękną córeczkę. Islandia była pewnie jednym z wielu miejsc, w których młody żołnierz stacjonował, ale, choć był tutaj tylko raz, po swojej obecności zostawił trwałą pamiątkę.

Kobietę przerażała myśl, że kiedyś będzie musiała wszystko opowiedzieć córeczce.

Hulda wciąż jeszcze siedziała w kafejce w Kjarvalsstadir, gdy zadzwoniła Dóra z hostelu.

– Nie mogłam złapać pani rano – powiedziała. – Nie przeszkadzam?

Po wyjściu Karen Hulda została w kawiarni, zmęczona i oklapnięta. Musiała jeszcze chwilę posiedzieć, zebrać energię, żeby wyjść z powrotem w islandzką wiosnę, która tym razem zapowiadała raczej koniec czegoś niż początek. Choć ten kamień milowy był przewidywalny i nieunikniony, Hulda po prostu nie była w stanie pogodzić się z myślą o zakończeniu pracy. Nie obcesowość, z jaką szef przekazał jej wiadomość o przejściu na emeryturę, wywołała w niej stan otępiającego szoku, nawet nie to, że musiała odejść wcześniej, niż planowała, ale fakt, że w ogóle musi odejść. Cokolwiek by mówiła o swoich kolegach, byli jednak jej kołem ratunkowym. Wolała nawet ich docinki i zazdrość niż siedzenie jak w zamkniętej klatce w czterech ścianach mieszkania w bloku, gdzie z braku czegoś, co mogłoby ją oderwać od smutnych myśli, przytłoczą ją wspomnienia z przeszłości. Nie tyle przytłoczą, ile zaduszą. Odkąd pamiętała, spała niespokojnie, jeszcze nawet zanim zaczęły się te powracające koszmary. Trzymała się tylko dzięki dochodzeniom, śledztwom, presji pracy. Miniona noc była typowa, nie różniła się od innych – sny o tej zmarłej Rosjance zostały wyparte przez te inne, niechciane wspomnienia z przeszłości: żal, wyrzuty sumienia. Czy mogła coś zrobić inaczej...?

Hulda siedziała i rozmyślała nad swoim losem. W kawiarni została już tylko ona, nawet turyści wyszli. Nikogo nie interesowała islandzka sztuka czy islandzka szarlotka z bitą śmietaną w ten

słoneczny dzień, tak piękny pomimo chłodnego północnego wiatru. W końcu na dworze zawsze da się gdzieś znaleźć jakieś osłonięte miejsce.

Czy właśnie tak będą wyglądały jej dni, jak już zostanie emerytką? Przesiadanie po kawiarniach, próby wypełnienia długich pustych godzin? Przez chwilę myślała o tym, żeby zadzwonić do Pétura i poprosić, żeby do niej dołączył, ale zrezygnowała, nie chciała się narzucać.

A tu ta Dóra pyta teraz, czy nie przeszkadza. Cóż za ironia losu.

– Nie – odpowiedziała zgodnie z prostą prawdą. – Przepraszam, ale nie słyszałam, że telefon dzwonił. Mam nadzieję, że nie chodziło o nic pilnego.

– Och, nie, wcale. Mówiąc szczerze, nie rozumiem, dlaczego zawraca sobie pani tym głowę. Ta dziewczyna zmarła dawno temu i nikogo to już nie obchodzi, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

Hulda rozumiała aż za dobrze. Nie mając nikogo, kto by się za nią ujął, ta biedna Rosjanka została potraktowana przez policję jak śmieć. I choć to nie była jej wina, Hulda wstydziła się z tego powodu.

– Po prostu coś mi się przypomniało, to pewnie nic ważnego, ale przecież nie wiadomo, co pani może się przydać.

Hulda w sekundę znalazła się na skraju krzesła, zamieniła się w słuch.

– Chodzi o gościa, który po nią raz przyjechał, jakiś obcy facet.

– Obcy?

– Taa, nie jeden z tych prawników, którzy zwykle zajmują się sprawami azylu. Ani też ten tłumacz. Ktoś inny.

– Powiedziała pani, że po nią przyjechał?

– Tak, widziałam, jak wsiadała do jego samochodu. Dopiero teraz mi się to przypomniało. – Z jej tonu wynikało, że Dóra jest z siebie zadowolona, bo mogła dostarczyć Huldzie nowe fakty. – Widzi pani, pamiętam, że się zastanawiałam, gdzie ona z tym facetem jedzie, bo,

rzecz jasna, nie znała żadnych Islandczyków.

– A on był Islandczykiem? – upewniła się Hulda, wyciągając notes, żeby zapisać szczegóły. Nagle wróciła jej cała energia.

– Tak.

– A skąd to pani wie? Rozmawiała z nim pani?

– Co, ja? Nie. Wpadłam na nich na dworze. Ten facio wchodził do środka, chyba po to, żeby zapytać o Elenę w recepcji. Zdaje się, że właśnie zaczynałam zmianę.

– Skąd pani wiedziała, że to Islandczyk? – powtórzyła pytanie Hulda.

– Bo Islandczyka zawsze da się rozpoznać: wszyscy wyglądają tak samo, wie pani, o co chodzi. Typowa islandzka facjata, islandzki wygląd.

– Potrafi go pani opisać?

– Nie, to było zbyt dawno temu.

– Był szczupły? Przy kości? – Hulda westchnęła pod nosem, zirytowana, że wszystko musi wyciągać z dziewczyny po kawałeczku.

– Tak, przy kości, zgadza się. Nawet gruby, i brzydki, o ile dobrze pamiętam.

– Nie był w pani typie, tak? – podpowiedziała Hulda.

– Boże, nie. Pamiętam, że pomyślałam, że może znalazła sobie chłopaka, ale oni tak bardzo do siebie nie pasowali; ona była atrakcyjna, wie pani, wysoka i zgrabna, a on niski i gruby.

– I nigdy wcześniej go pani nie widziała?

– Nie, nie sądzę.

– Pamięta pani, kiedy to było?

– Chyba pani żartuje. Nie pamiętam, co jadłam na śniadanie. Boże, to było jakiś czas... no nie wiem, jakiś czas przed jej śmiercią – dodała kobieta, stwierdzając oczywistość. – I myśli pani, że mógł być jej chłopakiem? – Po rozmowie z Bjarturem Hulda miała własną

teorię tego, co się działo, ale chciała sprawdzić, czy Dóra też coś podobnego podejrzewała. Nie spytała jednak wprost. Nie było sensu rozniecać plotek – przynajmniej nie na tym etapie.

– No nie, chyba raczej nie. Tak mi się po prostu wtedy pomyślało. Gdyby miała chłopaka z Islandii, jestem pewna, że byłby o wiele przystojniejszy od tamtego gościa.

– Domyśla się pani, czego mógł od niej chcieć?

– Nie. Ale z drugiej strony to nie była moja sprawa. Mam i tak mnóstwo spraw na głowie, bo prowadzę hostel; nie interesuje mnie, w co się pakują moi rezydenci, to nie mój problem.

– W jakim mógł być wieku?

– Trudno powiedzieć. To był taki zwykły facio. Może w średnim. Starszy od niej.

– Widziała pani, jakim samochodem przyjechał?

– O taak, dużą terenówką. Tacy jak on zawsze jeżdżą takimi, czarnymi najczęściej.

– Jakiej była marki?

– Niech mnie pani o to nie pyta, nie rozróżniam ich. Dla mnie wszystkie wyglądają tak samo.

– Czy to mogło być w dniu, w którym zmarła?

– Wie pani, nie jestem pewna – odpowiedziała. – Może dzień wcześniej, ale wątpię. Bo pewnie wtedy bym te dwie rzeczy połączyła, no nie?

– Nie mam pojęcia – mruknęła Hulda.

– No tak, racja.

– Widziała pani tego człowieka jeszcze kiedyś później?

– Nie, nie wydaje mi się.

– To wszystko brzmi bardzo interesująco, Dóro. Dziękuję za telefon. Zadzwoń pani, jeśli przypomni się pani coś jeszcze? Cokolwiek by to było?

– Taa, jasne. To nawet zabawne, co nie? Ta cała zabawa w

detektywa. To znaczy czasami czytam kryminały, ale nigdy nie przypuszczałam, że sama będę brała udział w jakimś śledztwie.

– To niezupełnie to samo – zaczęła Hulda trochę wyniośle, ale zaraz, wyczuwając okazję, zmieniła ton i dodała bardziej zachęcająco: – Wyświadczyłaby mi pani przysługę i rozejrzałaby się tam u siebie?

– To znaczy co dokładnie miałabym zrobić?

– Rozpytałaby się pani, może ktoś zapamiętał jakieś szczegóły, które mogą być ważne. Widzi pani, moim zdaniem Elena została zamordowana, i to od nas zależy, czy znajdziemy osobę za to odpowiedzialną. – Hulda poczuła ukłucie wątpliwości: może stawia dziewczynę w trudnej sytuacji, może nawet zagrożenia...? Odrzuciła tę myśl. Nie w takim spokojnym małym kraju jak Islandia. Tutaj ludzie zabijają bez planowania, pod wpływem alkoholu czy narkotyków, w przypiływie furii czy zazdrości. Morderstwa z premedytacją tu się nie zdarzają, nie mówiąc już o wielokrotnych morderstwach tego samego rodzaju. Była na tropie mordercy, to było dla niej jasne, ale Dórze nic nie groziło.

– Dobrze, rozpytam się, nie ma problemu.

– A co z tą kobietą z Syrii? – spytała jeszcze Hulda. – Mogłabym z nią może teraz porozmawiać?

– Nie, przykro mi, nie mogłaby pani. Była tu policja i zabrała ją.

– Jak to? Co pani przez to rozumie?

– Deportowali ją. To się zdarza. Wie pani, trochę tak jak w tej grze w krzesła, w którą grają dzieci. Muzyka się zaczyna, wszyscy wstają i chodzą w kółko, i kiedy muzyka przestaje grać, jedno z krzesel jest zabierane i ktoś nie ma szczęścia. Tym razem padło na tę Syryjkę.

Raz czy dwa wspomniała, że chciałyby gdzieś pojechać, zobaczyć trochę Islandii. Wyjechać na wieś, uciec z miasta, chociaż trudno było powiedzieć, żeby tu były wielkie miasta. Nawet Reykjavik to tylko trochę większa wieś w porównaniu z tym, do czego była przyzwyczajona.

Kiedy podsunęła pomysł wycieczki, mówiła półzartem, zupełnie nie oczekując, że coś z tego wyniknie, zwłaszcza przy tak nieprzyjaznej aurze. Dzień za dniem od morza dął lodowaty ostry wiatr, któremu czasem towarzyszył deszcz, a najczęściej śnieg. Idealna biel była piękna, kiedy się ją oglądało z okna, ale pogoda ciągle się zmieniała, a to oznaczało, że śnieg rzadko długo utrzymywał swą pocztówkową nieskazitelność i najpierw zamieniał się w szarą breję, potem w lód, podczas nieuchronnie następujących po śnieżycach mrozów, zanim znów pokrywały go świeże opady.

Dlatego była zaskoczona, gdy zadzwonił i zaproponował krótką weekendową wycieczkę, żeby pooglądać śnieg, jak to ujął. Zerknęła przez okno na ulewny deszcz, przez szybę usłyszała wycie wiatru i zadrżała. Ale żyje się tylko raz, pomyślała. Lepiej się zgodzić i przeżyć coś nowego, jakąś przygodę na obrzeżach Arktyki.

– A nie będzie zimno? – spytała. – Bo za oknem wygląda, jakby było, i to bardzo.

– Będzie zimniej – odparł i dodał, jakby czytał jej w myślach: – Przeżyjemy przygodę.

A więc myśleli podobnie.

Usłyszała, jak odpowiada, że się zgadza. Ale miała jeszcze inne pytania: Dokąd pojedą? Jak tam dotrą? Co powinna ze sobą zabrać?

Powiedział, żeby się niczym nie przejmowała. Pojadą jego terenówką. Nie jakoś specjalnie daleko: pogoda jest nieprzewidywalna, nie będą ryzykowali.

Ale przynajmniej uciekną od tego wszystkiego i posmakują bezludzia.

Spróbowała jeszcze raz: Dokąd pojedziemy?

Nie chciał powiedzieć.

– Zobaczysz – odparł w końcu, potem spytał, czy ma ciepłą kurtkę, najlepiej puchową. Kiedy powiedziała, że nie ma niczego odpowiedniego, zaproponował, że pożyczy jej swoją. Powinna się też zaopatrzyć w wełnianą bieliznę, żeby jej było ciepło w trakcie podróży, zwłaszcza nocą, bo wtedy robi się naprawdę zimno.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zmienić zdania, ale coś ją ciągnęło, przemawiało do jej żądz przeżycia przygody. Powiedziała mu, czego się już pewnie domyślał, że nie ma wełnianej bielizny, a on się zaoferował, że ją dla niej kupi, że pożyczy jej pieniądze. Zwróci mu je później.

Czy to możliwe, że zbliżała się do prawdy? Czy to możliwe, że ten nieznanymi mężczyzna przyjechał po Elenę dzień przed znalezieniem jej zwłok, że był jej klientem? Hulda potrafiła sobie wyobrazić tę scenę, jakby sama tam była. Wyobrażała sobie, jak samotna i opuszczona czuła się Elena, zmuszona do uprawiania prostytutki w obcym kraju. Możliwe, że to był jej pierwszy klient. Możliwe, że kiedy przyszło właśnie do tego, nie zgodziła się. Czy odmowa mogła ją kosztować życie?

Ta myśl nappełniła Huldę bezradną furią i nienawiścią. Musi na siebie uważać. Co takiego napisał kiedyś biskup Vídalín? „Wściekłość, jak piorun z piekła, wykręca wszystkie członki, rozpala w oczach morze ognia”.

Doszła do wniosku, że to zasługuje na ponowną rozmowę z Bjarturem. Zadzwoiła i spytała, czy Elena wspominała kiedykolwiek o swoich klientach, czy wymieniała ich nazwiska, mówiła, czym się zajmowali? Bjartur chciał pomóc, ale powiedział, że Elena niestety nie dzieliła się z nim takimi informacjami.

Następnym krokiem było spotkanie z Ákim, przedsiębiorcą podejrzewanym o prowadzenie grupy przestępczej związanej z prostytutką. Hulda dowiedziała się, gdzie mężczyzna mieszka, i pojechała do bogatszej części miasta po jego zachodniej stronie. Dom okazał się starą jednopiętrową willą z zadbanym ogrodem. Gałęzie drzew wciąż jeszcze były nagie, ale biło od nich jakieś wyczekiwanie, jakby już się szykowały na wypuszczenie pierwszych wiosennych pączków. Dom, dość skromny jak na takie eleganckie sąsiedztwo, emanował spokojem, jakby nikogo w nim nie było, wrażenie potęgował brak samochodu na podjeździe. Hulda

zadzwońiła, ale nikt się nie pojawił, postanowiła więc zaczekać chwilę w aucie, w razie gdyby właściciel miał wrócić. Jak do tej pory to był jej najlepszy trop i chciała dopaść Ákiego osobiście, zasypać go pytaniami, zanim będzie miał szansę przygotować odpowiedzi. Poza tym nie miała dokąd pójść. Trochę się cofnęła i zaparkowała starą skodę w dyskretnej odległości, w miejscu, z którego nadal dobrze widziała dom.

Nie potrafiła policzyć godzin, jakie w trakcie służby w policji spędziła, czekając w samochodzie – był to tak długi nawyk, że już nawet sprawiało jej to przyjemność – ale kiedy minęły dwie godziny, strasznie chciało jej się wyjść z auta i rozprostować nogi. Lepiej trochę wytrzymać, powiedziała sobie w duchu. A może powinna jeszcze raz zadzwonić, tak na wszelki wypadek? Może facet jednak jest w domu; mógł tam być przez cały czas.

Kiedy zastanawiała się, co byłoby lepsze, na podjazd przed domem zajechała terenówka. Wysiadł z niej szczupły, młodo wyglądający mężczyzna z krótkimi włosami. Poruszał się energicznie, w zdecydowany sposób. Hulda obserwowała, jak wchodzi do domu, i dała mu kilka minut, zanim, idąc w jego ślady, zadzwoniła do drzwi. Mężczyzna otworzył osobiście, wciąż był w butach i w kurtce.

Wyglądał na zaskoczonego wizytą i czekał, nieruchomy i czujny, aż Hulda wyjaśni, z czym przyszła.

– Áki? – spytała, starając się zapanować nad głosem, tak żeby brzmiał spokojnie i opanowanie.

Mężczyzna kiwnął głową, usta mu drgnęły, układając się w czarujący uśmiech.

– Mogłabym zamienić z panem słówko?

– To zależy. O czym mielibyśmy rozmawiać? – Głos miał ciepły, z nutką stanowczości.

– Nazywam się Hulda Hermannsdóttir. Jestem z policji. – Sięgnęła do kieszeni, mając nadzieję, że jej legitymacja tam jest.

– Z policji – powtórzył z zastanowieniem. – Rozumiem. Proszę wejść. Czy coś się stało?

Przywołując z pamięci zdjęcie zwłok Eleny na plaży, chciała odpowiedzieć, że tak, ale się powstrzymała.

– Nie, nie, skąd. Chciałabym tylko zadać panu kilka pytań, jeśli się pan zgodzi. – Była tak uprzejma, jak tylko potrafiła w danych okolicznościach, nie chciała prowokować mężczyzny, żeby przypadkiem nie wezwał adwokata. Lepiej na razie nie komplikować sytuacji. Z materiałami dowodowymi, do jakich teraz miała dostęp, byłoby jej trudno uzasadnić tę wizytę. Pociągnie tylko lekko faceta za język, zobaczy, co z tego wyniknie, spróbuje wyczuć, jaki jest.

Zaproponował jej, żeby usiadła w salonie – prawdopodobnie jednym z kilku, bo dom w środku wyglądał na większy, niż to się wydawało z zewnątrz. Wystrój był nowoczesny i minimalistyczny, schemat kolorystyczny zdominowany przez odcienie czerni i stalowej szarości. Hulda usiadła na czarnej kanapie obitej błyszczącym materiałem, zimnym w dotyku, Áki przysiadł naprzeciwko niej na dużym podnóżku, części kompletu z eleganckim fotelem.

– Prawdę mówiąc, trochę goni mnie czas – brzmiała jego wstępna uwaga, jakby zaznaczał terytorium, jakby dawał znać, że Hulda może zostać, ale tylko na jego warunkach.

– Mnie też – odpowiedziała, doskonale pamiętając, że jej dni w roli policjantki są policzone. – Chciałabym pana zapytać o młodą kobietę z Rosji... – Pozwoliła, żeby cisza trochę się przedłużyła, i w tym czasie obserwowała reakcję mężczyzny. Odniosła wrażenie, że wiedział, o czym mówi. Jego spojrzenie na sekundę umknęło w bok, potem znowu skrzyżowało się z jej spojrzeniem.

– Z Rosji?

– Przyjechała na Islandię jako uchodźca szukający azylu – wyjaśniła, postanawiając przejść do sedna od razu, bez wstępów. –

Ale jest całkiem prawdopodobne, że w rzeczywistości była ofiarą handlu usługami seksualnymi. – Tak brzmiała jej teoria robocza i nie widziała powodu, dla którego miałyby nie pójść dalej i nie przedstawić jej jako faktu.

– Obawiam się, że nie wiem, o czym pani mówi, Huldo. – Nie przestawał patrzeć jej prosto w oczy. – Nic z tego nie rozumiem. Czyżby sądziła pani, że znam tę kobietę?

Znam, czas terażniejszy. Sygnał, że nic nie wiedział o Elenie ani o tym, co ją spotkało, albo że był winny i próbuje ją zmylić.

– Ta kobieta nie żyje – oświadczyła bez owijania w bawełnę. – Miała na imię Elena. Jej ciało zostało znalezione w zatoce na Vatnsleysuströnd.

Twarz Ákiego pozostała bez wyrazu.

Ale nie wyglądał, jakby miał zaraz Huldę wyprosić. Siedział sztywno wyprostowany, był opanowany, zachowywał pozory godności w tych swoich granatowych dżinsach, białej koszuli, czarnej kurtce i lśniących czarnych butach. Cały jego wygląd, tak jak dom i samochód, mówił o zamożności.

– Przy okazji, ładnie pan mieszka – zauważyła, rozglądając się. – Czym się pan zajmuje zawodowo?

– Dziękuję. Chociaż to przede wszystkim zasługa żony. Lubimy się otaczać pięknymi przedmiotami.

Hulda się uśmiechnęła.

„Piękne” to nie było pierwsze określenie, jakie jej przyszło do głowy, kiedy zobaczyła te meble i wystrój; „bezduszne” – raczej taki przymiotnik by wybrała.

Ale nic nie powiedziała, czekała, aż mężczyzna odpowie na drugie pytanie.

– Zajmuję się handlem hurtowym – wyjaśnił po chwili, wyraźnie dumny, albo przynajmniej takie wrażenie chciał wywrzeć.

– Czym pan handluje?

– A co by panią interesowało? – Uśmiechnął się szeroko, potem jednak zmienił ton na nieco poważniejszy: – Może nie powinienem tak żartować przed policjantką. Importuję trochę tego, trochę tamtego: alkohol, meble, urządzenia elektryczne, wszystko, co da się sprzedać z dobrą marżą. Mam nadzieję, że bycie kapitalistą jeszcze nie zostało ogłoszone zbrodnią.

– Oczywiście, że nie. I to wszystko?

– Wszystko?

– Czy pan w ogóle wie, jak ta Elena wyglądała? Mogę panu pokazać jej zdjęcie.

– Nie ma takiej potrzeby. Zapewniam panią, że nie znam tej osoby. Nigdy wcześniej nie słyszałem tego imienia, nigdy nie poznałem żadnej Rosjanki ubiegającej się o azyl, nie prowadzę interesów z Rosją, kropka. I jestem szczęśliwie żonaty, więc nie mam potrzeby korzystać z usług prostytutek, jeśli to jest to, co pani sugeruje. – Nadal było od niego niemal nadnaturalnym spokojem.

– Nie, ależ skąd, bynajmniej – zapewniła Hulda, czując, że w powietrzu panuje coraz większe napięcie pomimo luksusowego i wyrafinowanego otoczenia. Szklany stolik między nimi błyszczał jak lustro, pokój był jasny i przestronny, przez okna wpadały smugi popołudniowego słońca, a sam Áki sprawiał wrażenie szanowanego członka społeczeństwa, uprzejmego, dobrze wychowanego, nawet szarmanckiego. A jednak instynkt podpowiadał Huldzie, że krzyżowała szpadę z groźnym przeciwnikiem, i to na jego terenie.

Cisza, która nastąpiła, trwała tylko kilka sekund, ale wrażenie było takie, jakby ten czas włókł się nieskończenie wolno.

– Tak w zasadzie to chciałam zapytać... – Nietypowo dla siebie zawahała się. Zmusiła się, by mówić dalej: – Chciałam zapytać, czy to pan sprowadził ją do kraju.

Áki nie wyglądał na w najmniejszym stopniu poruszonego.

– Ha, a to dobre. Pyta mnie pani, czy sprowadziłem do kraju

prostytutkę?

– Tak. Albo prostytutki.

– Teraz to już się zupełnie pogubiłem. – Jego ton zrobił się ostrzejszy i Huldzie nagle, z niewiadomych powodów, zrobiło się zimno, choć w pokoju panowała przyjemna temperatura.

– Mówię o handlu ludźmi – ciągnęła, nie odpuszczając. – O zorganizowanej prostytutce. Z moich informacji wynika, że Elena była ofiarą tego procederu.

– Interesujące. Tylko nie pojmuję, dlaczego myśli pani, że mógłbym mieć cokolwiek wspólnego z taką działalnością? – Głos Ákiego odzyskał swą jedwabistą gładkość.

– Ja niczego takiego nie myślę – odpowiedziała pośpiesznie, nie chcąc otwarcie oskarżać go o udział w działaniach przestępczych, kiedy nie miała na to solidnych dowodów.

– Ale pani to insynuuje – rzucił, znów uśmiechnięty.

– Nie, ja tylko pytam, czy wie pan coś o tej dziewczynie lub o tego typu działalności?

– A ja już odpowiedziałem, że nie wiem. Szczerze mówiąc, uważam, że to odrobinę zbyt wiele, że funkcjonariusz policji zjawia się u praworządnego obywatela takiego jak ja, kogoś, kto sumiennie płaci podatki, i to z naddatkiem, i że ten funkcjonariusz ma czelność oskarżać mnie o działalność przestępczą. Zgodzi się pani ze mną? – Wciąż był zaskakująco spokojny, głos miał opanowany. Huldzie przemknęło przez myśl, że niewinny człowiek byłby bardziej poruszony, może wręcz zły, słusznie zresztą.

– O nic pana nie oskarżałam i jeśli nie wie pan nic o Elenie...

– Dlaczego pani tu przyszła? – spytał niespodziewanie, zaskakując ją. – Co podsunęło pani pomysł, żeby się ze mną spotkać?

Po chwili niezręcznej ciszy odpowiedziała:

– Anonimowa informacja.

– Anonimowa? Takie rzadko są wiarygodne, zgodzi się pani? –

Korzystał dalej ze swojej przewagi: – Ma pani jakieś konkretne dowody, do których mógłbym się odnieść? Trudno jest się bronić przed zarzutami branyimi z powietrza. Pewnie rozumie pani – nachylił się do niej – że mam reputację, którą muszę chronić. W biznesie nieposzlakowana opinia to majątek.

– Doskonale to rozumiem. I mogę pana zapewnić, że na tym nasza rozmowa się kończy. Ponieważ, jak widzę, nie jest panu znana ta sprawa, nie ma tu nic więcej do powiedzenia. – Huldę ogarnęła pilna potrzeba opuszczenia salonu, wyjścia na słoneczne wiosenne popołudnie, mimo że Áki w najmniejszym stopniu nie zachowywał się groźnie. W gruncie rzeczy było wręcz odwrotnie.

Ona jednak poczuła się nagle uwięziona w jego domu, miała wrażenie, że ściany się na nią osuwają. Spocily jej się dłonie; wyczuwając, że role się odwróciły, coraz bardziej się denerwowała. W trakcie swojej kariery często próbowała zagłębiać się w psychikę podejrzanych, nie ze współczucia dla ich sytuacji, ale dlatego, żeby ulepszać technikę przesłuchań. Przez lata stała się w tym całkiem biegła. Raz posunęła się nawet do tego, że zamknęła się w celi, chcąc sprawdzić, jak to jest siedzieć w takim zamknięciu i jak długo to wytrzyma. Jej kolega, zanim zamknął za nią drzwi, spytał, czy wie, co robi, a ona potaknęła, mimo że po plecach płynął jej zimny pot. Drzwi się zamknęły i została sama w czterech pustych ścianach. Obok opancerzonych drzwi było wąskie okno i, nad łóżkiem, drugie, trochę większe, z szybą z matowego szkła, którego jedynym przeznaczeniem było wpuszczenie do celi odrobiny światła. Hulda, kiedy sobie uzmysłowiła, że oddycha nienaturalnie szybko, zamknęła oczy, żeby oderwać myśli od faktu, że jest uwięziona w tej małej przestrzeni. Ale to wcale nie pomogło, poczuła się, jakby miała atak klaustrofobii, aż bała się, że zemdleje. Jednak wiedziała, w przeciwieństwie do prawdziwego więźnia, że wystarczy, jeśli zapuka, i zostanie wypuszczona. Dysząc, bliska hysterii, wytrzymała

tyle, ile mogła, zanim w końcu poderwała się i zabębniła w drzwi. Kiedy jej kolega nie zjawiał się od razu, ledwie powstrzymując krzyk, szarpała drzwiami i waliła w nie z całej siły. Ale na szczęście wtedy się otworzyły. Czuła się tak, jakby w celi siedziała wiele godzin, ale jej kolega zerknął na zegarek i powiedział, że wytrzymała tylko minutę.

Teraz uczucie klaustrofobii nie było tak nasilone jak wtedy, ale coś w tym spotkaniu w salonie Ákiego poruszyło jej pamięć.

Podniosła się.

– Miło było pana poznać. Dziękuję, że zgodził się pan na tę nieumówioną rozmowę.

Áki również wstał.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę się kontaktować, jeśli uzna pani, że mógłbym pomóc w czymś jeszcze. – Wyciągnął rękę do pożegnalnego uścisku. – Rzecz jasna, ja też się odezwę, jeśli coś mi się obije o uszy – dodał ze śmiechem. – Chociaż wątpię, handel hurtowy to mało ekscytująca działka. Hulda, Hulda Hermannsdóttir, dobrze zapamiętałem? – dokończył i tym razem nie było żadnych wątpliwości co do groźby kryjącej się za jego słowami.

Nadszedł dzień wyprawy. Stała z boku i patrzyła, jak pakuje dwa plecaki, jeden dla niej.

– Naprawdę aż tyle tego potrzeba? – spytała. Dotarło do niej, że wyprawa będzie o wiele cięższa, niż sobie wyobrażała.

Skinął głową i powiedział jej, że z mniejszą ilością nie dadzą rady. W plecaku jest śpiwór, który utrzyma ją przy życiu w mroźną noc, zapasy jedzenia, gruby szalik, para rękawiczek, które wyglądały na za duże dla niej, wełniana czapka i pusta butelka. Kiedy zapytała, czy powinna nappełnić ją wodą, roześmiał się.

– Nie zapominaj, że jesteśmy na Islandii: czystej wody mamy tu aż nadto. Będziemy nocowali w górskiej chacie, woda w tamtejszym strumieniu jest czystsza od każdej kranówki.

Gdy już myślała, że nie znajdzie się miejsce na cokolwiek więcej, dołożył latarkę i baterie, po czym powiedział, że to chyba wszystko. Podniosła swój plecak z trudem, sapnęła i wykrzyknęła, że jest o wiele za ciężki.

– Nonsens – odparł. – Nawet go nie zauważysz, jak go założysz na plecy. To też będzie ci potrzebne... – Sięgnął po parę kijków do chodzenia i przywiązał je do zewnętrznej strony plecaka.

Po zapakowaniu obu do samochodu zapytał ją, czy umie jeździć na nartach. Pokręciła głową, dostrzegając promyk nadziei, że może jakoś się z tego wykręci. Powiedziała mu, że nigdy się nie nauczyła i że teraz już na to stanowczo za późno. Może więc lepiej będzie, jak w ogóle zrezygnują z wyjazdu. Roześmiał się i stwierdził, że nigdy by jej nie zawiódł. Potem zniknął i wrócił z parą nart, kijkami i grubą liną.

Spytała ze zdenerwowaniem, czy zamierza jeździć bez niej.

Wyjaśnił, że to na wszelki wypadek; gdyby coś się stało, będzie mógł zjechać na nartach po pomoc. Widząc, że patrzy na sznur, dodał, że to do

wyciągania samochodu, gdyby się zakopał.

– Spodziewasz się, że to się może zdarzyć? – spytała, oddech zatykał jej gardło.

– Nie ma takiej opcji – zapewnił. A ona mu uwierzyła.

Usiadła na miejscu dla pasażera, on przekręcił kluczyk w stacyjce i wtedy nagle o czymś sobie przypomniał. Poprosił, żeby chwilę zaczekała, i szybko pobiegł z powrotem, pozostawiając włączony silnik. Obserwowała go w lusterku i kiedy zobaczyła, że wraca, niosąc dwie siekiery, zrobiło jej się słabo. Wrzucił je do bagażnika i z powrotem usiadł za kierownicą.

– Czy to były... siekiery? – Głos jej trochę drżał, chociaż próbowała ukryć przerażenie, jakie zalało jej serce na widok siekier.

– Jasne, do lodu... dla każdego po jednej.

– A do czego, na Boga, będą nam potrzebne siekiery do lodu? – zdumiała się. – Nie chcę robić niczego ryzykownego. Nie uprawiam sportów ekstremalnych.

– O nic się nie martw, to tylko na wszelki wypadek, środek ostrożności. Lepiej być przygotowanym na każdą ewentualność. Nie będzie niebezpiecznie, przeżyjemy przygodę, to wszystko.

Przygodę, to wszystko.

II

Hulda dobrze pamiętała dzień śmierci Jóna.

Pracowała wtedy do późna – jak zresztą wielokrotnie w przeszłości – zajmowała się sprawą brutalnego napadu w centrum Reykjavíku. Sprawa nie była jej, nie ona ją nadzorowała, a jednak cały ciężar prowadzenia dochodzenia spadł na nią. Do tego typu spraw dochodziło dość często w weekendy, kiedy bary są otwarte do późna. Po ich zamknięciu klientela wylewa się na ulice, sprowadzając na nie w każdy piątkowy i sobotni wieczór atmosferę karnawału. Przy takiej masie pijanych ludzi policja jest zmuszona często interweniować, czasem incydenty są poważne, skutkujące postawieniem formalnych zarzutów.

To był czwartek, od początku tygodnia Hulda przesłuchiwała świadków, usiłując ustalić, kto napadł na młodego mężczyznę, który nadal leżał w szpitalu.

Była prawie północ, kiedy wróciła do domu w Álftanes.

Domu, ale już tylko w sensie budynku.

Wtedy prawie już ze sobą nie rozmawiali.

Wszystko w tym ich domu było zimne i ponure, od drzew na zewnątrz poczynając, na atmosferze wewnątrz, meblach, nawet łóżku kończąc. Nie spali już z Jónem w jednej sypialni.

Po wejściu znalazła go leżącego na podłodze w salonie, nieruchomego, właściwie już martwego.

Kiedy po jakimś czasie przyjechała karetka, ratownicy na początku udawali, że coś jeszcze da się zrobić, recytowali jakieś truizmy, żeby ją pocieszyć, ale rzecz jasna było już za późno. Jón zmarł wcześniej tego dnia.

„Miał chore serce” – to było wszystko, co powiedziała. Na miejsce

zdarzenia przyjechało jej dwóch kolegów z policji, młode chłopaki. Znała obu, chociaż nie była z nimi zaprzyjaźniona. W policji nie miała przyjaciół. Do szpitala pojechała w karetce, pozostając u boku Jóna.

Od tamtego wieczoru była na świecie sama.

Nie do końca wiedziała, dlaczego zaprosił ją na tę wycieczkę.

Przeważnie był dla niej miły, chociaż było w nim jakieś napięcie, które ją krępowało. Ale powiedział, że są przyjaciółmi, a ona naprawdę potrzebowała kogoś takiego w tym dziwnym kraju.

Pomimo jego deklaracji wyczuwała, że chodzi mu o coś więcej niż tylko przyjaźń; że żywi do niej silniejsze uczucie. Ale ona wiedziała, że między nimi nigdy do niczego nie dojdzie.

Z początku chciała odrzucić zaproszenie, potem zmieniła zdanie, postanowiła skorzystać z okazji i zaznać odrobiny radości w życiu. Była prawie pewna, że nie będzie się do niej przystawiał; wmawiała sobie, że to tylko wyraz uprzejmości z jego strony.

Poza tym czym ryzykowała? Co takiego złego mogło się wydarzyć?

Matka straciła pracę, co zresztą nie było żadnym zaskoczeniem. Jej szefowi od początku nie podobało się, że jest samotną kobietą z dzieckiem, mówił otwarcie, że woli zatrudniać bezdzietne – są bardziej niezawodne, mogą się skupić na pracy.

Aż w końcu któregoś dnia oznajmił, że nazajutrz nie musi przychodzić. Zaprotestowała, powiedziała, że przysługuje jej dłuższy okres wypowiedzenia, ale on to zakwestionował, mówił, że nie jest jej winien ani korony. Następnego dnia po zwolnieniu był koszmar, bo jej lęki okazały się zaraźliwe, córka zachowywała się gorzej niż zwykle. Matka policzyła, jak długo przeżyją za jej skromne oszczędności, jak długo będą miały co jeść, kiedy zostaną wyrzucone z mieszkania, które wynajmowała. Odpowiedź nie wyglądała dobrze, bez względu na to, ile razy sumowała słupki.

Doszło do tego, że musiała przelknąć dumę i wrócić do rodziców, tym razem z wnuczką. Para starszków szybko zaczęła hołubić dziewczynkę, choć córkę nadal traktowała oziębło. Mała szczególnie przywiązała się do dziadka, który czytał jej bajki i się z nią bawił, ale przez to krucha więź między matką i córką słabła coraz bardziej, zanikała, aż w końcu nadszedł ten straszny dzień, kiedy córka przestała nazywać ją mamą.

Kiedy wyruszali, było jeszcze dość jasno. Za miastem ruch się zmniejszył, w końcu skręcili w boczną drogę, wyglądającą na rzadko używaną. Był przez nią przewieszony łańcuch z jakimś znakiem, chyba oznaczającym zakaz wjazdu dla pojazdów.

Spojrzała na niego i spytała, czy droga jest zamknięta.

Kiwnął głową, zjechał z drogi, a potem znowu na nią wjechał, po drugiej stronie łańcucha.

– To bezpieczne? – spytała nerwowo. – Wolno nam tędy jechać, jeśli jest zamknięta?

Odpowiedział, że droga nie jest zupełnie zamknięta, że znak wisi tam tylko jako ostrzeżenie, że jest nieprzejezdna.

Znowu dopadły ją wątpliwości: może to był zły pomysł, że z nim pojechała?

– Nieprzejezdna? – spytała, nie odrywając oczu od jego twarzy.

– Nie przejmuj się – odpowiedział, klepiąc kierownicę i uśmiechając się do niej. – Daj tej dziecinie szansę pokazania, na co ją stać.

W odróżnieniu od ponurego zimowego świata na zewnątrz, w samochodzie było ciepło, ogrzewanie pompowało do środka gorące powietrze. Pomyślała o samochodzie rodziców w jej ojczyźnie. Ogrzewanie w nim zawsze było popsute.

Popatrzyła na krajobraz, na rozległą pozbawioną drzew przestrzeń, zauroczona, ale też odrobinę przestraszona. Wszystko było takie białe, aż po horyzont, poza dziwnym maźnięciem czerni – może to były skałki albo kępy traw. Nad górami wisiąca blada niebieskawa poświata. Było pięknie. I spokojnie. I choć nie jechali długo, czuła się tak, jakby byli na świecie sami. To odizolowanie było ekscytujące, ale zarazem wywoływało w niej lęk. Krajobraz wydawał się okrutny i bezlitosny, zwłaszcza teraz, zimą; natury nie obchodziło, czy przeżyją, czy zginą. Zgubienie się na tym pustkowiu

wydawało się przerażająco łatwe.

Raptem coś wytrąciło ją z tych rozmyślań: auto wpadło w poślizg na śniegu i przez jedną przerażającą chwilę myślała, że zsuną się z drogi i wylądują na dachu. Z walącym sercem przyszykowała się na uderzenie. Ale jej obawy okazały się zbędne, auto wyszło z poślizgu bez szwanku i ustawiło się prosto na drodze.

Mieli włączone radio. Emitowało potoki słów, których nie rozumiała, brzmiało to jak monotonna deklamacja.

Po jakiejś chwili poczuła przymus pytania, o czym mówi spiker.

– To prognoza pogody – odpowiedział jej towarzysz.

– Tak? I jaka ma być?

– Nie najlepsza – odparł. – Przewidują spore opady śniegu.

– W takim razie czy nie powinniśmy... – zawahała się, potem jednak dokończyła: – Nie powinniśmy zawrócić?

– W żadnym wypadku – sprzeciwił się. – Dzięki złej pogodzie będzie jeszcze bardziej ekscytująco.

Kiedy zadzwonił jej telefon, Hulda stała przy budce z hot dogami na Tryggvagata i w blasku wieczornego słońca coś jadła. Ta konkretna budka od dekad była ważnym punktem orientacyjnym na islandzkiej mapie kulinarnej. Hot dogi z niej uzyskały status dania narodowego na długo przed tym, nim w kraju na dobre rozgościł się koncept jedzenia na wynos. Trochę później budka zyskała sobie również renomę międzynarodową, gdy podczas wizyty państwowej wpadł do niej na hot doga prezydent Stanów Zjednoczonych.

Hulda jadła i rozmyślała o rozmowie z Ákim, o której jakoś nie mogła zapomnieć, choć było oczywiste, że wygląd hurtownika zupełnie nie odpowiadał opisowi mężczyzny w terenówce, który zdaniem Dóry przyjechał po Elenę.

Szkoda, bo byłoby wygodnie, gdyby się okazało, że Áki ma związek ze sprawą, byłaby to jakaś szansa na postęp w śledztwie.

Spróbowała odebrać telefon, nie upuszczając przy tym hot doga i nie zalewając cołą, musztardą, ketchupem i majonezem kurtki – sztuczka żonglerska, którą od dawna doskonaliła. Patronowała tej budce od lat. Budka zawsze cieszyła się popularnością, ale ostatnio kolejki znacznie się powiększyły na skutek ogromnego wzrostu liczby turystów. Ich tłumek tłoczył się teraz wokół niej, ludzie albo czekali na odbiór zamówienia, albo starali się zjeść swoje hot dogi, nie zachlapując sobie dodatkami ubrań.

– Hulda... tu Albert Albertsson. – Głos adwokata ociekał miodem jak zawsze, budząc zaufanie od pierwszego słowa, i Hulda z miejsca dała się zwieść, przekonana, że Albert ma dla niej dobre wieści: przecież ktoś z takim głosem nie mógł być posłańcem złych, czyż nie?

– Cześć, Albert.

– Jak ci idzie z tym twoim... dochodzeniem?

– Całkiem nieźle, dziękuję.

– To świetnie. Pomyślałem, że dryndnę, bo natknąłem się na dokumenty dotyczące Eleny. Były w mojej szafce na akta, tutaj, w domu. – Huldzie wydało się, że usłyszała cień ironii w głosie Alberta, kiedy wspomniał o szafce na akta. Pamiętając bałagan w jego biurze, domyśliła się, że dokumenty znalazł na spodzie któregoś ze stosów papierów. Ale to była dobra wiadomość: nowe dokumenty mogą zawierać dalsze wskazówki, a jej bardzo by się takie teraz przydały.

– Cudownie – odpowiedziała.

– Jutro rano mam spotkanie z klientem w zakładzie karnym Litla-Hraun, ale po południu mogę je przywieźć do biura. Wpadniesz wtedy?

Chwilę się zastanawiała.

– Nie, przyjadę po nie teraz, jeśli to możliwe. Mówiłeś, że jesteś w domu?

– Tak, ale właśnie wychodzę – w zasadzie to już jestem spóźniony. Chociaż, jeśli aż tak ci się spieszy, mój brat może ci je przekazać. Mieszka ze mną. Zostawię mu kopertę.

– Świetnie. Gdzie mieszkasz?

Podał adres, potem jeszcze raz zapytał o śledztwo i czy naprawdę uważa, że Elena została zamordowana.

– Jestem o tym przekonana – odpowiedziała i rozłączyła się.

Wieczór był jeszcze wczesny. Mimo że tak powiedziała, wcale nie musiała tych dokumentów odbierać już teraz, ale prawda wyglądała tak, że chciała się czymś zająć. Wszystko było lepsze niż powrót do domu i próby zaśnięcia ze świadomością, że jest dzień bliżej do emerytury, dzień bliżej do bolesnej pustki narzuconej beczynności, bo teraz tylko to na nią czekało.

Zadrżała, mimo że w samochodzie było ciepło. Instynkt podpowiadał jej, że nie powinno jej tu być, że popełniła błąd, jadąc. Nie zdarzyło się nic szczególnego, co mogłoby wywołać taką reakcję, a jednak zauważyła, że oddech ma nienaturalnie przyspieszony. Może przyczyną było to okropne pustkowicie, ten ogrom przestrzeni, ten śnieg po horyzont?

– Cieszysz się, że mieszkasz właśnie tutaj? – spytała, chcąc zatrzymać ogarniające ją uczucie paniki.

– Jasne – odpowiedział. – Tak mi się przynajmniej wydaje. Chociaż, jak się zastanowić, tutejsza pogoda bywa dokuczliwa, mamy dość krótkie lato, no, ale ja w zasadzie lubię zimno, lubię śnieg. Jako Rosjanka powinnaś to chyba rozumieć?

Skinęła głową.

– Myślę, że z czasem polubisz życie na Islandii – dodał życzliwie.

Jest miły i uprzejmy; nie powinna się go bać.

Recz jasna, tak naprawdę to bała się nie jego, a przyszłości. Bała się, czy dostanie pozwolenie na pobyt, i tego, co będzie, jeśli nie dostanie.

Spróbowała się rozluźnić, uspokoić oddech. O przyszłość będzie się martwiła jutro, dzisiaj chce się cieszyć wycieczką. Wszystko się jakoś ułoży. Będzie dobrze. Musi być.

Było późne lato, jakiś rok po śmierci Jóna.

Hulda stała na szczycie Esji, długiej płaskiej góry, która, patrząc od strony Reykjavíku, wznosiła się na północnym brzegu zatoki Faxaflói. Wspinaczka nie była szczególnie trudna, Hulda zdobywała trudniejsze szczyty, ale lubiła ten łańcuch. Był położony tak blisko miasta, że wiosną i latem w długie jasne wieczory można się tu było wybrać po pracy, a na szczyt szybkim krokiem docierało się w niecałą godzinę.

W pracy przez cały dzień czuła się nie najlepiej, postanowiła więc, że pojedzie i wejdzie na górę. Oczywiście na szlaku byli też inni wędrowcy, ale nie zwracała na nich uwagi. Zamknięta w swoim własnym świecie, oddychając świeżym górskim powietrzem, syciła wzrok wspaniałymi widokami tego, co wyglądało na całe południowo-zachodnie naroże Islandii – od bezładnej zabudowy miejskiej Reykjavíku za zatoką, po półwysep Reykjanes na południu i rozległy przestwór niezamieszkałych wyżyn i czap lodowych na wschodzie.

Robiło się późno, wiedziała, że wkrótce powinna zacząć schodzić, ale chciała ten moment odwlec jak najdalej. Tutaj była w swoim żywiole; tutaj potrafiła zapomnieć prawie o wszystkim. Prawie.

Ale wiedziała, że kiedy wróci do domu i zaśnie, koszmary znowu ją dopadną i jak zawsze będzie ją prześladowało to samo pytanie: Dlaczego się nie domyśliła?

We wstecznym lusterku mignęło jej odbicie promieni zachodzącego wieczornego słońca – albo może popołudniowego – wyzierającego zza chmur. O tej porze roku w Islandii wieczór zapadał wcześniej, chociaż do pełnego zmierzchu zostało jeszcze trochę.

Śnieg na drodze był coraz głębszy, aż w końcu nadszedł moment, którego się obawiała: auto zakopało się w zaspie, koła buksowały, silnik wył. Jej towarzysz wyłączył stacyjkę, mówiąc, żeby się o nic nie martwiła: powinna skorzystać z okazji, wysiąść i rozprostować nogi. To była ulga móc uciec z przegrzanego dusznego wnętrza, napętnić płuca głębokimi haustami czystego lodowatego górskiego powietrza. Dobrze się stało, że miała te ciepłe ubrania od niego, dzięki nim dojmujący chłód orzeźwił, a nie boleśnie paraliżował.

Zrobiła kilka ostrożnych kroków w tę i z powrotem. Trzymając się blisko samochodu, z początku wahała się, czy może zejść z drogi, bo nie było wiadomo, jaki teren kryje się pod gładką białą powierzchnią. Widząc to, uśmiechnął się do niej i gestem pokazał, że jest całkowicie bezpiecznie. Śnieg skrzypiał pod nogami, tylko jej ślady niszczyły jego perfekcję. Śnieg należał wyłącznie do niej. Jak okiem sięgnąć nie było widać innych śladów, tylko pustkowia, ciągnące się aż po horyzont. Byli tu zupełnie sami. Ale jej początkowe obawy wypaliły się. Czyż mogło ją spotkać coś złego?

Patrzyła, jak jej towarzysz wypuszcza trochę powietrza z opon, żeby zmniejszyć w nich ciśnienie i zwiększyć powierzchnię, potem wskakuje z powrotem za kierownicę i zaczyna wyprowadzać samochód z zasp, kawałek po kawałku, żeby wreszcie wyjechać na twarde podłoże. W prawie tym samym momencie z nieba zaczęły sypać pierwsze lekkie jak puch płatki śniegu i osiadać, też delikatnie jak puch, na rękawach jej kurtki.

W dniu, w którym dziadek dziewczynki pierwszy raz poruszył ten temat, Reykjavik kąpał się w słońcu, co było niecodziennym zjawiskiem. Matka stała w osłoniętym miejscu na podwórku za domem, obserwując zabawę córki. Dziewczynka wyglądała ślicznie, bawiąc się radośnie w promieniach słonecznych. Może to niesprawiedliwe opisywać tak małe dziecko słowem nieszczęśliwe, ale dziewczynka rzadko wyglądała na taką zadowoloną jak teraz.

Propozycja zaskoczyła matkę, bo padła z ust jej własnego ojca, który przecież tak bardzo związał się z wnuczką. Z tonu jego głosu można było wywnioskować, że nie jest przekonany do tego, co mówi, że być może powtarza tylko słowa babki dziewczynki, która od samego początku okazywała jedynie niezadowolenie. Nie pozostawiła im wątpliwości co do swojej opinii, która brzmiała, że nie powinno się rodzić bękarta, nieważne, jakim uroczym dzieckiem się on potem okaże. Cała rodzina została okryta wstydem – nie tylko matka, ale również jej rodzice.

Kiedy tak stali w tym nasłonecznionym zakątku podwórka, dziadek ostrożnie zasugerował oddanie małej dziewczynki do rodziny zastępczej, może nawet do adopcji. Znał dwoje ludzi ze wschodu kraju, którzy byliby w stanie dać dziewczynce wszystko, czego potrzebowała, zapewnić jej o wiele lepsze życie od tego, którego mogła oczekiwać tutaj, w Reykjaviku. To dobrzy ludzie, powiedział, ale bez przekonania. Może wcale nie byli dobrzy, a może sam pomysł taki nie był. Tak czy inaczej, córka słuchała, doskonale sobie uświadamiając, jak trudno jej będzie powiedzieć „nie” człowiekowi, który dał im dach nad głową. Nie była w stanie sama utrzymać siebie i córki; pierwsza próba okazała się porażką, potrzebowała czasu na

zebranie oszczędności, żeby znowu spróbować.

Z oczami przepelnionymi łzami obiecała, że się zastanowi.

Dom adwokata na zielonych przedmieściach Grafarvogur przypominał Huldzie trochę jej własny w Álftanes. Choć okolica miała zupełnie inny charakter, w samym domu było coś, co wywołało atak nostalgii – może chodziło o przytulną aurę staroświeckości. Z drugiej strony teraz nie trzeba jej było wiele, by coś ją poruszyło. Od chwili, gdy się dowiedziała, że ma odejść z pracy, jej myśli zaskakująco często zwracały się ku przeszłości. Rozkwitający związek z Péturem też mieszał jej w głowie, przypominał niepokojąco o wszystkim, czego mu jeszcze nie powiedziała.

Zadzwoniła do drzwi i czekała.

Choć mężczyzna, który otworzył, był o wiele niższy od Alberta i bardziej przysadzisty, rodzinne podobieństwo było niezaprzeczalne. Wydawał się sporo starszy od brata, może nawet całą dekadę, zgadywała, i był dużo obszerniejszy w pasie.

– Hulda, jak się domyślam – powiedział z uśmiechem; jego głos okraszony gładkimi tonami spikera radiowego również zdradzał pokrewieństwo z Albertem.

– Zgadza się.

– Proszę wejść. – Zaprosił ją do salonu zastawionego niedopasowanymi do siebie meblami, w większości bardzo niemodnymi, choć Hulda słabo się na tych rzeczach znała, mogła się więc mylić. Zaszczytne miejsce zajmował kanciasty stary telewizor z dużym, wyglądającym na bardzo wygodny fotelem przed nim.

– Baldur Albertsson, brat Alberta.

Albert i Baldur: rodzice najwyraźniej nie kartkowali długo księgi imion, nim wytypowali te dwa, pomyślała Hulda. W następnej chwili

uderzył ją fakt, na który powinna zwrócić uwagę już na samym początku: brat Alberta doskonale pasował do opisu mężczyzny z terenówką podanego przez Dórę – niski i gruby. Wstrzymała oddech, mówiąc sobie w duchu, że ma się opanować. Jakie było prawdopodobieństwo, że brat adwokata mógłby być osobą, której szukała? Niewątpliwie miał kontakt ze sprawą, ale przecież tylko pośredni. A poza tym ogólnikowy opis Dóry mógł pasować do wielu mężczyzn. Niemniej nie zaszkodzi skorzystać z okazji i zadać mężczyźnie kilku pytań. Zastanawiała się, czy nie powinna spytać wprost, czy kiedykolwiek przyjeżdżał do hostelu po Elenę, coś jej jednak mówiło, że byłby to fałstart. Lepiej będzie, jeśli najpierw zidentyfikuje go Dóra, dopiero potem postawi się go przed faktem dokonanym.

Pamiętając, jak nieswojo czuła się w domu Ákiego, uświadomiła sobie, że u Alberta jest zupełnie inaczej. Pomimo rodzącego się w niej podejrzenia, nadal postrzegła Baldura Albertssona jako uprzejmego i niegroźnego człowieka.

– Rozumiem, że Alberta nie ma – zagaiła.

– Nie, wyszedł na jakieś spotkanie. Stale jest taki zaganiany.

– A pan też jest adwokatem?

Baldur cicho się roześmiał, trochę tak, jakby już nieraz to robił. Pewnie często słyszał to pytanie.

– Dobry Boże, nie. To teren Alberta – pierwszy i jedyny prawnik w rodzinie. Ja... ja obecnie jestem na bezrobociu.

– Rozumiem – odparła i czekała, wiedząc z doświadczenia, że bezpośrednio pytania są często zbędne.

– Albert bardzo wspaniałomyślnie pozwolił mi się u siebie zatrzymać – rozwinął temat Baldur, po czym, po krótkiej przerwie, poprawił się: – „Zatrzymać” to prawdopodobnie złe słowo: mieszkam tu już od dwóch lat, od chwili, kiedy straciłem pracę. To był kiedyś dom naszych rodziców, ale Albert go od nich odkupił, gdy

postanowili przenieść się do czegoś mniejszego.

Hulda nie od razu na to zareagowała, chciała wymyślić jakąś dyplomatyczną odpowiedź.

– Brzmi jak dobry układ... zakładając, że się dogadujecie.

– O tak, nigdy nie mieliśmy z tym żadnych problemów. – Zmieniając temat, spytał: – Ma pani ochotę na kawę?

Skinęła głową. Jeśli istniała choćby najmniejsza szansa, że ten mężczyzna jest zamieszany w sprawę, nie chciała przepuścić okazji, żeby poznać go lepiej. Poza tym robił wrażenie, jakby potrzebował towarzystwa bardziej niż kofeiny.

Kawę szykował długo i w dodatku okazała się nie do wypicia. Nieważne, dzięki temu miała wymówkę, żeby przedłużyć pogawędkę.

Czas oczekiwania na powrót gospodarza z kuchni wykorzystała na oględziny pokoju; szukała jakiegoś zdjęcia z Baldurem. Potrzebowała go dla Dóry, wymyśliła, że sfotografuje je aparatem w komórce, chociaż nie liczyła na wysoką jakość, biorąc pod uwagę tragiczny stan jej telefonu. Zastanawiała się nawet, czyby nie zrobić cichcem fotki samemu Baldurowi, uznała jednak, że raczej nie da rady. Obsługiwanie komórki szło jej opornie, a zrobienie zdjęcia wymagało wciśnięcia zbyt wielu przycisków.

Usiedli po przeciwnych stronach dużego stołu jadalnego i Huldzie przemknęło przez głowę, że o wiele bardziej wolałaby być teraz z Péturem. Z drugiej strony może nie było jeszcze za późno: o tej porze roku dzień i noc niewiele się od siebie różniły; noc to był raczej stan umysłu. Przez te myśli o Péturze zaświtało jej nagle, że być może ma już jednak dosyć pracy; że może jest coś pociągającego w wolnych wieczorach, niezakłócanych, bezpośrednio czy pośrednio, sprawami zawodowymi. Tak często zdarzało jej się zabierać pracę do domu, nawet wtedy, gdy nie musiała tego robić. Jej umysł zawsze działał na najwyższych obrotach. Nigdy nie

potrafiła się oderwać od prowadzonych dochodzeń, wyłączyć się zupełnie. Jón często się na to uskarżał, ale ona taka już była.

– Przepyszna ta kawa – skłamała. – Ale mogę zostać tylko na minutkę. Muszę jeszcze gdzieś pojechać. – Upiła łyk.

– Kiedyś nawet próbowałem – rzucił Baldur, trochę bez związku – wstąpić do policji. Ale mnie nie przyjęli. – Poklepał się po imponującym kałdunie. Nigdy nie byłem w dobrej kondycji, a teraz już za późno, żeby coś z tym zrobić. Albert zawsze był ode mnie szczuplejszy.

W słowach Baldura nie wyczuwało się niechęci, chociaż już po raz drugi chwalił brata z niekorzyścią dla siebie: wcześniej wspomniał, że Albert jako pierwszy i jedyny w rodzinie został prawnikiem. Jego podziw dla brata wydawał się szczery, wolny od zawiści.

– Jest młodszy czy starszy od pana? – spytała Hulda taktownie, mimo że odpowiedź była oczywista.

– Dziesięć lat młodszy, co zapewne widać. Nie był planowany, taka miła niespodzianka dla rodziców.

– Czy prowadzi wiele takich spraw?

– Jakich?

– Reprezentowanie osób ubiegających się o azyl.

– Tak, chyba tak. Dla niego kwestie praw człowieka są ważniejsze od pieniędzy.

– Ale chyba coś mu za to płacą?

– Tak, naturalnie, ale bierze te sprawy głównie ze względu na ludzi. Chce pomagać.

– Czym się pan zajmował? – Hulda zaryzykowała i upiła trzeci łyk kawy, była jednak tak gorzka, że odsunęła od siebie dyskretnie filiżankę.

– Zajmował?

– Gdzie pan pracował? Zanim się pan tu przeprowadził. Zanim stracił pan pracę.

W tym momencie zadzwonił jej telefon, wibrując, podskakiwał na stole przy filiżance. Westchnęła w duchu, gdy zobaczyła, że to Magnús, ostatnia osoba, z którą chciała teraz rozmawiać. Przez chwilę była w rozterce, czy ma odbierać, potem uznała, że szef może poczekać. Nie bardzo wiedząc, jak się ścisza głos w trakcie dzwonięcia ani czy to w ogóle możliwe, odrzuciła połączenie i korzystając z okazji, że gmera przy przyciskach, włączyła aparat. Wymagało to trochę majstrowania, ale miała nadzieję, że Baldur się nie zorientuje. Wcisnęła „zrób zdjęcie” i po pokoju rozeszło się głośnie „pstryk”. Posyłając gospodarzowi przepraszające spojrzenie, pospiesznie się wytłumaczyła:

– Przepraszam, jestem beznadziejna w obsłudze tych rzeczy. Próbowałam go wyciszyć.

– Wiem, o czym pani mówi. Ja też niezbyt dobrze radzę sobie ze swoim telefonem – odparł Baldur, wyraźnie obojętny na to, że zrobiono mu zdjęcie, jeśli w ogóle zdawał sobie z tego sprawę.

– Przez kilka lat byłem woźnym – kontynuował w odpowiedzi na jej wcześniejsze pytanie – ale pozbywali się ludzi, a ja byłem jednym z pierwszych, których zwolnili. Poza tą pracą miałem wiele innych, często je zmieniałem i nigdy nie zagrzałem miejsca na dłużej. Najczęściej najmowałem się u drobnych przedsiębiorców, głównie do prac fizycznych, wie pani, tego rodzaju rzeczy.

Hulda musiała przyznać, że nie potrafiła sobie wyobrazić Baldura w roli mordercy: wyglądał na kogoś, kto nie skrzywdziłby muchy. I choć wygląd potrafi mylić, po tylu latach w policji, gdzie miała do czynienia z każdym rodzaju ludźmi, zarówno tymi przestrzegającymi prawa, jak i tymi, którzy je łamali, uważała, że całkiem nieźle potrafi ocenić czyjś charakter. Chociaż nie była nieomylna. W jednym przypadku jej osąd zawiódł ją ogromnie... I to był najwięksi błąd, który zmienił jej życie na zawsze.

Ale nawet jeśli miała rację, że Baldur nie byłby w stanie

zamordować z zimną krwią, to jednak istniała ewentualność, że w jakiś sposób mógł być zamieszany w śmierć Eleny. Mógł na przykład przyjąć od kogoś ofertę ryzykownej, za to dobrze opłacanej pracy i w rezultacie zadać się z nieodpowiednimi ludźmi.

– Pański brat miał jakieś dokumenty dla mnie – przypomniała grzecznie.

Twarz Badura zapadła się. Było oczywiste, że chciał, żeby Hulda posiedziała dłużej, gawędząc z nim nad filiżanką niestrawnej kawy.

– Tak, naturalnie. – Wstał i wyszedł z pokoju, wracając prawie natychmiast z brązową kopertą. – Proszę. Nie wiem, co tam jest, ale mam nadzieję, że się przyda. Albert powinien wiedzieć jako były gliniarz.

Hulda oparła się chęci poprawienia go: Albert nigdy nie był gliniarzem; pracował tylko dla policji jako prawnik.

– Uhm – mruknęła niezobowiązująco, potem odsunęła swoje krzesło i wstała, z rozmysłem zerkając na zegarek, pokazując, że musi się zbierać.

– Pracowała pani z nim? – spytał Baldur w jawnej próbie przeciągnięcia rozmowy choćby odrobinę dłużej.

– Niebezpośrednio, ale pamiętam go. Miał dość dobrą opinię – odpowiedziała, chociaż nie miała pojęcia, czy tak było.

Baldur się uśmiechnął.

– Miło to słyszeć.

Wydawał się taką szczerą, przyjazną osobą. Hulda ledwo go znała, mimo to trudno jej było uwierzyć, że mógłby mieć coś wspólnego ze sprawą, no, ale decydujący głos należał do Dóry.

Pożegnała się i wyszła, czekając z otwarciem koperty, aż będzie na zewnątrz, chociaż ciekawość tak ją zżerała, że najchętniej rozerwałaby ją już tam na miejscu.

Tym bardziej czuła się zawiedziona, gdy odkryła, że dokumenty – dziesięć stron, jak wynikało z szybkiego ich przeliczenia – były po

rosyjsku. Przejrzała je kilka razy w nadziei, że znajdzie coś, co zrozumie, przebiegła tekst na każdej stronie, ale nic z tego. Niektóre strony były zapisane pismem odręcznym, inne były wydrukami, reszta to dokumenty oficjalne, ale nie miała pojęcia, jakich dziedzin dotyczyły.

Wyjęła telefon z zamiarem zadzwonienia do tłumacza, po chwili pomyślała, że może jednak zaczeka z tym do jutra. Zamiast tego pojedzie do Njardviku i pokaże Dórze zdjęcie Baldura; zobaczy, dokąd ją to zaprowadzi.

A jednak dokumenty były najważniejsze. Już miała zadzwonić, żeby zarezerwować tłumacza z rosyjskiego, kiedy jej telefon zapikał na znak, że dostała wiadomość tekstową. Od Magnúsa. Cholera, zapomniała, że miała do niego oddzwonić. Wiadomość brzmiała: „Spotkajmy się w biurze, teraz!”. Wykrzyknik mówił sam za siebie. Poczula silniejsze uderzenie serca. Nigdy nie lubiła rozmawiać z Magnúsem, tym bardziej teraz nie miała na to ochoty. Często zdarzało jej się narzekać na niego przy kolegach, oczywiście pod warunkiem, że miała pewność, że myślą to samo. A w myślach wyklinała go setki razy, głównie za jego ogólną niekompetencję w zarządzaniu wydziałem. Ale pomimo tego wszystkiego nadal był jej przełożonym i jego wiadomość wywarła zamierzony skutek. Odłożyła na jakiś czas zamiar oddania dokumentów do tłumaczenia oraz odwiedziny u Dóry. Posłusznie wykonała rozkaz. Wzywano ją na dywanik, tego była pewna. Jeśli o nią chodziło, było to zupełnie nowe doświadczenie.

Śnieg przestał padać po pierwszej krótkiej śnieżycy, ale niebo było zasnuwane ciemnymi chmurami, które zwiastowały kolejne opady.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, jej towarzysz ostro skręcił, zjeżdżając z drogi na otwartą przestrzeń w kierunku widocznego w oddali łańcucha górskiego. Wzdrygnąwszy się, złapała się kurczowo klamki.

– Tędy prowadzi jakaś droga? – spytała z niepokojem.

Pokręcił głową.

– Nie, jedziemy po zamrożonym śniegu. To właśnie tutaj zaczyna się cała frajda. – Uśmiechnął się, jakby chciał podkreślić, że żartuje.

Przez jakiś czas siedziała w milczeniu, potem zaryzykowała i spytała, czy nie niszczą w ten sposób terenu. Czy wolno im to robić? Coś w tym nietkniętym pejzażu do niej przemawiało; miała wrażenie, że jadą przez bezludne dzikie pustkowia nigdy nietknięte ludzką stopą; czuła, że nie mają prawa tu być.

– Nie gadaj bzdur – warknął. – Oczywiście, że wolno.

Trochę ją obruszył jego ton, nie była pewna, jak ma zareagować, ale przecież nie znała go dobrze. Czy to możliwe, że miał ciemniejszą stronę czającą się za tą przyjazną fasadą?

Spróbowała otrząsnąć się z uczucia niepokoju.

– Chcesz spróbować? – spytał niespodziewanie.

– Co takiego? – zdumiała się.

– Chcesz spróbować? – powtórzył. – Poprowadzić.

– Nie mogę. Nigdy nie prowadziłam auta z napędem na cztery koła i nigdy nie jeździłam w terenie w takim głębokim śniegu.

– Nie bądź głupia, spróbuj – zachęcił, uśmiechając się, jakby to było tylko przyjacielskie przekomarzanie się.

Pokręciła głową powątpiewająco.

W odpowiedzi ostro zahamował i wyłączył silnik w szczerym polu – droga daleko za nimi i góry, ich ewidentny cel, nawet jeszcze dalej przed nimi.

– Od teraz prowadzisz ty – oznajmił i bez dalszych ceregieli wysiadł, obszedł auto i otworzył drzwi po jej stronie. – To dziecinnie proste. Nie ma w tym nic trudnego. Obiecałem ci przygodę, pamiętasz?

Zsunęła się niepewnie na ziemię, przeszła ostrożnie po głębokim śniegu na stronę kierowcy i usiadła za kierownicą. Na szczęście terenówka miała ręczną zmianę biegów, a ona była do takiej przyzwyczajona, więc włączyła stacyjkę, wrzuciła ostrożnie pierwszy bieg i ruszyła wolno, wytyczając tor na śniegu.

– Możesz jechać szybciej – podpuszczał ją, zmieniła więc bieg na drugi, trochę mocniej wciskając stopą pedał gazu.

– Tam, na prawo; tam się będzie jechało lepiej – kierował nią, wpatrując się w niewyraźny ekranik nawigacji przytwierdzony do wewnętrznej strony przedniej szyby. – Teraz, szybko! Musimy ominąć te kępy traw.

Wykonała ostry skręt. Warunki nie pozostawiały wiele miejsca na błądy i przez chwilę bała się, że skręt się jej nie uda i że auto przekoziółkuje. Serce waliło jej jak oszalałe, ale wyszła z tego bezpiecznie.

– To cholerny koszmar, jak się człowiek zakopie w tych kępach – wykrzyknął, po czym znowu zerknął do nawigacji. – Teraz przejeżdżasz przez rzekę – oznajmił i się roześmiał.

– Przez rzekę? Serio? To pod nami jest jakaś rzeka? – Serce znowu zaczęło jej walić.

– Jasne, tu wszędzie jest woda, pod lodem.

– Jesteś absolutnie przekonany, że to bezpieczne?

– Cóż... – zrobił pauzę dla większego efektu. – Trzeba się tylko modlić, żeby lód nie puścił.

W nieświadomym odruchu zacisnęła mocno palce na kierownicy; drwiący śmiech towarzysza w najmniejszym stopniu nie rozwiął jej obaw.

Dom stał na zboczu góry blisko wybrzeża, w słabo zaludnionym regionie, nie tak bardzo oddalonym od rozległych płaskich stref przybrzeżnych ciągnących się między lodowcem Vatnajökull a morzem. Z podwórka, gdzie stała matka trzymająca córkę za rękę, widoczna była zapierająca dech panorama: góry, lodowce, piaszczyste równiny i morze. Matka nigdy wcześniej nie odwiedzała tego odległego południowo-wschodniego zakątka kraju i chociaż sceneria była niezaprzeczalnie wspaniała, nie dlatego się tu znalazła. Przyjechała pożegnać się z córką: oddać ją do adopcji, zostawić na tym odludziu obcym.

Choć dzielnie powstrzymywała łzy, ojciec kobiety wyczuł, że się ociąga. Zaczął chwalić parę za jej szczodrość, podkreślał, że dla małej dziewczynki to bardzo zdrowe, że będzie dorastała na wsi, otoczona naturą i czystym morskim powietrzem. Dziecko szybko się przystosuje, zapewniał córkę: ma już za sobą jedną dużą zmianę w życiu i, choć to przykre, że w tak krótkim odstępie czasu musi przechodzić kolejną, najlepiej przeprowadzić to jak najszybciej. Ostatecznie jakie perspektywy czekały ją w mieście? Ani matka, ani dziadkowie nie są zamożni, wszystko, na co mogą liczyć, to dalsza ciężka harówka i niekończąca się walka o zaspokojenie podstawowych potrzeb. Dzieciom w takich warunkach jest ciężko, a jego wnuczka zasługuje na coś lepszego. Między ojcem i córką wisiał niewypowiedziany fakt, że para ze wschodu zaoferowała rodzinie rekompensatę i że była ona nieproporcjonalna w stosunku do kosztów, jakie rodzina poniosła na utrzymanie dziecka. Chociaż żadne nie ujmowało tego w słowa, wiedzieli, że w istocie sprzedają małą dziewczynkę – za kwotę tak znaczącą, że będzie miała

rzeczywisty wpływ na ich życie. Brudne pieniądze, oto czym były. Matka dziewczynki już teraz postanowiła, że nie tknie z nich grosza. Niech ojciec zrobi, co mu się spodoba: spłaci tymi pieniędzmi długi, jeśli chce. Ale, choć bardzo nie chciała się do tego przyznać, prawda była taka, że ona też na tym skorzysta, bezpośrednio czy pośrednio, tak długo, jak długo będzie mieszkała z rodzicami.

Ściskając rączkę córki, ociągała się, a jej ojciec szedł wolno w stronę domu. Właściciele musieli mieć świadomość, że przyjechali – dokoła nie było nikogo więcej.

Zauważyła, że córka drży. Być może przez lodowaty wiatr ciągnący od gór pomimo pięknej pogody. Albo może mała dziewczynka czuła, że wydarzy się coś strasznego, coś brzemiennego w skutki.

Jak mogłam dać się do tego przekonać? Tylko o tym była w stanie myśleć matka, gdy patrzyła, jak jej ojciec podchodzi do drzwi frontowych.

Wzięła małą dziewczynkę na ręce i mocno przytuliła, żeby córka już się tak nie trzęsała. Aby tu dotrzeć, odbyli długą podróż samolotem i samochodem. Jakiś młody mężczyzna, przypuszczalnie jeden z pomocników na farmie, odebrał ich na lotnisku. Nadal siedział w samochodzie, bez wątpienia zakazano mu przeszkadzać w trudnym spotkaniu, które miało się zaraz odbyć.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął mężczyzna w średnim wieku, który ciepło ich powitał. I teraz nie było już odwrotu. Po policzkach matki polały się łzy. Mała dziewczynka, widząc to, też się rozplakała. Dwaj mężczyźni, którzy byli starymi przyjaciółmi, zerknęli na dziecko, potem powrócili do rozmowy. Matka i córka były jedynie statystkami, w ogólnym rozrachunku odgrywały ograniczoną rolę. Jakież to ironiczne, że babka dziewczynki, siła napędowa całej sytuacji, nie potrafiła się zdobyć na przyjazd z nimi.

Matka poczuła, jak szybko i skutecznie jej uścisk uspokoił małą dziewczynkę i jej drżenie. Wtedy do niej dotarło, że czuje się jak

prawdziwa matka dziewczynki, a nie tylko pani za szybą, i miała nadzieję – może złudną – że mała dziewczynka też ją za taką uznaje.

Krzyk. To ojciec kobiety je przywoływał, żeby weszły do środka. Cofnęła się, wszystkie wątpliwości zaczęły wypływać na powierzchnię. Teraz w drzwiach stał nie tylko mąż, ale i żona, uśmiechali się, ale te uśmiechy, choć miały wyrażać dobroduszość, nie wydawały się szczere. Małżeństwo uśmiechało się raczej po to, aby przekonać matkę do siebie, przełamać jej opór.

I nagle matka podjęła decyzję: nie postawi stopy w tym domu, nie zostawi tutaj małej Huldy.

– Wracam do domu – oświadczyła czystym głosem, który ją samą zaskoczył swoją stanowczością. Jej ojciec wybałuszył na nią oczy. – Wracam do domu – powtórzyła – i Hulda jedzie ze mną.

Ojciec kobiety podszedł, otoczył ramieniem je obie i rzekł:

– Dobrze, niech tak będzie, twój wybór.

Uśmiechnął się.

Mocno przycisnęła córkę, ślubując sobie w duchu, że już nigdy więcej nikomu jej nie odda.

Hulda siedziała w samochodzie przed komisariatem, nie mogła zebrać się na odwagę, żeby wejść do środka. Bała się nadciągającej konfrontacji z Magnúsem. Niczego nie żałowała. Decyzja, że przyjrzy się bliżej śmierci Eleny, była słuszna i nie miała zamiaru odstąpić od śledztwa bez walki. Wizyta u Ákiego też była konieczna, choć z perspektywy czasu może nie musiała się aż tak spieszyć i najpierw mogła zebrać trochę informacji. Ale to wszystko przez krótki termin, jaki sobie wyznaczyła na rozwiązanie sprawy.

Czyniąc to niemal bezwiednie, wyciągnęła telefon i wybrała numer Pétura. Odebrał natychmiast.

– Hulda – rzucił wesoło. – Czekałem na twój telefon. – Zdawało się, że wiecznie jest w dobrym nastroju, zawsze pozytywnie nastawiony, pogodny. Tak, naprawdę go lubiła: jak mogłaby nie lubić?

– Och? – mruknęła i z miejsca pożałowała tej lakonicznej odpowiedzi motywowanej bardziej zaskoczeniem jego oświadczeniem niż intencją bycia nieuprzejmą.

– Tak, myślałem, że może moglibyśmy się dziś znów spotkać. Zamierzałem zaproponować ciepłą kolację u mnie.

– Och, wspaniały pomysł – odpowiedziała, na chwilę zwiódl ją jasny wieczór, zapomniała, że jest już długo po porze kolacji. – To znaczy... szkoda, byłoby miło.

– Zrobmy to mimo wszystko. Mogę przygotować kolację teraz. Mam wszystkie składniki, łącznie z bardzo smacowym udźcem jagnięcym – wrzucę go na grill i będę czekał. – Po namyśle dodał: – Chyba że już coś jadłaś.

– Co? Nie, nie, w zasadzie to nie jadłam. – Hot dog się nie liczył. – Ja, hm, przyjadę z wielką przyjemnością. – Uzmysłowała sobie, że ma

zadyszkę, była zestresowana zbliżającą się rozmową z Magnúsem. Żeby tylko Pétur tego nie zauważył i nie zaczął zadawać krępujących pytań.

Przyznała się sama przed sobą, że na myśl o wizycie u Pétura robi jej się ciepło na sercu. Rozpaczliwie potrzebowała z kimś porozmawiać: o Elenie i o dochodzeniu, o końcu pracy. No i były jeszcze te inne rzeczy, które musiała mu powiedzieć.

– Świetnie. Jesteś już może w drodze? Za ile będziesz?

– Najpierw muszę wpaść do biura. Ale nie posiedzę tam długo. – Taką przynajmniej miała nadzieję.

Korytarz prowadzący do gabinetu Magnúsa nigdy nie wydawał jej się taki długi. Drzwi były otwarte i akurat gdy podniosła rękę, żeby zapukać w szybę i dać znać, że jest, podniósł wzrok. Brwi miał ściągnięte w ponurą zmarszczkę i ten widok powiedział jej, że spotkanie nie będzie przyjemne. Ogarnęło ją niepokojące przeświadczenie, że Magnús pojawił się w biurze w ten piękny wiosenny wieczór wyłącznie z jej powodu. Co takiego złego zrobiła, na Boga? Otworzyła śledztwo bez odpowiedniego zezwolenia? A może Áki się poskarżył? Łatwo jej było sobie wyobrazić, że taki ktoś jak on ma wpływowych znajomych na wysokich stołkach.

– Usiądź – warknął Magnús.

W normalnych okolicznościach poczułaby się urażona jego tonem, ale tym razem tak się bała, że potulnie osunęła się na krzesło przed nim i czekała. Nie zdążyła nawet otworzyć ust.

– Byłaś dzisiaj u Ákiego Ákasona?

Kiwnęła głową. Zaprzeczanie miało się z celem.

– Co ty sobie wyobrażałaś, na litość boską? – Magnús był tak zły, że wręcz graniczyło to z furią.

Skrzywiła się. Była przygotowana na klapsa po rękę, ale na taki wybuch nie.

– O co ci chodzi? Ja... ja tylko...

Przerwał jej bez pardonu.

– Właśnie, wyrzuć to z siebie, wytłumacz się. Bo nie chcę cię wywalać, skoro i tak zaraz odchodzisz na emeryturę.

Wyprostowała się.

– Dostałam cynk, że był zamieszany w handel ludźmi czy w prostytutkę, coś w tym rodzaju.

– A ten cynk dostałaś od kogo?

Hulda nie wyobrażała sobie, że mogłaby wkopać Karen.

– Od swojego źródła: nie mogę ujawnić nazwiska, ale... zwykle mogłam polegać na... nim.

Czyżby informacje od Karen były niewypałem? Poszła do uczciwego biznesmena i oskarżyła go o branie udziału w zorganizowanej przestępczości? To dopiero byłaby jedna wielka pieprzona wpadka.

– A z jakiej to racji, jeśli wolno zapytać, zabrałaś się za rozpracowywanie gangu zajmującego się handlem ludźmi? – spytał Magnús głosem ociekającym pogardą.

– Kazałeś mi wybrać sobie sprawę.

– Wybrać sprawę? – powtórzył, zaskoczony.

– Tak, miałam ją do odejścia rozwikłać.

– Ach, rozumiem, ale... ani przez chwilę nie sądziłem, że potraktujesz moje słowa poważnie. To była tylko taka swobodna sugestia. Myślałem, że pójdziesz do domu, zrelaksujesz się, pograsz w golfa lub cokolwiek tam robisz dla rozrywki.

– Chodzę po górach.

– Cóż, no to myślałem, że wybierzesz się w góry czy cokolwiek. Co ty sobie, do cholery, myślałaś, że zabrałaś się za prowadzenie śledztwa, nie zgłaszając mi tego?

– Wydawało mi się... odniosłam wrażenie, że mam na to twoje pozwolenie. – Mówiła już spokojniej, serce już jej tak nie waliło: zbierała siły do walki.

- I co to za sprawa w takim razie?
- Tej Rosjanki, która zmarła: tej znalezionej na Vatnsleysuströnd.
- Aha. Dochodzenie Alexandra, tak? Rozwiązane wieki temu.
- Co do tego nie byłabym taka pewna. Jego dochodzenie to kompromitacja.
- O czym ty mówisz? – spytał ostro Magnús.
- No proszę cię, Magnús. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że metody Alexandra to działanie na zasadzie prób i błędów, w najlepszym razie. – Była lekko zaskoczona własną śmiałością. Zawsze chciała to powiedzieć, ale nigdy nie miała odwagi. No, ale co jej teraz szkodziło? Nie miała nic do stracenia.
- Magnús nie odpowiedział od razu, po czym w końcu przytaknął:
- Może nie jest naszym najlepszym śledczym, ale...
- Mniejsza o niego. Po prostu musisz mi zaufać w tej sprawie. Myślę, że coś tam jest, że coś przeoczyliśmy. Jeśli ją zamordowano, naszym obowiązkiem jest to odkryć.
- Nie... nie... ta sprawa została zamknięta – sprzeciwił się, ale Hulda usłyszała wahanie w jego głosie.
- Nie możesz mnie ot tak wywalić. Muszę mieć jakieś prawa po tych wszystkich latach.
- Przez chwilę milczał, po czym niespodziewanie spytał:
- To gdzie w tym wszystkim miejsce dla Ákiego?
- Jest bardzo prawdopodobne, że tę Rosjankę sprowadzono tu do pracy w sektorze usług seksualnych. Przykro mi, jeśli informacje, jakie mi przekazano, były mylne: nie chciałam nękać niewinnego człowieka.
- Niewinnego? – Magnús roześmiał się, chociaż nie wyglądał na rozbawionego, w najmniejszym stopniu nie. – Jest winny jak cholera. Właśnie w tym cały pieprzony problem.
- Co przez to rozumiesz?
- Prowadzi dużą szajkę handlującą ludźmi i prostytutkami.

– Czyli to nie on się na mnie poskarżył.

– Oszalałaś? Boże, skąd, słówka nie pisała. Nie, udało ci się zaprzepaścić miesiące ciężkiej roboty wywiadowczej. Obserwowaliśmy go i z tego, co wiemy, nie miał o tym zielonego pojęcia, aż do dzisiejszego wieczoru – wszystko dzięki tobie.

Hulda była skonsternowana.

– Chcesz powiedzieć, że ja...

– Tak, ty... Nasi ludzie monitorowali dom i widzieli, że wchodzisz, ale wtedy było już za późno: szkoda już się stała. Nie mamy jak ustalić, co on teraz robi – czy ostrzega współpracowników, niszczy dowody. Zespół jest teraz na zebraniu kryzysowym, zastanawiają się, czy mają się wycofać, czy przymknąć go już teraz. Problem w tym, że potrzebują więcej czasu na zebranie materiału dowodowego przeciwko niemu. Zrobił się bajzel jak cholera, krwawa jatka. A winna temu jesteś ty. Co oznacza, że to ja dostanę po łbie.

– Nie wiem, co powiedzieć. Po prostu nie miałam pojęcia.

– Oczywiście, że nie miałaś pierdolonego pojęcia! Bo nie chciało ci się najpierw z kimś tego omówić. Z tobą zawsze jest ten sam problem: totalna klęska, jeśli chodzi o współpracę. – Magnús walnął pięścią w blat biurka. – Za każdym razem ta sama pieprzona historia.

Hulda najeżyła się.

– Nie zawsze miałam wybór, wiesz. Ty i twoi kumple też w ciągu tych lat nie byliście szczególnie skorzy do współpracy. Bywało, że musiałam sama harować przy dochodzeniach, bo nie było nikogo, kto zechciałby ze mną pracować. Twoi chłopcy trzymają się razem, a mnie wykluczają. Och, nie skarżę się, za późno na to, zresztą to nie w moim stylu, ale chcę, żebyś wiedział, jak było, zanim kolejna kobieta będzie musiała przechodzić przez to samo gówno.

Magnús był zaskoczony jej reakcją.

– Nie traktowałem cię inaczej niż wszystkich innych w wydziale.

Nie muszę tu siedzieć i tego wysłuchiwać.

Wzruszyła ramionami.

– Dobrze wiesz, jak było, Magnús. Ale odchodzę, więc to już nie jest moje zmartwienie.

– Myślę, że to spotkanie trwa już wystarczająco długo. Masz zamknąć śledztwo.

Tym razem to ona trzasnęła pięścią w stół. Zaskakiwała samą siebie, ale nie potrafiła powstrzymać wybuchu stłumionego gniewu.

– Nie. Muszę je zakończyć i potrzebuję na to więcej czasu. Przynajmniej tyle jesteś mi winny, nie uważasz?

Magnús siedział po tym wybuchu jak sparaliżowany, twarz miał pozbawioną wyrazu.

– Potrzebuję jeszcze kilku dni, może tygodni. Będę cię informowała o postępach, więc nie musisz się obawiać, że znów nastąpię komuś na odcisk. Ta wpadka teraz była zupełnie niezamierzona, dobrze o tym wiesz.

Siedział i się zastanawiał, w końcu niechętnie się zgodził:

– W porządku. Mogę ci dać jeden dzień.

– Jeden dzień?! To za mało. Nie ma szans, żeby mi to wystarczyło.

– Cóż, będzie musiało, do cholery. Mam cię już po dziurki w nosie, Hulda. Po prostu zaczniesz od samego rana. Umówmy się na coś, okej? Ja ci jutro dam spokój, ale ty pojutrze przychodzisz tu i sprzątasz swoje biurko. A potem możesz się zacząć przyzwyczajać do emerytury.

Było coraz ciemniej.

Po kilku minutach prowadzenia opanowała jako tako jazdę po śniegu. Terenówka całkiem nieźle reagowała na skręty kierownicą, zmrożona twarda skorupa lodu jakoś wytrzymała ich ciężar. Zapowiadająca się śnieżycą jeszcze się nie zmaterializowała, chociaż kilka płatków już spadło, w sam raz tyle, że usprawiedliwiała to włączenie wycieraczek.

Jej towarzysz miał rację: to wszystko to część pakietu, część przygody, na którą sama się zapisała. Żałowała teraz, że się tak wzbraniała przed tym wyzwaniem.

Kiedy już naprawdę dobrze radziła sobie z wozem, z powrotem przejął kierownicę i popędził przed siebie przy wtórze skrzypienia zmarzliny pod kołami, aż wreszcie przed nimi zamajaczyła góra. Wtedy zdjął nogę z gazu i się zatrzymał.

– Tyle wystarczy. Zostawimy wóz tutaj.

Wysiadła z auta i w lekkiej śnieżnej mgielce zlustrowała otoczenie.

– Idziemy tam? Na szczyt? – spytała niepewnie, kurcząc się w sobie na widok nagich czarnych grani prześwitujących przez biel.

Pokręcił głową.

– Nie, nie aż na samą górę, tylko do doliny za tym pierwszym wzniesieniem. Co nie znaczy, że będzie łatwo. Troszkę się zmordujemy.

Noc zapadała przerażająco szybko, nie wiadomo było, czy zdążą dotrzeć do celu, zanim zrobi się zupełnie ciemno. A tutaj ciemność musiała być nieprzenikniona: żadnej poświaty bijącej od miasta; nic tylko góry i śnieg.

– Czy... czy będą tam jacyś ludzie?

– Nikt inny się tu nie zapuszcza – odpowiedział stanowczo.

Zaczął rozpakowywać auto, ich plecaki leżały już na śniegu obok innego sprzętu. Sięgnął do jednego z plecaków i wyjął z niego gruby sweter,

tradycyjny lopapeysa, z wełny islandzkiej i z charakterystycznym zygzakowatym biało-brązowo-szarym wzorkiem pod szyją.

– Masz. Załóż, bo zamarzniesz – powiedział z uśmiechem. W półmroku trudno było dostrzec, jaki to był uśmiech.

Posłuchała go bez protestu, ściągnęła grubą kurtkę i po całym ciele przeszedł ją lodowaty dreszcz. To pewnie z zimna, powiedziała sobie w duchu, ale po namyśle uznała, że być może... być może to strach.

Podał jej plecak, a ona zarzuciła go sobie na plecy, trochę się uginając pod jego ciężarem. Pomógł jej go zapiąć, po czym z tyłu przytroczył siekierkę.

Zdążyli przejść zaledwie kilka kroków, gdy się zorientowała, że zapomniała założyć rękawiczki. Choć szli tak krótko, zupełnie straciła czucie w palcach i musiała go zawołać i poprosić, żeby pomógł jej wyciągnąć rękawiczki z plecaka. Kiedy to zrobił, wznowili marsz, prąc naprzód przez coraz gęstszy śnieg, do chwili gdy, w końcu, jej towarzysz się zatrzymał.

– Spróbujemy wspiąć się tędy. Jak myślisz, dasz radę?

Przed sobą zobaczyła stromy biały stok wznoszący się wysoko, szczyt był zasłonięty mrokiem i szczypiącymi w oczy płatkami śniegu.

– Dasz radę? – powtórzył pytanie.

Skinęła głową bez większego przekonania i czekała, aż ruszy, wskazując drogę.

– Ty pierwsza – ponaglił ją po krótkiej chwili ciszy. Nie wierzyła własnym uszom. Nie było mowy, żeby wspięła się na to zbocze sama i bez pomocy.

– Ja? Dlaczego ja?

– Nie wiem, jak zbity jest tam śnieg. Jeśli zejdzie lawina, będę mógł cię odkopać.

Stała tam, sparaliżowana strachem, zastanawiając się, czy jej towarzysz żartuje, obawiała się jednak, że mówił śmiertelnie poważnie.

Podał jej kijki do chodzenia doczepione z tyłu plecaka i powiedział, żeby się ruszyła.

Ponieważ nie miała wyboru, zrobiła to, zaczęła się wspinać pod górę z najwyższą ostrożnością. Zbocze na początku nie było bardzo strome, ale im

wyżej wchodziła, tym było stromiej. Starła się koncentrować na każdym kroku, patrzyła w dół, żeby tylko się nie przewrócić. Co jakiś czas podnosiła wzrok, ale biała ziemia i padający śnieg zlewały się w jedno i za żadne skarby nie potrafiła ocenić, gdzie zbocze miało swój koniec. Coraz trudniej i trudniej przychodziło jej podnoszenie stóp, a jeszcze trudniejsze było znalezienie dla nich podpory. Niebawem przy każdym kroku się ześlizgiwała w dół, czasami musiała próbować wiele razy, zanim udało jej się wspiąć kilka centymetrów wyżej. Czubkami butów próbowała wyrąbywać w śniegu dziury, ale bez powodzenia, aż w pewnej chwili z przerażeniem poczuła, że traci równowagę i się zsuwa; zjechała co najmniej połowę tego, co pokonała.

Błękitne niebo nad jodłami w ogrodzie Pétura było poznaczone tylko kilkoma pasmami chmur, wyglądały jak namalowane szerokimi pociągnięciami pędzla. Słońce zachodziło, udając się na miejsce nocnego spoczynku. Hulda o tej porze roku zwykle czuła się pełna werwy, ale nie dzisiaj. Dziś, po spotkaniu z Magnúsem, była kompletnie wyczerpana z energii, zbyt zmordowana, żeby zajmować się dochodzeniem: Elena będzie musiała poczekać do rana.

Pétur otworzył, zanim zdążyła zapukać, najwyraźniej wypatrywał jej przyjazdu z okna w kuchni. Starła się nie pokazywać po sobie, że jest wykończona.

– Hulda! Wchodź. – Ciepły jak zawsze, jak lekarz rozmawiający z ulubionym pacjentem. Zaprowadził ją do salonu, który służył też za jadalnię, gdzie kolacja stała już na stole, z gwoździem programu: wyglądającym na najsoczystszy na świecie, dopiero co zdjętym z grilla udźcem jagnięcym. Zapach był wspaniały, a Hulda dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że umiera z głodu. Pétur otworzył też butelkę czerwonego wina, na co w głębi serca bardzo liczyła. Dobrze, że przezornie odprowadziła auto do domu i wezwała taksówkę.

– Wygląda bardzo smakowicie – pochwaliła.

Wysunął dla niej krzesło, a ona opadła na nie z wdzięcznością, czując, jak zmęczenie spływa jej po kończynach. Pétur zniknął w kuchni. Siedząc tam, trochę dziwnie się czuła, jakby nie miała prawa tu być, jakby była nieproszonym gościem. Ale zarazem inna część jej czuła się tak, jakby wróciła do domu. Może to przez ogród, który widziała przez okno, przypominający trochę ten ich w Álftanes.

Dom Pétura był ciepły, a co więcej, panowała w nim przytulna

domowa atmosfera. Tak, z łatwością potrafiła sobie wyobrazić, że tu mieszka, ciesząc się towarzystwem Pétura, szykując z nim posiłki, pijąc wino do późnej nocy...

– Długi dzień? – zapytał, wracając z półmiskiem warzyw. – Mój był bardzo spokojny. Docenisz to, kiedy już przejdziesz na emeryturę; taka wysportowana kobieta jak ty, lubiąca przebywać na łonie natury – uśmiechnął się.

– Pewnie tak – zgodziła się, ale ponuro. – Tak, można tak powiedzieć, że dzień miałam dość... męczący.

Pétur usiadł.

– Jedz, póki gorące. Udziec z grilla zwykle wychodzi mi bardzo dobrze. To miła odmiana móc gotować dla kogoś jeszcze poza sobą.

– Dzięki. – Podniosła kęs do ust. Smakowało niesamowicie: Pétur ewidentnie był doskonałym kucharzem. To zdecydowany plus.

– Co się stało? – spytał.

– Słucham?

– Dzisiaj. Coś się stało, widzę to.

Zastanowiła się, ile powinna mu powiedzieć. Rozmowa o dochodzeniu nie była problemem, miała pełne zaufanie do jego dyskrecji, nie bardzo za to chciało jej się opowiadać o spotkaniu z Magnúsem. Po części dlatego, że wstydziła się swojej wpadki, chociaż intencje miała jak najlepsze.

Po chwili ciszy trwającej minutę, a może nawet dłużej, a mimo to niekrępującej, zaskoczyła samą siebie, mówiąc:

– Rozmawiałam z szefem. Chce, żebym zrezygnowała ze śledztwa.

– Od zaraz?

– Tak.

– Dlaczego? Zrobisz to?

– Przesłuchałam faceta, którego nie powinnam przesłuchiwać. To długa historia, ale, zasadniczo, moje śledztwo nałożyło się na inne. Nie miałam pojęcia, że się toczy, chociaż muszę przyznać, że to

częściowo moja wina, bo nie informowałam szefa na bieżąco. Nie miał pojęcia, co robię. – Ciężko westchnęła. – Detektyw, który prowadził tę sprawę przede mną, też jest na mnie wściekły. Powiem szczerze, że jestem w lekkiej rozsypce.

– Wszystko się jakoś ułoży. Jestem pewien. – Jak zawsze Pétur emanował optymizmem. – I jak cię znam, nie poddasz się bez walki.

Roześmiała się.

– Nie, udało mi się wycisnąć jeszcze jeden dzień. Mój ostatni.

– Więc lepiej zrób z niego dobry użytek.

– Święta racja. – Podniosła swój kieliszek i upiła z niego łyk. – Ale to oznacza, że muszę uważać z tym wyśmienitym winem.

– A kiedy jutro się skończy, będziesz wolna. Gratulacje!

– Ty to naprawdę we wszystkim potrafisz dostrzec coś pozytywnego.

– Nie uważasz, że powinniśmy jakoś uczcić twoje odejście na emeryturę?

– Jeśli masz ochotę – odparła, już trochę bardziej odprężona. – Ale to teraz to też całkiem niezłe świętowanie. Udziec jest absolutnie przepyszny.

– Moglibyśmy wejść na Esję – zasugerował. – Co ty na to? Straciłem już rachubę, ile razy na nią wchodziłem, ale i tak uwielbiam to robić. Mało kto jest takim szczęściarzem, że ma taką górę na swoim podwórku. A panorama miasta w pogodny dzień...

– Nie musisz mnie do tego przekonywać, jestem za – zapewniła i po raz pierwszy od wieków poczuła, że autentycznie nie może się już czegoś doczekać. Nawet przyszło jej na myśl, że mogłaby, stawiając siebie na pierwszym miejscu, odpuścić sobie sprawę Eleny i spełniając marzenie Magnúsa, przejść na emeryturę ze skutkiem natychmiastowym. Wzięła oddech z zamiarem zaproponowania, żeby wybrali się na Esję już jutro.

Słowa miała już na czubku języka.

Kiedy się jednak odezwała, powiedziała tylko:

– W porządku, jesteśmy umówieni na pojutrze. A jutro postaram się zakończyć moje śledztwo. – I natychmiast ogarnęło ją silne i niepokojące przeświadczenie, że podjęła złą decyzję.

Już po raz drugi z kolei przesadzili z winem. Hulda z przerażeniem myślała o poranku, bała się, że znowu zaśpi i będzie zbyt skacowana, żeby działać skutecznie. Ale Pétur chyba był zadowolony, że ją gości, jej też jego towarzystwo bardzo odpowiadało. Było dobrze po północy, czas mijał niezauważenie, rozmowa płynęła gładko. Hulda, siedząc wygodnie na skórzanej kanapie, nie miała ochoty kończyć tego przyjemnego wieczoru.

Pétur siedział obok niej, ale zachowywał stosowny dystans. Widać było, że tego pilnuje: wiedział, co robi.

– Wczoraj mi mówiłaś, że nie znałaś swojego ojca – przypomniał.

Przytaknęła ruchem głowy.

– Twoja matka wyszła za niego za męża? Czy wychowywała cię sama?

– Nie, nie wyszła. Mieszkałyśmy z dziadkami – wyjaśniła. – Byłam bardzo zżyta z dziadkiem, był mi najbliższą osobą ze wszystkich. Myślę, że pod wieloma względami byliśmy do siebie bardzo podobni. Dziadek robił trochę za pomost łączący mnie z resztą rodziny. Z matką nigdy nie miałam bliskiego kontaktu, ale dzięki dziadkowi czułam się częścią rodziny, jeśli wiesz, co mam na myśli. Krewnych ze strony taty nie znałam. Myślę, że bez dziadka moje dzieciństwo nie byłoby najszcześniejsze.

Pétur pokiwał głową. Hulda czuła, że ją rozumie.

– Chciałam poznać ojca – ciągnęła cicho i posępnie, odczuwając nagłą chęć płaczu. To przez wino: wiedziała, że jest lekko wstawiona, ale za bardzo jej się to podobało, żeby miała przestać pić.

– Jak to wyglądało w tamtych czasach? Mówię o byciu dzieckiem samotnej matki – zaciekawiał się Pétur, taktownie odrobinę zmieniając wątek. – Wiem, że obecnie to nic wielkiego, ale pamiętam, co się mówiło o jednym z moich kolegów ze szkoły, który nie miał ojca, to znaczy nikt nie wiedział, kto był jego ojcem.

– Było ciężko – przyznała, sięgając po butelkę i napełniając ponownie ich puste kieliszki. – Bardzo ciężko. Z tego, co pamiętam, matka ciągle zmieniała pracę. W tamtych czasach, jak pewnie wiesz, kobiety rzadko były jedynymi żywicielami rodziny, a ona z mojego powodu nie zawsze mogła pracować tyle, ile by chciała. To była prawdziwa szarpanina. Byłyśmy biedne jak myszy, mówię to bez cienia przesady. Dach nad głową miałyśmy tylko dlatego, że mogłyśmy mieszkać u dziadków. Nie głodowałyśmy, ale pieniędzy nie starczało na nic więcej; nie stać nas było na żadne luksusy. Dla mnie, dorastającego dziecka, było to trudne, jak pewnie sobie możesz wyobrazić.

– Cóż, mówiąc szczerze, raczej nie bardzo – odpowiedział wolno. – Mój ojciec był lekarzem jak ja, więc zawsze byliśmy zamożni. Na szczęście. Najgorszą rzeczą w ubóstwie jest jego wpływ na dzieci.

– Prawdę mówiąc... – Hulda, trochę już otumaniona winem, przerwała i zastanowiła się, czy to mądre powiedzieć to, co zamierzała powiedzieć. Ile powinna Péturowi wyjawzić? Czy może mu zaufać? Z drugiej strony może to dobre, a nawet zdrowe, otworzyć się przed kimś raz na jakiś czas. Od tak dawna dusiła w sobie tyle rzeczy: może to była ta okazja, na którą czekała. W pracy nie mogła rozmawiać o sprawach osobistych. Żadnego z młodszych kolegów nie interesowało wysłuchiwanie opowieści o kolejach życia sześćdziesięcioletniej kobiety. Co więcej, przyjaciół – tych prawdziwych – mogła policzyć na palcach jednej ręki, a i to było dużo. Zdecydowała się zaryzykować: – Prawdę mówiąc, wszystko mogło ułożyć się zupełnie inaczej.

– Co ty powiesz? – zdziwił się Pétur. Mówił wyraźnie, bez cienia seplenienia i Hulda pomyślała mgliście, że chyba wypił o wiele mniej od niej.

– Kiedy byłam maleńka, matka oddała mnie do ochronki – domu opieki dla noworodków, czegoś prawie takiego jak sierociniec. Dowiedziałam się o tym od dziadka; matka nie pisała mi o tym słowa. W tamtych czasach tak się robiło, uważano, że to właściwa rzecz w przypadku niezamężnych matek. Z tego, co opowiadał mi dziadek, wywnioskowałam, że on i babcia chyba nakłaniali matkę, żeby tak zrobiła, i potem dziadek tego żałował. Powiedział, że odebrano mnie matce zaraz po urodzeniu. Pamiętasz te ochronki?

– Nigdy żadnej nie widziałem, ale oczywiście słyszałem o nich.

– Matka podobno odwiedzała mnie tam regularnie, co chyba jest jak najbardziej naturalne. Dziadek mówił, że był z niej dumny. Gdy tylko udało jej się zaoszczędzić wystarczająco dużo, zabrała mnie stamtąd. Miała do tego pełne prawo, chociaż myślę, że większość dzieci z tych ochronek trafiała do domów zastępczych lub do adopcji.

– Długo tam byłaś? – spytał.

– Prawie dwa lata. I jakby tego było mało, przez cały ten czas matce nie wolno mnie było dotykać ani przytulać. Jak rozumiem, rodzice mogli widzieć swoje dzieci jedynie przez szklane przepierzenie. Personel był zdania, że jeśli rodzice będą przytulali dzieci, dzieciom będzie ciężko po ich odejściu.

– Przypuszczam, że raczej nie pamiętasz...? – Pétur pozostawił pytanie niedokończone.

– Nie, nie pamiętam niczego z tego okresu – przytaknęła. – Byłam o wiele za mała. Ale kiedyś pojechałam zobaczyć ten dom, w którym mieściła się ochronka. Wiele lat temu. To było takie dziwne uczucie, kiedy tam weszłam. Jakbym doświadczała *déjà vu*. Szklana ściana zniknęła, ale widziałam zdjęcia. A kiedy szłam korytarzem, nagle

zatrzymałam się jak wryta przed jednymi z zamkniętych drzwi i spytałam kobietę, która mnie oprowadzała, czy w pokoju za drzwiami była kiedyś sypialnia dla dzieci. Kiwnęła głową i powiedziała, że tak, a kiedy otworzyła drzwi, wiedziałam już na pewno. Wiedziałam, po prostu wiedziałam, że spałam w tamtym pokoju. Nie musisz mi wierzyć, ale to było bardzo niezwykle przeżycie.

– Wierzę ci – zapewnił. Jak zwykle odpowiedział bez wahania, mówiąc dokładnie to, co należało.

– Mam jedno wyraźne wspomnienie z wczesnego dzieciństwa – ciągnęła Hulda. – Były plany, żeby oddać mnie do rodziny zastępczej, to było po tym, jak matka mnie odebrała i mieszkaliśmy z dziadkami. Para ze wschodu kraju była zainteresowana zaadoptowaniem mnie. To też wiem od dziadka, nie od matki, chociaż nie mam powodu wątpić w to, co mówił, i w tym przypadku coś z tego pamiętam. Pamiętam lot samolotem, pewnie właśnie na wschód. To by pasowało, bo to małżeństwo mieszkało między lodowcowymi piaskami w rejonie Skaftafell i w tamtych dniach dotarcie tam było kłopotliwe. Nigdy nie zapomnę tej podróży, mimo że byłam wtedy taka mała. Wcześniej nigdy nie wyjeżdżaliśmy z Reykjavíku, więc przypuszczam, że zapamiętałam tę podróż, bo była taka niezwykle.

– Powiedz mi... – Petur się zawahał, jakby nie był pewien, czy powinien dokończyć. – Może to niestosowne, że o to pytam, ale...

– Śmiało, pytaj – zachęciła, natychmiast tego zresztą żałując.

– Cóż... Gdybyś teraz mogła wybierać, to z perspektywy czasu, chciałabyś dorastać u boku matki?

Pytanie zbiło ją z tropu dokładnie dlatego, że często, niemal nieświadomie, sama też się nad tym zastanawiała, nie dochodząc zresztą do żadnych określonych wniosków. Czy jej dzieciństwo było szczęśliwe? Niezbyt, a nawet zupełnie nie. Ale nie było możliwości

sprawdzić, czy trawa byłaby bardziej zielona, gdyby wychowywał ją ktoś obcy. Czy pieniądze miały znaczenie? Czy ubóstwo, w jakim dorastała, niekończąca się walka o związanie końca z końcem wywarły na nią trwały wpływ?

Powróciła pamięcią do wczesnych lat, szukając tam szczęśliwych wspomnień. Było to, jak siedziała w swojej sypialni i słuchała bajki; nie mogła sobie przypomnieć, o czym ona była, ale wspomnienie było żywe i napawało ciepłem. Osobą, która siedziała wtedy obok niej, był jej dziadek, a nie matka. Pamiętała też wyprawę, gdy miała może osiem albo dziewięć lat, do sklepu na rogu, teraz od wielu lat nieczynnego. Poszła tam, żeby wydać własne pieniądze, małą fortunę zaoszczędzoną z pieniędzy zarobionych za prace letnie zlecane przez dziadka, za pomaganie mu przy różnych drobnych pracach w małym mieszkaniu. Wszystko wiązało się z jej dziadkiem, nie z matką, a jednak matka była dla niej zawsze taka dobra.

Odpowiadając, nie spieszyła się.

– Tak między nami przyznam, i jeśli będę później żałowała tej rozmowy, to całą winą za to obarczę to wino, że mogłabym mieć szczęśliwsze dzieciństwo, chociaż trudno powiedzieć, czy oddanie do domu zastępczego rozwiązałoby problem. Ale wierzę, jestem pewna, że moje życie byłoby lepsze, gdyby pozwolono mi być z matką od początku. Wiem, że podobno dzieci nie pamiętają nic z pierwszych lat życia, ale pamięć to jedno, a wyczucie atmosfery to drugie. Myślę, że nasiąkałam wtedy poczuciem niepewności i to mi zostało. Myślę również, że moja biedna matka czuła się winna od momentu, gdy mnie oddała, do końca swoich dni. A poczucie winy to ciężkie brzemię.

– Przepraszam, Hulda, nie chciałem być... wścibiński.

– Nic się nie stało. Mam już dość swojego przeczulenia na punkcie przeszłości. Co się stało, nie odstanie się. Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem i tak dalej. Chociaż człowiek mimo wszystko

niektórych rzeczy żałuje: zawsze się gdzieś czają, żeby dopaść cię w snach. – Po tych słowach zamilkła i rozejrzała się po eleganckim salonie, nie po raz pierwszy myśląc, że Pétur nigdy nie zaznał w życiu biedy, nie mógł wiedzieć, jak to jest, kiedy się musi obchodzić bez tylu rzeczy.

Widząc, że otwiera usta, by coś powiedzieć, ubiegła go:

– Zawsze rozmawiamy tylko o mnie. – Uśmiechnęła się, żeby pokazać, że nie mówi tego w ramach krytyki. – Więc może teraz porozmawiajmy trochę o tobie. Czy to ty i twoja żona zbudowaliście ten dom?

– Tak, rzeczywiście, my go postawiliśmy. Uznaliśmy, że to miejsce jest wspaniałe, żeby tu się osiedlić. Dobra lokalizacja, ładne otoczenie. Kiedyś byliśmy bliscy sprzedania domu, ale ostatecznie tego nie zrobiliśmy, z czego się bardzo cieszę. Jestem do niego bardzo przywiązany. Łączy się z nim tak wiele wspomnień: dobrych i złych, oczywiście. Zamierzam zostać tu już do końca, chociaż oczywiście dom jest o wiele za duży. – Po chwili dodał: – Dla mnie jednego, znaczy.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego byliście bliscy sprzedania go? – Czujny jak zawsze instynkt detektywa nieomylnie kazał jej się rzucić na ten skrawek niezrozumiałej informacji.

Pétur nie odpowiedział od razu. Wstał, wyjął następną butelkę, po czym znowu usadowił się na kanapie, nadal w stosownej odległości.

– W pewnym momencie wydawało się, że zmierzamy ku rozwodowi, jakieś piętnaście lat temu. – Hulda widziała, że mówienie o tym przychodzi mu z trudnością.

Czekała, nie odzywając się.

Po dość długiej przerwie i kolejnym łyku wina podjął temat:

– Żona miała romans. Trwał kilka lat, a ja nie miałem o niczym

pojęcia. Kiedy przez przypadek się dowiedziałem, wyprowadziła się. Złożyłem wniosek rozwodowy i prawie doszło do rozprawy, ale wtedy żona przyszła i błagała, żebym dał jej drugą szansę.

– Łatwo ci było jej wybaczyć?

– Tak, łatwo. Może dlatego, że chodziło o nią. Kochałem ją przez te wszystkie lata. I nigdy nie przestałem. Poza tym taką już chyba mam naturę. Zawsze szybko wszystko wszystkim wybaczam. Nie wiem dlaczego.

Słyszając to, Hulda pomyślała, że może jednak nie pasują do siebie aż tak, jak sądziła. Jej wybaczenie zdecydowanie nie przychodziło łatwo.

– Wspominałaś, że mieszkałaś w Álftanes? – zapytał, zmieniając temat. – Miałas tam dom?

– Tak, był... – Przerwała, żeby starannie dobrać słowa. – To było cudowne miejsce, tuż nad morzem. Nadal brakuje mi odgłosu szumu fal. A ty? Mieszkałeś kiedyś nad morzem?

– Raz. Ojciec był lekarzem na wschodzie, ale tak naprawdę to jestem chłopakiem z miasta. Dorastałem przy szumie samochodów, nie fal. Po śmierci męża sprzedałaś dom?

– Tak, nie stać mnie było na jego utrzymywanie.

– Mówiłaś, że zmarł dość młodo, prawda?

– Miał tylko pięćdziesiąt dwa lata.

– Straszne, po prostu straszne.

Kiwnęła głową.

Choć poruszali ponure tematy, salon, w którym siedzieli, wydawał się oazą spokoju. Na dworze noc była na tyle ciemna, na ile tylko mogła w maju. Nagle jednak ten spokój został zburzony głośnym i natarczywym dzwonkiem jej telefonu. Z przepaszającym spojrzeniem Hulda wygrzebała komórkę z dna torebki i odebrało jej mowę – mówiąc ogólnie – gdy zobaczyła, kto dzwoni, zwłaszcza że było po północy. Pielęgniarka, ta, która potrafiła pedofila; kobieta,

której Hulda uratowała tyłek, nie zgłaszając nigdzie jej wyznania. Sądziła, że już nigdy więcej nie usłyszy o tej sprawie.

Rozłączyła połączenie, nie odbierając.

– Przepraszam, ani chwili spokoju.

– Mnie nie musisz się z tego tłumaczyć – uspokoił ją Pétur z uśmiechem.

Hulda położyła telefon obok świeżo otwartej butelki czerwonego wina. Nie skończyli jej, w środku zostało jeszcze sporo.

Telefon znowu zadzwonił.

– A niech to szlag – zaklęła głośniejszym głosem, niż zamierzała.

– Nie ma sprawy, odbierz – zachęcił uprzejmie Pétur. – Mnie to nie przeszkadza.

Ale ona nie miała najmniejszego zamiaru rozmawiać z tą nieszczęsną kobietą, która prawdopodobnie nadal przeżywała swoją zbrodnię i chciała ulżyć sumieniu, tłumacząc się jedynej osobie znającej prawdę. Hulda za nic nie chciała występować w roli spowiednika, zwłaszcza w tym momencie. Było jej miło z Péturem, nie chciała tego psuć.

– Nie, to nic pilnego. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, dlaczego dzwoni tak późno. To takie nietaktowne. – Znowu odrzuciła rozmowę i tym razem wyłączyła telefon. – No, może teraz będziemy mieli spokój.

– Dolać ci? – spytał Pétur, spoglądając na jej pusty kieliszek.

– Poproszę, dzięki. Ale to już ostatni. Jutro mam dużo pracy, pamiętaj.

Napełnił jej kieliszek, po czym zapadła dość długo trwająca cisza. Hulda nie miała nic więcej do powiedzenia; była zmęczona, wino nie pomagało.

– Czy to była twoja świadoma decyzja, żeby nie mieć dzieci? – spytał Pétur niespodziewanie. Być może uważał, że to naturalna kontynuacja rozmowy o mężu Huldy.

Nie była przygotowana na to pytanie, chociaż mogła się spodziewać, że prędzej czy później będzie musiała powiedzieć Péturowi; na pewno, jeśli ich znajomość miałaby się dalej toczyć tym samym torem.

Wypracowanie odpowiedzi trochę jej zajęło, ale Pétur czekał z charakterystyczną dla niego cierpliwością. W ogóle wydawało się, że bardzo niewiele rzeczy jest go w stanie wyprowadzić z równowagi.

– Mieliśmy córkę – powiedziała w końcu, decydując się na prostotę.

– Tak mi przykro, myślałem... – Był zaskoczony i nieco zakłopotany.

– Wydawało mi się, że mówiłaś... byłem przekonany, że nie mieliście dzieci.

– To dlatego, że z rozmysłem unikałam tego tematu. Musisz mi wybaczyć, ale... ale nadal ciężko mi o tym mówić. – Słyszając, że jej głos się łamie, szybko zapanowała nad wyrazem twarzy, na którą zaczął wypływać grymas rozpacz. – Ona umarła.

– Doprawdy, nie wiem, co powiedzieć – rzucił pospiesznie Pétur. – Ogromnie przykro mi to słyszeć.

– Zabiła się.

W tym momencie Hulda poczuła, że z oczu płyną jej łzy. Nie skłamała: nie była przyzwyczajona do mówienia o tym. Chociaż o córce myślała codziennie, prawie nigdy o niej nie rozmawiała.

Péture nie odezwał się ani słowem.

– Była taka młoda, dopiero co skończyła trzynaście lat. Potem już nie staraliśmy się o dzieci. Jón miał pięćdziesiąt lat, ja dziesięć mniej.

– Boże... Ty naprawdę przeszedłeś przez piekło, Hulda.

– Nie mogę o tym rozmawiać, przepraszam. W każdym razie, właśnie to się wydarzyło. Potem Jón zmarł i od tego czasu jestem sama.

– Ale to się może wkrótce zmienić – zauważył cicho Pétur.

Hulda chciała się uśmiechnąć, lecz dopadło ją zmęczenie. Miała

dosyć; pragnęła wrócić do domu.

Pétur zdawał się czytać jej w myślach.

– Kończymy na dzisiaj?

Wzruszyła ramionami.

– Tak, możemy. Miło dzisiaj było, Pétur.

– Powtórzmy to jutro wieczorem?

– Dobrze – zgodziła się bez wahania. – Byłoby wspaniale.

– Może dokądś wyskoczymy? Uczcić twoją emeryturę? Zabiorę cię na kolację do hotelu Holt. Co ty na to?

To była bardzo hojna oferta.

– Boże, tak, fantastyczny pomysł. Nie byłam tam od wieków. Chyba ze dwadzieścia, trzydzieści lat. – Restauracja w hotelu Holt była jedną z najelegantszych w Reykjavíku; Hulda doskonale pamiętała swoją ostatnią tam wizytę. To była kolacja rocznicowa, z mężem i z córką, radosna okazja, kosztowna, ale pamiętna.

– Nie mogę co wieczór zmuszać cię do mojej kuchni. A więc ustalone.

Hulda wstała i Pétur zrobił to samo, po czym szybko cmoknął ją w policzek.

– Dziecie był wyśmienity – powiedziała. – Chciałabym umieć tak smacznie go przyrządzać.

Kiedy wyszli do holu, Pétur zapytał trochę zniechęcony:

– Jak miała na imię?

Była zaskoczona. Wiedziała, o kogo mu chodzi, ale żeby zyskać na czasie, udała, że nie wie.

– Co proszę?

– Twoja córka, jak miała na imię? – Jego głos był miły, zainteresowanie szczere.

Hulda uzmysłowiła sobie, że minęły lata od ostatniego razu, gdy wypowiedziała imię córki na głos, i oblał ją wstyd.

– Dimma. Miała na imię Dimma. Niezwykłe, wiem. Znaczy

ciemność.

DZIEŃ OSTATNI

1

Hulda przekręcała się z boku na bok, nie chciało jej się jeszcze wstawać. Wcisnęła głowę w poduszkę, usiłując znów odpłynąć w sen, ale mleko się rozlało, wiedziała, że już nie zaśnie. Kiedyś potrafiła się wylegiwać, z wiekiem jednak ta umiejętność coraz bardziej się jej wymykała.

Ale kiedy spojrzała na budzik, z przerażeniem stwierdziła, że znów zasnęła, zupełnie jak poprzedniego dnia, i że jest strasznie późno; za późno.

Jeśli miała połączyć luźne wątki śledztwa, powinna wykorzystać każdą minutę nadchodzącego dnia, ale kiedy usiadła, natychmiast pojawił się rozsadzający czaszkę ból głowy. Wieczór u Pétura był cudowny, nie powinna jednak była tyle pić; wyszła z wprawy. Zwykle pozwalała sobie na tylko jeden kieliszek wina do posiłku. Cóż, będzie musiała zignorować kaca i mimo wszystko skupić się na śledztwie, chociaż czuła, że jest nim coraz mniej zainteresowana. Poza poczuciem obowiązku wobec martwej Rosjanki jedyną rzeczą, która ją motywowała, był teraz wyłącznie czysty upór. Po prostu nie mogła znieść myśli, że Magnús zwycięża. Po tym jak wymęczyła u niego tę dodatkową dobę, musi dać z siebie wszystko, zanim wieczorem złoży raport i na dobre pożegna się z pracą.

Uderzyło ją, że to, czego naprawdę nie może się doczekać, to jej kolejna randka z Péturem. Liczyła godziny do kolacji w hotelu Holt.

Spróbowała się podnieść na śliskim śniegu, ale łatwiej było powiedzieć niż zrobić z tym utrudniającym ruchy plecakiem na plecach.

– Schodź – zawołał.

Posłuchała, resztę drogi pokonując niemalże na czworaka, i kiedy dotarła na dół, podziękowała swojej szczęśliwej gwiazdce, że nic się jej nie stało.

– Daj kijki, potrzynam je – polecił. – Założymy raki i będziesz mogła użyć siekierki.

Tym razem już lepiej wyposażona, zaatakowała zbocze. Serce miała w gardle.

Wspinaczka nadal była mordercza, ale teraz, dzięki rakom na butach, przynajmniej lepiej trzymała się śniegu. Centymetr po centymetrze wdrapywała się pod górę, modląc się, żeby się znowu nie przewrócić; wzrok miała utkwiony w ziemi przed sobą, przerażona, że w najbardziej stromym punkcie polecą do tyłu. Jeden mozolny krok za drugim, aż gdy zauważyła, że stawianie kroków nie kosztuje jej już tak wiele wysiłku, zorientowała się, że minęła najgorszą część i że droga przed nią wygląda na łatwiejszą. Z uginającymi się z ulgi kolanami osunęła się na śnieg, żeby zaczekać. Była wyczerpana fizycznie i psychicznie. Zbocze było tak strome, że nie widziała nawet, czy jej towarzysz zaczął się już wspinać, nie mówiąc już o tym, jak wysoko dotarł, ale bała się zawołać, pamiętając, co mówił – na wpół żartując, zdaje się – o tym, że może zejść lawina. Dlaczego, na Boga, dała mu się namówić na to szaleństwo?

Pora śniadania dawno minęła, zresztą Hulda nie mogła nawet myśleć o jedzeniu. Postanowiła za to, że się trochę przewietrzy, i wybrała się do supermarketu za rogiem. Pogoda była brzydsza niż poprzedniego dnia, niebo zasnuwała gęsta warstwa szarych chmur, wiał wiatr, zaskakująco porywisty jak na tę porę roku. Czy wiosna naprawdę może nadejść i odejść w ciągu jednego dnia?

Zła pogoda działała na nią przygnębiająco. Zwykle nie pozwalała, żeby nieprzewidywalny islandzki klimat miał na nią jakikolwiek wpływ, ale dziś, w ten ostatni dzień jej starego życia, wolałaby mieć bardziej obiecujący start.

Całą noc śniła jej się Dimma, ale mimo to czuła, że się wyspała. Sny były wprawdzie przesiąknięte smutkiem, ale przynajmniej nie dręczył jej ten powracający koszmar, nękający ją od tylu lat. Może to zbieg okoliczności, ale przypuszczała, że rozmowa o Dimmie przyniosła dobre skutki, zwłaszcza że miała tak wspaniałego słuchacza w osobie Pétura. Kiedyś być może poczuje się na tyle silna, że otworzy się przed nim do końca i opowie mu o córce, o tym, jaka była kochana i słodka.

W supermarkecie błąkała się po alejkach, nie widząc niczego, co by ją kusilo, aż ostatecznie opuściła sklep jedynie z butelką coli i opakowaniem batoników Prince Polo. Prince polo – to ją cofnęło do przeszłości, przypomniało o czasach, kiedy Islandia prowadziła handel wymienny z Europą Wschodnią – polskie czekolady w zamian za islandzkie ryby. Teraz świat się zmienił.

Kiedy się już jako tako pozbierała, uznała, że pierwszym zadaniem dnia będzie przejażdżka na półwysep Reykjanes, gdzie spróbuje upiec dwie pieczenie – a nawet więcej, jeśli się uda – na jednym

ogniu. Chciała porozmawiać z tą dziewczyną z Syrii, jeśli jeszcze nie było za późno. Syryjka została zatrzymana poprzedniego dnia, więc Hulda zakładała, że trzymają ją w areszcie policyjnym na lotnisku, choć było równie prawdopodobne, że już ją odesłali do domu jednym z porannych lotów, co by oznaczało, że Hulda straciła szansę na przesłuchanie dziewczyny. Na litość boską, dlaczego nie umówiła tego przesłuchania wczoraj albo przynajmniej nie ustawiła na rano alarmu w budziku? W obliczu rychłej emerytury robiła się zaskakująco bezmyślna.

Po drodze będzie też musiała zajrzeć do hostelu w Njardvíku, pokaże Dórze zdjęcie Baldura Albertssona. Jeśliby jej nie zastała, prześle zdjęcie e-mailem, ale wolałaby na własne oczy zobaczyć reakcję kobiety. Trop z Baldurem mógł się okazać nietrafiony, ale na tym etapie Hulda uważała, że powinna sprawdzić wszystko, co ma.

Przyszło jej też do głowy, że warto byłoby również skorzystać z okazji i obejrzeć zatoczkę, w której zmarła Elena, a raczej gdzie znaleziono jej zwłoki. Zawsze istniała taka ewentualność, że Rosjanka swoje ostatnie tchnienie wydała gdzie indziej.

Dopiero kiedy wyjeżdżała z miasta, zaświtało jej, że z tym całym alkoholem przelewającym się przez jej żyły prawdopodobnie nie powinna była wsiadać za kierownicę, że w tym stanie nie nadaje się do prowadzenia pojazdów. Od dawna nie była w takiej sytuacji. Na najbliższym skrzyżowaniu zawróciła i pojechała do domu, żeby stamtąd wezwać taksówkę.

Ach, jaka to była ulga, że mogła się rozsiąść na tylnym siedzeniu, zrelaksować, a prowadził ktoś inny, zwłaszcza że taksówka to było nowe luksusowe auto, które puło podwójną nitką autostrady gładko i z prędkością całe lata świetlne przewyższającą to, na co było stać jej starego zardzewiałego gruchota.

Przed jej oczyma w pewnym momencie rozpostarły się czarne pola lawy, które niemal płynęły za oknami samochodu, majestatyczne w

swej surowej prostocie, a zarazem monotonne jak powtarzany tysiące razy refren. Hulda gdzieś czytała, jak powstały, zapamiętała, że niektóre są jeszcze z okresu przed pojawieniem się na Islandii pierwszych osadników w 874 roku, a inne uformowały się już po późniejszych erupcjach. Im byli dalej od Reykjavíku, tym chmury nad płaskim terenem robiły się coraz cięższe i ciemniejsze, aż w końcu na przednią szybę zaczęły skapywać pierwsze krople.

Kombinacja lawy i deszczu podziałała na Huldeę kojąco. Zamknęła oczy. Nie chciała się zdrzemnąć, tylko zebrać siły na oczekujące na nią w tym dniu wyzwania. Przez głowę przewinęła jej się seria obrazów, ale Elena nie zajmowała już pierwszego planu, cofając się za coraz wyraźniejsze postaci Dimmy, a teraz także Pétura.

Hulda ze zdumieniem stwierdzała, że myśli o Péturze więcej, niż mogłaby przypuszczać, jakby nagle zaakceptowała nieuniknione. Tak, starość zakradała się do niej, biorąc ją brutalnie z zaskoczenia, ale zmiany, jakie ze sobą niosła, nie wszystkie były złe. Może ona też zasłużyła wreszcie na odrobinę zadowolenia z życia: na siedzenie do późna w weekendową noc, na picie wina z przystojnym lekarzem, bez wyrzutów sumienia. Na szansę zapomnienia o dawnych koszmarach, przynajmniej od czasu do czasu. Na niewysłuchiwanie poleceń od beznadziejnego szefa, który w żadnym wypadku nie powinien znaleźć się w hierarchii powyżej niej.

Pogrążona w tych rozmyślaniach jednak przysnęła i spała aż do chwili, gdy kierowca obudził ją, oznajmiając, że są już niedaleko celu. Zorientowanie się, gdzie jest, zajęło jej trochę czasu: komisariat policji na lotnisku Keflavík.

Drzemka w środku dnia to coś, czego nigdy nie robiła, nie mówiąc już o zasypianiu w taksówce. Uznała, że to na pewno wpływ pogody, że coś wisi w powietrzu; zresztą ten dzień był w ogóle jakiś dziwny. Już od samego rana miała uczucie, że coś się zaraz wydarzy. Nie wiedziała tylko co.

W końcu zrobiło się naprawdę ciemno. Dołączył do niej na szczycie zbocza i przez jakiś czas szli po płaskim terenie, zanim przystanęli na krótko, żeby przytroczyć do głów latarki. Teraz już widziała, gdzie stawia stopy, ale poza wąskim wycinkiem oświetlonym stożkowym snopem wszystko inne spowijał mrok. Kiedy zapytała, czy są już blisko miejsca, w którym mieli spędzić noc, pokręcił głową.

– To jeszcze spory kawałek – odpowiedział.

Śnieg, skrzący się w blasku latarek, był tak perfekcyjny, że chodzenie po nim i naruszanie jego nieskazitelnej powłoki wydawało się świętokradztwem. Nigdy dotąd nie czuła tak silnej więzi z naturą. Zimowa sceneria wokół wyglądała, jakby ktoś rzucił na okolicę tajemne zaklęcie. Skupiając się na pięknie dokoła, starała się, jak mogła, zapomnieć o swoich obiekcjach wobec wycieczki.

Niedługo potem twarda lodowa skorupa ustąpiła miejsca głębszemu, miększemu śniegowi. Zatrzymując się na moment, wyłączyła latarkę na głowie i zaczęła chwilę, aż jej wzrok przystosuje się do ciemności. Wszędzie wokół nich widać było niewyraźne zarysy śnieżnych kopców i pagórków, i dotarło do niej, mocniej niż dotąd, że bez swojego przewodnika byłaby zupełnie zagubiona; nie знаła drogi do chaty, do której szli, nie potrafiłaby wrócić do samochodu. Bez swojego towarzysza z pewnością umarłaby na tym bezludziu z wyziębienia.

Zadrzała na tę myśl.

Włączyła latarkę, spuściła głowę i wznowiła zawzięty marsz za towarzyszem. Widząc, że znacznie się oddalił, przyspieszyła, żeby go dogonić. Ale w tym pośpiechu zapomniała o ostrożności i zanim się obejrzała, ziemia usunęła jej się spod nóg. Czując, że się zapada w miękki śnieg, przeraziła się, że wpadła w jakąś dziurę i że nie zdoła się z niej

wygrzebać. Okazało się, że śnieg nie był tak głęboki, jak się obawiała, ale wydobyć się ze szponów zasy okazało się niemożliwe, zwłaszcza że przygniatał ją ciężar plecaka. Zawołała, najpierw niepewnie, potem głośniejszym głosem, aż ją usłyszał, wrócił i pomógł jej się podnieść. Znowu ruszyli, ona tuż za nim, od czasu do czasu słysząc odgłosy pluskania wody pod śniegiem; chlupot był kojąco znajomym dźwiękiem w tej nieludzkiej ciszy gór.

Nagle jej towarzysz się zatrzymał, zaczął się rozglądać, jakby usiłował się zorientować, gdzie są. Ona widziała jedynie ciemny zarys góry w oddali, której poznaczone żlebami zbocze przeświecało przez warstwę bieli.

Wytężyła słuch, ciekawa, czy usłyszy szum rzeki, ale nie usłyszała. Teraz nie było tam nic, tylko głucha cisza.

Wygląda na to, że ma pani szczęście – oznajmił dyżurny sierżant, który przedstawił się imieniem Óliver. Był wysoki, bez grama zbędnego tłuszczu na chudym ciele. – Duże szczęście. Bo ta dziewczyna z Syrii nadal tu jest. Mieliśmy ją wsadzić do samolotu dziś rano, ale jej adwokat narobił rabanu. Wie pani, jak to jest.

– Czy ten adwokat to może przypadkiem Albert Albertsson? – spytała Hulda.

– Albert? Nie, nie znam kogoś takiego. Adwokatem, który prowadzi sprawę tej Syryjki, jest kobieta.

– Jak się nazywa?

– Nie jestem w stanie spamiętać nazwisk wszystkich adwokatów.

– Nie, pytałam o nazwisko azylantki.

– Hmm – mruknął Óliver. – Zaraz, zaraz... Chyba Amena. Tak, na pewno Amena.

– Dlaczego ją deportujecie?

– Jakiś urzędnik tak postanowił. Ja z tym nie mam nic wspólnego. Odpowiadam tylko za doprowadzenie jej do samolotu.

– Mogłabym z nią porozmawiać?

Óliver wzruszył ramionami.

– Nie widzę powodu, dlaczego miałyby pani nie móc. Chociaż nie wiem, czy będzie się chciała z panią widzieć. Niczego nie obiecuję. Nie jest teraz największą fanką islandzkiej policji, co mnie nie dziwi. Po co chce z nią pani rozmawiać?

Był co najmniej trzydzieści lat od niej młodszy, ale ani mową, ani zachowaniem nie okazywał najmniejszego szacunku dla jej wyższego stopnia. To się teraz często zdarzało i niezmiennie Hulde drażniło: sposób, w jaki młodsze pokolenie przejmowało terytorium,

spychając ją na boczny tor, jakby była zbędna, jakby jej doświadczenie zupełnie się nie liczyło.

Westchnęła ze zniecierpliwieniem.

– W związku ze sprawą, którą prowadzę. Dotyczącą kobiety ubiegającej się o azyl, którą znaleziono martwą na plaży niedaleko stąd.

Óliver pokiwał głową.

– Wiem, w Flekkuvíku. Pamiętam. Byliśmy z partnerem wezwani na miejsce zdarzenia, kiedy znaleziono ciało. To była cudzoziemka, prawda? Nie mogła znieść oczekiwania.

– Była Rosjanką.

– Tak, dokładnie.

– Co pan pamięta z miejsca zdarzenia? – zainteresowała się Hulda.

Óliver zmarszczył czoło.

– Nic szczególnego. Kolejne samobójstwo, wie pani. Leżała tam w płytkiej wodzie, ewidentnie martwa. Nie mogliśmy już nic zrobić. Dlaczego wraca pani do tej sprawy?

Powstrzymała chęć warknięcia, żeby pilnował własnego nosa.

– Nowe informacje. Ale szczegółów nie wolno mi zdradzać. – Nachylając się, szepnęła poufnie: – Cała ta sprawa to dość delikatny przypadek.

W odpowiedzi tylko znów wzruszył ramionami. Sprawa Rosjanki najwyraźniej nie interesowała go aż tak bardzo, poza tym Hulda odnosiła wrażenie, że raczej nie wierzy, żeby taka stara baba jak ona nadawała się do prowadzenia poważnego dochodzenia.

– No dobra, pozwolę pani z nią porozmawiać, skoro pani nalega – oznajmił takim tonem, jakby zwracał się do niesforne go dziecka.

Hulda przełknęła gniewną ripostę.

– Ale oba pokoje przesłuchań mamy zajęte – ciągnął. – Zgodzi się pani porozmawiać z nią w celi?

Tego było już za wiele. Uznała, że grzecznie podziękuje i sobie

pójdzie, porzucając ten wątek śledztwa, ale się zmytygowała.

– Tak, niech będzie, może być w celi. – Może mimo wszystko zdoła osiągnąć coś wartościowego w tych ostatnich godzinach swojej kariery w policji.

– Zaraz wracam.

Óliver wyszedł, żeby wrócić prawie natychmiast.

– Proszę ze mną.

Zaprowadził ją do celi, otworzył i zamknął za nią drzwi. Hulda nerwowo się wzdrygnęła. W dzieciństwie, ilekroć źle się zachowywała, babka wysyłała ją do spiżarni, żeby przemyślała tam swoje grzechy. W spiżarni było ciemno i ciasno, a na dodatek wszystkiego babka zawsze zamykała ją na klucz. Ani matka, ani dziadek nie mieli odwagi stanąć w jej obronie w kwestii zamykania za karę w spiżarni. Może uważali, że to nie było nic aż tak złego, ale dla Huldy to były katusze, po których na całe życie został jej lęk przed małymi, zamkniętymi pomieszczeniami. Teraz, żeby przełamać rosnącą panikę, poszukała w myślach czegoś pozytywnego, na czym mogłaby się skupić: mogłoby się przydać nadchodzące spotkanie z Péturem. Powiedziała sobie, że musi być silna, ze względu na siebie i na Elenę.

Syryjka była chuda, wymizerowana, nieszczęśliwa.

– Witam, nazywam się Hulda. – Dziewczyna nie zareagowała, mimo że Hulda mówiła po angielsku. Siedziała na łóżku przyśrubowanym do ściany. W celi nie było krzesła, więc przypuszczając, że nie postąpiłaby mądrze na tym etapie, siadając obok dziewczyny, Hulda, szanując przestrzeń osobistą zatrzymanej, została przy drzwiach.

– Hulda – powtórzyła, wolno i wyraźnie. – A pani ma na imię Amena, tak?

Dziewczyna spojrzała w górę, na sekundę krzyżując wzrok ze wzrokiem Huldy, po czym znów spuściła oczy, w obronnym geście

splatając ramiona na piersiach. Była taka młoda, nie miała nawet trzydziestu lat, najwyżej może dwadzieścia pięć, i była taka wystraszona.

– Jestem policjantką – kontynuowała Hulda.

Już zaczynała myśleć, że Óliver wprowadził ją w błąd co do znajomości angielskiego przez dziewczynę, kiedy Amena burknęła:

– Wiem.

– Chciałabym z panią porozmawiać, zapytać o kilka rzeczy.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Chcecie mnie odesłać.

– To nie ja. Ja nie mam z tym nic wspólnego – zapewniła Hulda, mówiąc wolno i łagodnie. – Prowadzę dochodzenie i wydaje mi się, że mogłaby mi pani pomóc.

– Oszukaliście mnie. Chcecie mnie odesłać. – Amena popatrzyła na Huldę gniewnie, wyraźnie kipiąc bezsilną wściekłością.

– Ależ nie chodzi o panią – zapewniła Hulda. – Chodzi o dziewczynę z Rosji, która zmarła. Miała na imię Elena.

Na to Amena nagle się ożywiła.

– Elena? – powtórzyła, po czym dodała z wahaniem: – Wiedzieć. No nareszcie.

– Co pani ma na myśli?

– Kiedy zmarła, było coś dziwne. Ja mówić temu policjantowi.

– Policjantowi. Mężczyźnie? Nazywał się Alexander?

– Mężczyźnie, tak. Nie obchodzić go – powiedziała. Jej angielski był słaby, ale dawała radę.

Hulda po raz setny przeklęła Alexandra w myślach za niekompetencję i uprzedzenia. O czym jeszcze „zapomniał” wspomnieć w swoim raporcie? Sprawa rzekomo została rozwiązana, a jednak Hulda czuła się tak, jakby błędziła w mrokach po omacku.

– Dlaczego uważała pani, że jej śmierć była dziwna?

– Dostać pozwolenie. Móc tu zostać. Na Islandii. Dostać zgodę – powtórzyła Syryjka z przejęciem.

Hulda kiwnęła głową na znak, że rozumie.

Dziewczyna mówiła dalej

– Nikt, kto dostać zgoda, tego nie zrobić. Skoczyć do morza. Ona być bardzo szczęśliwa, siedzieć na dole, w recepcja, cały wieczór rozmawiać przez telefon. Bardzo szczęśliwa. Wszyscy być bardzo szczęśliwi. To być dobra dziewczyna. Mieć dobre serce. Uczciwa. Mieć trudne życie w Rosja. A potem... następny dzień ona nie żyć. Ot tak.

Hulda kiwała głową, chociaż opis charakteru Eleny przyjmowała z przymrużeniem oka; mógł być do pewnego stopnia ubarwiony, kobiety się przyjaźniły, a Syryjka musiała być poruszona faktem, że koleżanka uzyskała azyl.

Pobyt w małej zamkniętej celi zaczynał powoli Huldzie doskwierać, coraz trudniej było jej się skupić. Spociła się, dłonie miała mokre, serce biło nienaturalnie szybko. Czowała, że musi jak najszybciej zakończyć rozmowę i wyjść.

– Czy to możliwe, że sprowadzono ją na Islandię, żeby pracowała jako prostytutka? – spytała.

Pytanie wyraźnie zdumiało Amenę.

– Co? prostytutka? Elena? Nie, nie, nie, nie. Niemożliwe. – Gorączkowo szukała słów, sposobu na odrzucenie ziarna zwątpienia zasianego w jej umyśle przez pytanie. – Nie, nie, ja być pewna. Elena nie być prostytutka.

– Widziano ją z jakimś mężczyzną. Przyjechał po nią. Był niski i gruby, przyjechał terenówką – dużym autem. Pomyślałam, że może był jej klientem...

– Nie, nie. Może jej адвокат. On jeździć duży samochód. – Amena chwilę się zastanawiała, potem dodała: – Ale on nie być gruby. Nie pamiętać nazwiska. On nie być mój адвокат; mój to kobieta.

– Domyśla się pani, kim mógł być ten mężczyzna w dużym samochodzie? Może to jakiś znajomy Eleny?

Amena pokręciła głową.

– Nie, nie sądzić.

Hulda postanowiła zakończyć spotkanie. Klaustrofobia tak się nasiliła, że już cała była zlana potem, nie mogła myśleć. Ale zanim zdążyła się odezwać, Amena ją uprzedziła:

– Pani słuchać, pani musieć mi pomóc. Ja nie móc wrócić do domu. Ja nie móc! – Przeszywająca desperacja w jej głosie wzbudziła w Huldzie falę współczucia.

– Cóż, nie sądzę... ale porozmawiam z oficerem dyżurnym. Okej?

– Pani powiedzieć mu, żeby mi pomóc. Powiedzieć, ja pani pomóc. Proszę.

Hulda ponownie kiwnęła głową i zmieniając temat, spytała:

– Ma pani jakiś pomysł, co naprawdę spotkało Elenę? Czy ktoś miał jakiś powód, żeby ją zamordować i jeśli tak, to kto?

– Nie – zaprzeczyła Amena bez zawahania. – Ja nie wiedzieć. Ona znać tylko ten prawnik. Nie mieć wrogów. Bardzo dobra dziewczyna.

– Rozumiem. Cóż, dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać. Mam nadzieję, że pani sytuacja ułoży się po pani myśli. Dobrze było spotkać kogoś, kto znał Elenę. To, co ją spotkało, było bardzo smutne. Przyjaźniłyście się? Była pani najbliższą przyjaciółką?

– Najbliższą przyjaciółką? – Amena pokręciła głową. – Nie, być koleżankami, dobrymi. Jej przyjaciółka być Katja.

– Katja?

– Tak, też z Rosja.

– Rosjanka? – Hulda była tak zaskoczona, że na moment zapomniała o dusznościach. – To tam były dwie Rosjanki?

– Tak. Przyjechać tu razem. Katja i Elena.

Cholera, pomyślała Hulda: Katja pewnie już dawno temu opuściła kraj, szkoda, bo z chęcią by z nią porozmawiała. Chciała jak najlepiej poznać ofiarę, dowiedzieć się, co jej chodziło po głowie, z kim się zadawała, czy kogoś się obawiała i czy rzeczywiście sprowadzono ją do pracy w burdelu.

– Wie pani, gdzie ta Katja może być? – spytała, zakładając, że odpowiedź będzie brzmiała „nie”. – Czy jej też został przyznany azyl?

– Nie wiedzieć. Nikt nie wiedzieć.

– Co to znaczy, że nikt nie wie? – Hulda poczuła, że jej serce bije szybciej, tyle że tym razem raczej z podniecenia niż z paniki.

– Ona zniknąć.

– Zniknęła? Jak to?

– Tak, zniknąć. Albo uciec. Ukrywać się, może. A może wyjechać z kraju. Ja nie wiedzieć.

– Kiedy to się stało?

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Przed śmierć Elena. Kilka tygodni przed. Może miesiąc. Nie być pewna.

– Nie martwiliście się o nią? Co na to policja?

– Tak... tak, oczywiście. Ale ona po prostu uciec. Ja powinnam zrobić to samo... I nikt jej nie znaleźć, tak ja myśleć.

– A Elena, jak ona to przyjęła? Mówiła pani, że się przyjaźniły?

– No... Na początek być zła. Mówić, że Katja jest głupia. Mówić, że obie pewnie dostać zgodę na azyl. Ale potem... – Twarz Ameny spochmurniała. – Potem ona się bać. Bardzo bać.

– Czy ktoś miał jakieś wytłumaczenie na to, że Katja zniknęła? – spytała Hulda, raczej nie oczekując, że uzyska odpowiedź.

Amena pokręciła głową.

– Ona po prostu pójść sobie, nie chcieć, żeby ktoś kazać jej opuścić kraj. Ludzie tutaj są... – szukała właściwego słowa – zdesperowani.

Tak, my wszyscy być zdesperowani.

– Jaka była ta Katja?

– Miła. Przyjacielska. Bardzo ładna.

– Czy to możliwe, że to ona, a nie Elena, pracowała jako prostytutka?

– Nie. Nie, ja w to nie wierzyć.

– Rozumiem. – Hulda dała się pochłonąć rozmowie, teraz jednak czuła, że klaustrofobia dopadła ją ze zdwojoną siłą.

Podziękowała Amenie wylewnie za pomoc i zapukała w drzwi, a potem czekała, rozdygotana, aż Óliver otworzy celę i ją wypuści.

– Pani pamiętać – odezwała się Amanda, przerywając ciszę. – Pani mi pomóc.

Hulda skinęła głową.

– Zrobię, co będę mogła.

W tym momencie drzwi się otworzyły.

– Uzyskała pani, co chciała? – spytał Óliver, ale wyraźnie tylko z uprzejmości, bez szczególnego zainteresowania.

– Musimy porozmawiać. Teraz – warknęła Hulda, ton jej głosu był tonem starszego rangą funkcjonariusza zwracającego się do podwładnego.

Zanim Óliver zamknął celę, zerknęła za siebie i w drzwiach mignęła jej postać Syryjki. Na jej twarzy malowała się skrajna rozpacz.

Teraz rzeka płynęła już na powierzchni, a oni szli wzdłuż brzegu środkiem wąskiej doliny otoczonej górami.

– Patrz – powiedział nagle, pokazując w ciemność. – Tam jest nasza chata.

Wy tężając wzrok, przez śnieżną mgiełkę spojrziała w kierunku, który pokazał, ale dopiero kiedy podeszli bliżej, zdołała wyłowić w mroku maleńki ciemny punkcik stopniowo nabierający kształtów na tle bieli. Punkcik, który ostatecznie okazał się stromym dachem osadzonym na ciemnych drewnianych ścianach; maleńka chatka na bezludziu, z dala od wszelkiej cywilizacji.

Kiedy do niej dotarli, przekonali się, że okna i drzwi są zasypane śniegiem. Jej towarzysz oskrobał drzwi, ale okazało się, że przymarzły do framug i dało się je otworzyć dopiero po długiej szamotaninie. W środku zdjęła plecak, z ulgą pozbywając się jego przygniatającego ciężaru. Było ciemno jak w kopalni, ale na głowach mieli latarki, których światło wyłowiło we wnętrzu prycze z miejscami do spania dla czterech osób, może więcej. Opadła na jeden z cienkich materaców, żeby trochę odetchnąć.

Chata była wyposażona bardzo oszczędnie. Tylko mały stół, kilka krzeseł i prycze. Pewnie miała służyć za podstawowe schronienie dla podróżnych – sposób na przeżycie na islandzkim bezludziu.

– Mogłabyś przynieść dla nas trochę wody? – Podał jej pustą butelkę.

– Wody?

– Tak. Zejdź do rzeki.

Przerażała ją myśl, że znowu ma wyjść na zewnątrz, w noc, tym razem sama, ale postuchała, uzbrojona jedynie w latarkę na głowie. Chata stała na zboczu, zejście do małej rzeczki było strome. Zaczęła schodzić bokiem, drobnymi kroczkami, bo było zdradliwie ślisko, a nie miała już na butach raków; zdjęli je, gdy pokonali najtrudniejszy odcinek trasy. Ostatnie, czego

chciała, to potknąć się i zjechać po zboczach, lądując w zimnym mokrym śniegu na dole.

Kiedy już dotarła do brzegu, zanurzyła butelkę w lodowatej wodzie i czekała, aż się napełni, potem postąpiła chwilę i napiła się trochę. Woda była czysta i bardzo zimna, prosto z lodowca, cudownie odświeżająca po długim marszu.

Wróciła do chaty i, spocona po wspinaczce po zboczach, zdjęła kurtkę. Jej towarzysz zapalał świeczki: wyjaśnił, że w chacie nie ma ani elektryczności, ani ciepłej wody. Dołączyła do niego i już niebawem dziesięć małych migoczących płomieni rozpraszało mrok, nie dając jednak wiele ciepła.

– Powinnaś założyć kurtkę – poradził. – Inaczej za chwilę zamarzniesz. Tu jest taka sama temperatura jak na zewnątrz.

Kiwnęła głową, ale nie posłuchała rady od razu. Wzdrygała się na myśl, że znowu będzie dźwigała na plecach ciężką grubą puchówkę.

Jej towarzysz tymczasem wyjął turystyczną kuchenkę – nazywał ją sprittþrímus, po islandzku, twierdził, że nie wie, jak to można przetłumaczyć, rozpałił ogień i podgrzał na nim puszkę fasolki po bretońsku. Swoją porcję pochłonęła w oka mgnieniu. Fasolka w połączeniu z zimną wodą z rzeki była przepyszna i nieco rozgrzała ją od środka, ale ten efekt nie potrwał długo. Z braku ruchu minuta po minucie robiło jej się coraz zimniej. Równie dobrze zamiast w nieogrzewanej chacie mogliby siedzieć na dworze.

Gdy z powrotem założyła kurtkę, było już za późno: zimno na dobre wczepiło się w nią swoimi szponami. Szczękając zębami, krążyła w tę i z powrotem po małym pomieszczeniu, robiła co mogła, żeby odzyskać krążenie w palcach rąk i nóg.

– Zagotowałem trochę wody – powiedział on. – Masz ochotę na herbatę?

Skinęła głową.

Każdy łyk gorącego napoju rozprowadzał po jej przemarzniętym ciele maleńkie strużki ciepła, ale potem drżenie znowu powróciło.

Nagle jej towarzysz wstał i sięgnął po swój plecak.

– Mam... – zaczął z wahaniem, prawie jakby był zawstydzony. – Mam coś dla ciebie.

Nie była pewna, jak powinna zareagować. Mówił przyjaźnie, nie było się czego obawiać, tak się jej wydawało. Czyżby kupił jej jakiś prezent? Dlaczego? Ona dla niego nie miała nic.

– Przepraszam... Mam to gdzieś tutaj... Zaraz, zaraz. Przepraszam.

Czekała, ale raczej zaniepokojona niż zaciekawiona.

Wreszcie podał jej jakieś małe pudełko owinięte w coś, co wyglądało w półmroku jak złoty papier.

– Proszę, to dla ciebie. – Prawie się jękał. – To taka drobnostka, nic wielkiego.

Ale z jakiej okazji? – chciała spytać, ale nie spytała.

– Dziękuję – szepnęła i przyjęła pudełeczko, po czym rozpakowała je niezgrabnie zmarzniętymi palcami. W środku było małe czarne pudełko, ewidentnie od jubilera.

– Mam je otworzyć? – zapytała z nadzieją, że odpowiedź będzie przecząca.

– Tak, tak, jak najbardziej.

W pudełeczku leżała para kolczyków i mały pierścionek.

Co to, na Boga, miało oznaczać?

Nic nie mówiąc, wpatrywała się w podarek. Miała nadzieję, że to nie pierścionek zaręczynowy czy coś podobnego. Ale nie, niemożliwe, żeby...

Podniosła oczy. Przyglądał się jej.

– Wybacz, wpadły mi w oko w galerii handlowej, kiedy kupowałem rzeczy na wyjazd. Pomyślałem, że może ci się przydać coś miłego, no wiesz. Jak chcesz, możesz to oddać, zamienić na coś innego, bransoletkę, buty, cokolwiek... no wiesz.

– Dzięki – rzuciła, a potem zapadła niezręczna cisza.

– Jutro ruszamy z samego rana – poinformował, pospiesznie zmieniając temat. – Lepiej porządnie się wyśpij.

Mam nadzieję, że dowiedziała się pani czegoś użytecznego – powiedział Óliver z protekcyjnym uśmiechem. – Jeśli to już wszystko, to się pożegnaj, mam pilną robotę, którą muszę się zająć.

Ignorując jego ostatnie słowa, Hulda spytała:

– Wie pan coś o jakiejś dziewczynie z Rosji, która w zeszłym roku zniknęła z hostelu?

– Zniknęła? No... tak, teraz, jak pani o tym wspomniała, przypominam sobie, że wydaliśmy komunikat z prośbą o informacje na temat zaginionej osoby ubiegającej się o azyl. Chodziło o kobietę. Tylko nie pamiętam, skąd pochodziła.

– Może pan to sprawdzić?

Óliver przewrócił oczami.

– Tak, pewnie mogę. Proszę mi dać swój numer i jak znajdę chwilkę, to się do pani odezwę. – Znowu posłał jej ten sam irytująco pogardliwy uśmieszek.

– Mógłby pan to sprawdzić w tej chwili? – warknęła tak ostro, że aż podskoczył.

– Teraz? Eee, no dobrze...

Z wielce zbolałą miną usiadł przed komputerem.

Po kilku chwilach stukania w klawisze i klikania, oznajmił:

– Tak, była Rosjanką.

– Katja? – spytała.

Zerknął na ekran.

– Tak, zgadza się.

– Co się stało?

– Muszę najpierw przeczytać – rzucił z poirytowaniem.

Hulda westchnęła.

– Tak, wygląda, że ją zgubiliśmy – potwierdził w końcu.

– Zgubiliście? – powtórzyła, oburzona jego doborem słów.

– Tak, nie wróciła do hostelu. To się zdarza, chociaż rzadko. Czasami to tylko nieporozumienie, czasami chcą sobie zrobić przerwę, zapominając, że jesteśmy na wyspie. Ale zawsze wracają. – Po krótkiej chwili doprecyzował: – Prawie zawsze.

– Ale nie ona.

– Nie, ona akurat nie. Przynajmniej do tej pory. Ale ją znajdziemy.

– Minął ponad rok. Uważacie, że nadal są na to jakieś szanse?

– Cóż, nie ja prowadziłem tę sprawę, więc nie mogę nic powiedzieć.

– To kto się nią w takim razie zajmuje? – spytała niecierpliwie Hulda.

Óliver pokręcił głową.

– Zdaje się, że nikt, nikt bezpośrednio. Sprawa jest otwarta. Dziewczyna kiedyś w końcu się pojawi.

Hulda pokiwała głową.

– Rozumiem.

– Pewnie opuściła kraj – zasugerował z pełną nadziei miną. – Morzem? Kto wie? Mielibyśmy problem z głowy, że tak powiem. – Wyszczерzył się.

– Szukali jej?

– Nie w jakiś systematyczny sposób, o ile widzę. Przepytywali ludzi, ale nic konkretnego się nie pojawiło.

– Pan pozwoli, że zgadnę: nikt nie zadał sobie większego trudu, żeby ją znaleźć, bo były inne, pilniejsze sprawy, tak?

– Można to tak ująć – zgodził się Óliver, nawet nie udając, że mu głupio. Chociaż, trzeba mu to oddać, przynajmniej zaczął traktować Huldę poważniej. Może odrobinę przesadziła z tą szorstkością wobec niego; zwykle nie była taka nieprzyjemna, ale ostatnie kilka dni dało jej się mocno we znaki.

– Byłoby możliwe, żeby mnie pan gdzieś podrzucił? – spytała, już miłszym tonem. Nadal była zmęczona, za oczami czuła pulsowanie tępego bólu.

– Gdzie?

– Do zatoki, w której znaleziono zwłoki Eleny. Jak to miejsce się nazywa? Flekkuvík?

Óliver miał minę, jakby zamierzał odmówić, ale prośbę podparła groźnym zmarszczeniem brwi na znak, że nie przyjmie odmowy. Ostatecznie łaskawie się zgodził.

– No już dobrze, tylko się pospieszmy.

Wspiął się na pryczę nad nią. Nie odpowiadała jej ta bliskość, ale niewiele mogła na to poradzić.

Na krzesle przy łóżku postawiła jedną ze świeczek, żeby mieć chociaż trochę światła. Ich latarki leżały na stole, tam, gdzie je odłożył, kiedy je wyłączył; twierdził, że muszą oszczędzać baterie. Wsunęła się w swój śpiwór najgłębiej, jak mogła, co nie jest łatwe, gdy ma się na sobie grubą bluzę i wełniane kalesony. Potem zdmuchnęła świeczkę i zapadła ciemność, tylko trochę rozproszona niewyraźnym szarym cieniem w obrysie okien.

Boże, ale było zimno, była skostniała. Żeby nie wypuszczać ciepła, podciągnęła śpiwór aż pod szyję, potem naciągnęła go także na głowę, zostawiając tylko mały otwór na nos i usta. Ale nawet wtedy nie zrobiło jej się cieplej.

Zwykle zasypiała szybko, ale nie tutaj, nie w tym obcym otoczeniu. Leżała, czekając na nadejście snu, tocząc przegraną walkę z uczuciem, że się dusi.

Dziesięć minut po wyjeździe z Keflavíku skręcili w kierunku Vatnsleysuströnd.

– Jeszcze tylko pięć minut jazdy tą nabrzeżną szosą – poinformował Óliver z ciężkim westchnieniem. – Potem pójdzie pani pieszo brzegiem, o ile jest pani pewna, że chce się tak trudzić.

– My pójdziemy – poprawiła z naciskiem. – Pójdzie pan ze mną, żeby pokazać mi to miejsce.

Óliver kiwnął głową ze zrezygnowaniem.

Zatrzymał się przy jakiejś wąskiej drodze wiodącej w dół na nabrzeże. Wjazd na nią blokowała sterta kamieni.

– Dalej nie pojedziemy – oznajmił. – Tych kamieni nie da się objechać.

Do zatoczki było dalej, niż przypuszczała, a pogoda była paskudna. Huldę naszły wątpliwości: naprawdę chce jej się aż tak mordować?

– Ile zajmie nam dotarcie na miejsce? – spytała.

Óliver zmierzył ją wzrokiem, jego mina zdradzała, co myśli: jak szybko może chodzić taka stara baba?

– Kwadrans w każdą stronę, mniej więcej – odpowiedział i zerkając zarazem na zegarek, dodał: – Proszę posłuchać, ja naprawdę nie mam na to czasu, poza tym tam i tak nie ma co oglądać.

To ta jego reakcja przeważyła szalę. Tak bardzo ją irytował – chociaż gdyby miała być uczciwa, powiedziałyby, że po trochu irytacja mogła być skutkiem wciąż dokuczającego jej kaca – że postanowiła, że przeciągnie go całą drogę aż do samej zatoczki.

– Cóż, musimy dać z siebie wszystko – rzuciła żwawo, wysiadła i ruszyła ścieżką, a kiedy zerknęła za siebie, stwierdziła, że Óliver za nią idzie, chociaż niechętnie. Deszcz nadal mżył, od strony wody dął

silny wiatr, ale ją to orzeźwiało. Może pozbędzie się z głowy tej otumaniającej mgły, a wraz z nią pozostałości migreny. Bliskość morza poprawiała jej też nastrój: czuła, jak z każdym krokiem schodzi z niej napięcie. Szli wolno kamienistą ścieżką, głowy spuszczone przed wiatrem, z obu stron porośnięte mchem pola lawy, piękne swoim własnym odludnym pięknem. Nie licząc pojedynczych ptaków przelatujących w górze, byli z Ólíverem jedynymi poruszającymi się postaciami w tym pejzażu. Nikt by się nie domyślił, że całkiem niedaleko od tego miejsca są farmy; teren był na tyle od nich oddalony, że prawie nigdy się tu nikogo nie spotykało. Idąc, Hulda zastanawiała się, co takiego, na Boga, robiła Elena na tym pustkowiu: przyszła tu z własnej woli i zginęła wskutek wypadku? Odebrała sobie życie czy ktoś ją tu zwabił i zamordował?

– Tutaj nie wjeżdżają żadne samochody, prawda? – spytała, podnosząc głos, żeby było ją słychać ponad wyciem wiatru.

– Co takiego? Nie – odburknął Ólíver. Jego przygarbione plecy i kwaśna mina informowały, że ma ważniejsze rzeczy do roboty niż łażenie po wybrzeżu z jakąś starą babą z wydziału kryminalnego z Reykjavíku.

Huldzie przyszło na myśl, że z tego miejsca do hostelu w Njardvíku musi być co najmniej dwadzieścia kilometrów: odległość, której raczej nie pokonuje się pieszo. Pod tym względem, jak i pod wieloma innymi, raport Alexandra był wybrakowany, nie podawał dokładnego miejsca znalezienia zwłok. Ktoś musiał Elenę podwieźć – to się wydawało oczywiste. Podobnie istotny był fakt, że końcowy odcinek drogi prowadzący na brzeg był niedostępny dla pojazdów, a Alexander ten szczegół też pomiął.

– Czy tę drogę zamknięto dla ruchu niedawno? – spytała.

– Och, nie, już od dawna jest nieprzejezdna. Tutaj nikt nie mieszka. Tam dalej nie ma nic poza kilkoma rozpadającymi się budynkami.

– Czyli to raczej mało prawdopodobne, żeby ktoś doniósł zwłoki na plażę?

– Oszałała pani? Ona na pewno zginęła w zatoce. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że to był wypadek albo samobójstwo. Marnuje pani czas, próbując rozwikłać sprawę przestępstwa, które nigdy nie zostało popełnione – dodał bez ogródek. – A jest tyle naprawdę pilnych dochodzeń, za które należałoby się zabrać.

Sceneria była ponura i nieprzyjazna; tu i ówdzie czepiająca się ziemi mrozoodporna roślina i samotny szkielet drzewa.

Dość szybko dotarli do budynków, bez wątpienia opuszczonych. Z jednego dwupiętrowego domu pozostała jedynie skorupa: dach był cały, ale szare betonowe mury były ogołoczone przez żywioły; okna i drzwi ziały pustką, można było przez nie zajrzeć do środka. Drugi dom był mniejszy, parterowy, z czerwonym dachem i białą odłazającą farbą na ścianach. Gdy już przy nich byli, Hulda się zatrzymała i lustrując otoczenie, zwróciła uwagę na to, że w zasięgu wzroku nie było tam żadnych innych domostw. Z miejsca, w którym stali, nie widać było nawet wozu policyjnego zaparkowanego przy drodze. Bardziej niż kiedykolwiek Hulda nabrała przekonania, że Elena została zamordowana w tym zapomnianym przez Boga miejscu i że nie było przy tym żadnych świadków. Co ty tu, na litość boską, robiłaś, Eleno? – pytała sama siebie. I kto tu z tobą był?

Jeśli miejsce było opuszczone i nieprzyjazne teraz, w maju, jak musiało wyglądać w samym środku zimy, wtedy, gdy była tu Elena? Co jej chodziło po głowie? Czy się domyślała, co się może stać? Należało pamiętać, że tuż przed tym dowiedziała się, że dostała zgodę na pozostanie na Islandii. Musiała być wniebowzięta i być może dlatego mniej czujna, nie dostrzegła ryzyka zagrożenia ze strony osoby, która jej towarzyszyła, dopóki...

– To był czysty przypadek, że ciało zostało znalezione tak szybko – oznajmił Óliver, wyrrywając ją z rozmyślań. – Mało kto tu przychodzi,

a już na pewno zimą, a jednak natknęła się na nią grupa spacerowiczów. Zadzwonili na policję i ja z partnerem przyjechaliśmy zrobić oględziny.

Zamilkł i odezwał się dopiero, gdy zobaczyli zatokę.

Nie była duża, ale piękna, na swój surowy sposób, pomimo silnie wiejącego wiatru emanowała spokojem. Hulda poczuła ciepło rozchodzące się po ciele, widok i zapach morza przeniósł ją na moment do starego domu w Álftanes, na łono rodziny, w czasach przed tragedią. Potem to uczucie minęło, a ona powróciła myślami do Eleny, która ponad rok temu musiała stać w tym samym miejscu i być może też zachwycała się jego pięknem i spokojem.

– Znaleźli ją leżącą twarzą do ziemi na plaży. Miała rany na głowie, ale nie udało się ustalić, skąd się wzięły. Prawdopodobnie spadła, uderzyła się w głowę i straciła przytomność. Przyczyną śmierci było utonięcie.

Hulda ruszyła ostrożnie po śliskich kamieniach w stronę brzegu. Czowała, że chce być jak najbliżej Eleny, chociaż jej ciało już dawno stąd zabrano.

– Jezus Maria, niech pani uważa! – krzyknął za nią Óliver. – Nie będę pani taszczył do samochodu, jak sobie pani skręci nogę.

Zatrzymała się. Dotarła wystarczająco daleko. Wyobraziła sobie Elenę leżącą w płytkiej wodzie. Morze było bezlitosne: karmiło Islandczyków, ale za jaką cenę. Ponad wodami zatoki spojrzała w kierunku olbrzymiego masywu góry Esji w śnieżnej czapie. Krwawiło jej serce, nie tylko z powodu Eleny, ale także ze względu na nią samą. Tęskniła za dawnym życiem, za starymi dobrymi czasami, i chociaż w Péturze znalazła nową przyjazną duszę, czuła, że jest na świecie zupełnie sama. I to uczucie nigdy nie było silniejsze niż w tym momencie.

No i tylko żeśmy zmarnowali czas – zrzędził Óliver, kiedy z powrotem wsiadali do samochodu.

– Nie byłabym tego taka pewna – odparła Hulda.

– Gdzie pani zostawiła swoje auto? Pod komisariatem?

– Ja nie... nie przyjechałam samochodem – przyznała się z lekkim zakłopotaniem, próbując udawać, że to zupełnie normalny sposób prowadzenia dochodzenia.

Wydawało jej się, że dostrzegła chytry uśmieszek przemykający przez twarz Ólívera.

– Odwieźć panią do Reykjavíku? – zaproponował, choć bez entuzjazmu. – Przejechaliśmy tyle, że to już niedaleko.

– Dziękuję, ale muszę zajrzeć do hostelu w Njardvíku. Byłabym wdzięczna, gdyby podrzucił mnie pan tam zamiast do Reykjavíku.

– Jak sobie pani życzy.

Chociaż deszcz zelżał, chmury nad Keflavíkkiem nadal wisały nisko, w każdej chwili mogło znowu lunąć.

– Wielkie dzięki za pomoc – rzuciła Hulda, kiedy dotarli do celu, i szybko wysiadła z samochodu. Odprowadziła go wzrokiem, kiedy odjeżdżał.

Ostatnie miejsce zamieszkania Eleny.

W tym krótkim czasie, jaki minął od chwili, gdy Hulda postanowiła dokładniej przyjrzeć się śmierci Rosjanki, rozwinęło się w niej silne poczucie więzi z młodą kobietą. A teraz, gdy stała przed hostelem w nagłej wiosennej ulewie, uczucie było silniejsze niż kiedykolwiek. Nie mogła się teraz poddać, gdy instynkt mówił jej, że jest już bliska odkrycia prawdy. Ale bała się, że ten jeden dzień, ten ostatni dzień, nie wystarczy.

Jak się okazało, miała szczęście. Dóra siedziała przy biurku w recepcji pochłonięta czytaniem gazety.

– Witam ponownie – przywitała się Hulda.

Dóra spojrzała w górę.

– Och, cześć. Wróciła pani?

– Tak. Wpadłam tylko na chwilę. Pojawiło się coś nowego?

– Coś nowego? Nie, tu się nigdy nie dzieje nic nowego – odpowiedziała kobieta z uśmiechem. – Nowi ludzie, tak, ale poza tym ta sama stara rutyna. Czy może mówi pani o... no wie pani, o czymś w związku z Eleną?

– Tak, właśnie.

– Nie, o tym też nic nowego nie słyszałam. A jak tam dochodzenie?

– Zmierzam do celu, powolutku – odparła Hulda. – Proszę posłuchać. Mogłybyśmy gdzieś usiąść i chwilę porozmawiać?

– Jasne, proszę sobie przyciągnąć coś do siedzenia, przy telefonie jest stołek. – Dóra pokazała na stolik przy ladzie, na którym stał staroświecki aparat telefoniczny, a obok oprawiony egzemplarz książki telefonicznej, rzadki widok w tych czasach.

– W zasadzie to myślałam o jakimś, no, bardziej ustronnym miejscu – wyjaśniła Hulda.

– Och, nikt z rezydentów nie zna islandzkiego. A ja, jeśli to możliwe, wolałabym nie zostawiać recepcji bez obsługi. Poza tym już tak dokładnie wszystko poprzednio omówiłyśmy, że zakładam, że to nie potrwa długo.

– Nie, nie powinno – zgodziła się Hulda, poddając się. Przyniosła sobie stołek i usiadła naprzeciwko Dóry.

– Proszę mi opowiedzieć o Katji.

– O Katji? Tej, która związała?

– Tej.

– Tak, pamiętam ją. Rosjanka, jak Elena. Przyjaźniły się, tak sądzę. Potem któregoś dnia zwyczajnie zniknęła.

– Czy ktoś się tym zajął, było jakieś dochodzenie?

– Pewnie tak. Był tu jakiś policjant, pytał o nią, ale nie miałam mu nic do powiedzenia. Myślałam, że może coś ją gdzieś zatrzymało, ale nigdy więcej się nie pojawiła. Nie wiem, czy policja w końcu ją znalazła, ale tutaj nie wróciła.

– Policja jej nie znalazła. Nadal ma status zaginionej.

– Och, no tak. Nigdy nie było z nią żadnych problemów. Mam nadzieję, że jest cała i zdrowa, gdziekolwiek jest.

– Czy ktoś łączył kiedykolwiek jej zniknięcie ze śmiercią Eleny?

– No, to się stało trochę później – powiedziała z zastanowieniem Dóra. – Ale nie, nie sądzę. Ja też o tym nie wspomniałam, kiedy był tu pani kolega i mnie przesłuchiwał w sprawie Eleny.

– Alexander?

– Taa... Nie sprawiał wrażenia szczególnie gorliwego. Tak jakby to dochodzenie niespecjalnie go interesowało. Pani wydaje się o wiele bardziej zaangażowana. – Dóra się uśmiechnęła. – Gdyby ktoś mnie zabił, zdecydowanie wołałabym, żeby to pani prowadziła śledztwo.

Hulda nie zareagowała uśmiechem na ten czarny humor.

– Wczoraj – zaczęła – mówiła mi pani, że Elena wsiadła do terenówki jakiegoś nieznanego mężczyzny.

– Uhm – potwierdziła kobieta.

– „Niski, gruby, brzydki”, tak go pani opisała.

– Zgadza się.

– Cóż, wczoraj wieczorem rozmawiałam z pewnym mężczyzną, który wprowadzie niebezpośrednio, ale był powiązany ze sprawą, zatem to możliwe, że na jakimś etapie mógł poznać Elenę. Ten mężczyzna ma też dostęp do terenówki. – Hulda pamiętała uwagę Dóry o tym, że dla niej wszystkie auta z napędem na cztery koła wyglądają tak samo. Może było tak dlatego, że to samo auto widziała więcej niż raz; może Baldur przyjechał po Elenę samochodem brata. Wkrótce się tego dowie. Zaczęła grzebać w torbie, szukając w niej

telefonu. Nie mogąc go znaleźć, z przerażeniem pomyślała, że być może zostawiła go w domu; dopiero teraz dotarło do niej, że nie zaglądała do niego całe rano.

– Proszę wybaczyć – wymamrotała. – Jeszcze sekundkę.

Och, jest. Odetchnęła z ulgą.

– Rzecz w tym, że mam tu gdzieś jego zdjęcie. Zaraz je...

Nic się nie wydarzyło. Czyżby padła bateria? Cholera.

– Ma pani może ładowarkę do takiego modelu? – zwróciła się do Dóry. – Z końcówką pasującą do tego... – Pokazała wejście.

– Mogę zobaczyć? – Dora wzięła telefon, wcisnęła jakiś guzik i komórka wydała nagły głośny dźwięk. – Była wyłączona. Proszę.

W tym momencie Huldzie przypomniało się mgliście, że rzeczywiście wczoraj przed zaśnięciem wyłączyła telefon.

– Przepraszam – mruknęła, czerwieniąc się. – Wszystko dzisiaj idzie mi na opak.

Kiedy szukała zdjęcia, telefon piknął na znak, że dostała wiadomość tekstową. Potem piknął jeszcze raz i jeszcze raz.

– Co się dzieje, jak słowo daję – rzuciła z poirytowaniem, bardziej do siebie niż do Dóry. Wiadomości jedna po drugiej otwierały się na ekranie.

„Zadzwoń”.

„Zadzwoń natychmiast!”

„Staw się na komisariacie, natychmiast!”

„Hulda, natychmiast zadzwoń!”

Wszystkie były od jej szefa, Magnúsa. I jedna od Alexandra: „Hulda, mogłabyś zadzwonić? Chcę pogadać o śledztwie. Naprawdę nie ma po co go wznawiać.” Postanowiła, że Alexandrowi nie odpisze ani do niego nie zadzwoni.

Ale Magnúsa nie mogła zignorować. Co się takiego stało, do diabła, że tak się do niej dobija?

– Przepraszam panią – mruknęła do Dóry – ale muszę szybko do

kogoś zadzwonić. – Z walącym sercem wybrała numer Magnúsa, potem się zawahała. Czy naprawdę chce z nim rozmawiać? Mógł mieć dla niej jakieś dobre wieści? A jeśli nie, czego, na Boga, może chcieć? Miesiącami się do niej nie odzywał, zostawiał ją z dochodzeniami samą, w ogóle się nimi nie interesując. A teraz, gdy ją wywalił – czy prawie wywalił – nagle rozpaczliwie chce się z nią skontaktować? Czyżby nadepnęła komuś na odcisk?

Przyszykowała się i wcisnęła przycisk połączenia.

Magnús odebrał po drugim sygnale i już samo to było niezwykłe.

– Hulda, gdzie ty, do diabła, jesteś? Kurwa mać! – Często widywała go, jak tracił równowagę, ale teraz, słysząc ton jego głosu, uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie słyszała, żeby był aż tak wściekły.

Wzięła głęboki wdech.

– Pojechałam obejrzeć miejsce, w którym znaleziono zwłoki Eleny, i zbadać kilka tropów. Chciałeś, żebym jeszcze przez dzisiaj kontynuowała śledztwo.

– Chciałem? Pozwoliłem ci: to różnica. I tropy, mówisz? Jakie tropy, Hulda! Szukasz wiatru w polu, ot co. Tej Rosjanki nikt nie zamordował.

– Tak naprawdę to były dwie – wcięła się.

– Dwie? O czym ty gadasz? Zresztą nieważne. Masz się tu natychmiast zjawić. Słyszysz?

– Coś się stało?

– Żebyś wiedziała, że się stało. Rusz tyłek i przyjeżdżaj. Musimy porozmawiać.

Rozłączył się. Często traktował ją niesprawiedliwie, przynajmniej w jej odczuciu, ale jeszcze nigdy nie był tak jawnie chamski. Musiało się stać coś naprawdę złego.

Siedziała oszołomiona przy blacie recepcji. Dobijało ją, że nie wie, co się stało. Jedyne, co jej przychodziło do głowy, to że chodzi o coś

w związku z Ákim. Czy nieświadomie zrujnowała kolegom dochodzenie? A jeśli tak, dlaczego Magnús nie powiedział jej o tym przez telefon?

Kiedy już odzyskała głos, z płonąca rumieńcem twarzą znów zwróciła się do Dóry:

– Przykro mi, ale obawiam się, że muszę lecieć.

Kobieta kiwnęła głową.

– Tak, też mam wrażenie, że pani powinna. Ten, z kim pani rozmawiała, ktokolwiek to był, nie wydawał się najszcześliwszy.

Hulda zmusiła się do uśmiechu.

– Nie, to prawda, nie wydawał się.

– Ale o co takiego chciała mnie pani spytać?

– Co? Och, no tak. – Hulda spojrzała na telefon i po chwili w końcu odnalazła zdjęcie Baldura Albertssona. – Jest trochę niewyraźne, ale czy to mógłby być ten mężczyzna z terenówki?

Dóra zerknęła krótko na ekran i z przekonaniem skinęła głową.

Hulda, kompletnie zdeorientowana, wybałuszyła na nią oczy.

– To on – zapewniła Dóra. – Bez cienia wątpliwości.

Obudziła się nagle.

Nie mogła złapać tchu, dusiła się. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Przypomniała sobie dopiero po chwili: utknięta głęboko w śpiworze, w lodowatej chacie w środku nocy.

Było tak zimno, że zatykało jej nos i dlatego nie mogła normalnie oddychać. Przez chwilę miała wrażenie, że jest uwięziona w śpiworze; bliska hysterii, zaczęła się gorączkowo szamotać, starając się powiększyć otwór na twarzy. Chciała uwolnić głowę, chciała zaczerpnąć świeżego powietrza.

W końcu jej się udało.

Usiadła i spróbowała się uspokoić, spowolnić szaleńcze bicie serca.

Kurtka, która służyła jej za poduszkę, niewygodnie się ułożyła. Poprawiła ją, żeby była bardziej miękka, i z powrotem się położyła, podciągając śpiwór pod brodę, głowę tym razem zostawiając odsłoniętą. Potem próbowała znowu zasnąć.

Hulda wróciła do Reykjavíku taksówką; na koszt wydziału, a co? Pewnie mogłaby skorzystać z oferty Ólívera, ale ściągnięcie go do hostelu zbyt długo by trwało, a jej się spieszyło.

Ku jej olbrzymiej uldze taksówkarz, który po nią przyjechał, nie był gadatliwy, nie wykazywał skłonności do rozmowy, dzięki czemu mogła spokojnie pomyśleć. W połowie drogi przypomniała sobie, że nie dotrzymała słowa danego Amenie: obiecała, że powie Ólíwerowi, że kobieta jej pomogła, ale pochłonięta własnymi problemami zapomniała o tym. Cały dzień nic tylko się nad sobą uzalała, teraz jednak załaty ją wyrzuty sumienia. Biedna Amena nie miała wielu sprzymierzeńców w tym kraju, Hulda mogła coś zrobić, żeby jej pomóc, wyświadczyć kobiecie drobną przysługę. Skupiła się na niesieniu ratunku Elenie, mimo że dla niej było już za późno. Ale Amena żyje i Hulda ma szansę naprawić zło; postanowiła, że zadzwoni do Olivera, tylko że później, wieczorem, nie teraz.

Niebo się przejaśniało: wyglądało na to, że mżawkę nad Reykjanes zostawią za sobą.

Wciąż roztrzęsiona po rozmowie z Magnúsem, nie mogła liczyć na to, że w trakcie jazdy przez chwilę się zdrzemnie. W żyłach buzowała jej adrenalina, myśli pędziły. Nie miała pojęcia, co ją czeka, ale, przygotowana na najgorsze, postanowiła, że najlepiej zrobi, jak zadzwoni do Pétura.

– Hulda, cóż za miła niespodzianka – przywitał się, entuzjastyczny jak zwykle. – Co słychać?

– Szczerze mówiąc, jestem teraz w pracy – wyjaśniła. Miło było usłyszeć przyjazny głos i wiedzieć, że ma w Péturze kogoś, komu może ufać, kogoś, z kim może szczerze porozmawiać. Na tę myśl

zrobiło jej się ciepło na sercu.

– A ja się nie mogę doczekać naszego wieczornego wyjścia. Nawet zarezerwowałem już dla nas stolik.

– Taa, no właśnie... nie dałoby się może przełożyć tego na jutro? Nie jestem pewna, jak mi się ten dzień dzisiaj zakończy.

– Och, rozumiem. – Rozczarowanie w jego głosie było wyraźne. – Nie ma problemu.

– Mogę zadzwonić, jak już będę wolna? Coś może wtedy razem przekąsimy?

– Taa, dobry pomysł. Tylko że wyjścia nie możemy przełożyć na jutro, a dopiero na pojutrze.

– Co? Jakiego wyjścia?

– Na kolację w hotelu Holt. Nie możemy przełożyć jej na jutro, bo jutro wybieramy się na Esję. Zapomniałaś?

– Och, tak, prawda, Esja. – Myśl o wspinaczce nappełniła ją radosną ekscytacją. Miała wielką ochotę i na tę wyprawę, i na towarzystwo Pétura.

– W takim razie czekam na twój telefon wieczorem – powiedział.

– Tak, mam nadzieję, że nie będzie zbyt późno – odparła, szczęśliwa, że tak dobrze zareagował na zmianę planów w ostatniej chwili.

Rozłączyli się i Hulda znów została sama ze swoimi myślami. Kołatała jej myśl, żeby podać taksówkarzowi inny adres docelowy, stchórzyć przed spotkaniem z Magnúsem. Fakt, że zupełnie nie wiedziała, w jakim celu chce się z nią widzieć, tylko wszystko pogarszał. Gdyby mogła wrócić do domu, odpocząć, odzyskać równowagę i już nigdy więcej nie musieć oglądać biur wydziału kryminalnego. Nie musieć się użerać z beznadziejnym przełożonym, wysłuchiwać jego gderania. Ale to by oznaczało, że porzuca sprawę Eleny, że godzi się, by jej mordercy nie spotkała zasłużona kara.

Nie, coś takiego w ogóle nie wchodziło w grę: gdy Hulda coś zaczynała, zawsze starała się to dokończyć. Siedziała więc w nabijającej kilometry taksówce i patrzyła w milczeniu, jak pola lawy na Reykjanes ustępują miejsca przedmieściom Reykjavíku, mieszance bloków i dużych domków jednorodzinnych z ogródkami, w których teraz, gdy pogoda się poprawiała, rodziny urządzały sobie grilla; wiodły ten rodzaj życia, jaki ona straciła.

Zaraz po wejściu do komisariatu, szykując się mentalnie na nadchodzącą burzę, zwróciła uwagę, że coś jest nie tak. Atmosferę w wydziale można było ciąć nożem. Udała się prosto do gabinetu Magnúsa, nie rozglądając się na boki, unikając spojrzeń kolegów. Okazało się jednak, że Magnúsa nie ma. Skonsternowana, rozejrzała się, po czym postanowiła zajrzeć do jego zastępcy urzędującego w mniejszym pokoju obok. Kolejny młody policjant, który awansował w niewiarygodnie błyskawicznym tempie.

Weszła do pokoju i nie musiała nic tłumaczyć, bo zastępca zaczął mówić, gdy ją tylko zobaczył, a jego mina wyraźnie zdradzała, że nie zazdrości jej bliskiej konfrontacji.

– Maggi czeka na ciebie w sali konferencyjnej. – Wyjaśnił w której, kręcąc głową, jakby sugerował, że bitwa, którą zaraz stoczy, jest przegrana już na starcie.

Szła na spotkanie ze swoim ponurym przeznaczeniem wolno jak skazaniec na szubienicę, nadal nie mając zielonego pojęcia, co się dzieje.

Magnús był w pokoju sam. Miał minę, która boleśnie jasno informowała, że nie jest w najlepszym humorze. Zanim jeszcze zdążyła się przywitać, zapytał krótko:

– Rozmawiałaś już z kimś?

– Czy z kimś rozmawiałam? – powtórzyła, nie rozumiejąc.

– O tym, co się stało wczoraj w nocy.

– Ale ja o niczym nic nie wiem.

– W porządku. Siadaj.

Usiadła na krześle naprzeciwko. Przed Magnúsem leżały jakieś papiery, ale jej wzrok nie był już taki jak kiedyś, więc nie udało jej się dojrzeć, co w nich jest.

– Emma Margeirsdóttir – zaczęła wolno Magnús po długiej przerwie, patrząc w dokumenty.

Huldę zmroziło, gdy usłyszała nazwisko.

– Wiesz, kto to jest, prawda?

– O mój Boże, czy coś się jej stało? – spytała głosem bliskim załamania. Przypomniła się jej wczorajszy telefon, którego nie odebrała.

– Widziałaś się z nią, prawda?

– Tak, oczywiście. Ale przecież wiesz. Mówiłam ci o tym.

– Tak, mówiłaś – potwierdził i znowu zamilkł. Na długo. Wyraźnie chciał załatwić Huldę jej własną taktyką, ale ona nie miała zamiaru się na to złapać; zmusi go, żeby to on wykonał następny krok.

Ustał pierwszy.

– Przesłuchiwałaś ją, tak?

– Tak, tak, przesłuchiwałam.

– I o ile mnie pamięć nie myli, powiedziałaś mi, że z przesłuchania nie wynikło nic interesującego.

Skinęła głową, czując, że zaczyna zalewać się potem. Nie była przyzwyczajona do bycia przesłuchiwaną, a inaczej tego, co się działo, nie można było nazwać.

– „Obawiam się, że w tej sprawie daleko mi do końca”, tak dokładnie powiedziałaś, prawda?

Znowu kiwnęła głową. Magnús czekał na jej odpowiedź i tym razem nie wytrzymała ciśnienia:

– Tak, prawda.

Po kolejnej pauzie Magnús oznajmił, nieco łagodniejszym tonem niż dotąd:

– Wiesz, trochę mnie zaskakujesz, Hulda.

– Dlaczego?

– Sądziłem, że jesteś jedną z najlepszych w tym interesie. W zasadzie to wiem, że jesteś. Udowadniałaś to wielokrotnie na przestrzeni lat.

Nie wiedząc, jak ma na to zareagować – na pierwszy i jedyny komplement, jaki kiedykolwiek od niego usłyszała – czekała.

– Rzecz w tym, że ona się przyznała.

– Przyznała? – Hulda nie mogła uwierzyć własnym uszom. Czy to w ogóle możliwe? Po tym wszystkim? Po tym jak zaryzykowała głową dla tej kobiety?

– Tak. Wczoraj ją zaaresztowaliśmy, a ona przyznała się, że potrafiła tego faceta, tego sukinsyna pedofila. Naturalnie bardzo jej współczuję, ale niezaprzeczalnym faktem jest, że wjechała w faceta z rozmysłem. I co ty na to?

– Wprost niewiarygodne – rzuciła, usiłując mówić pewnym siebie tonem. Nie bardzo jej to szło.

– Tak, niewiarygodne. No, ale miała potężny motyw, jak oboje dobrze wiemy.

– Tak, miała – przytaknęła Hulda, próbując uspokoić oddech.

– Może się spodziewać, że zostanie skazana. A jej syn, no cóż, kto wie, co z nim będzie? Okropna sytuacja, Huldo, zgodzisz się?

– Tak, oczywiście. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć...

– Nawet jakby się nie chciało, trudno tej kobiecie nie współczuć.

– Cóż, przypuszczam...

– Znana jesteś z tego, Hulda, że lubisz zakładać czyjąś niewinność. Unikasz osądzania. Mam tego świadomość, chociaż, jak mi przykro, nie mieliśmy okazji poznać się lepiej.

„Jak mi przykro”? Co za hipokryzja!

– Potraktowałaś ją ulgowo?

– Jak to? Co przez to rozumiesz?

– Podczas przesłuchania?

– Nie, przeciwnie. Biorąc pod uwagę okoliczności, przycisnęłam ją całkiem mocno.

– Bez rezultatu?

– Bez.

– Rzecz w tym, Hulda, że jednego tu nie rozumiem – oznajmił, ściągając brwi i przybierając znajomy protekcyjny ton, którego tak często używał. – Widzisz, Emma twierdzi, że podczas rozmowy z tobą do wszystkiego się przyznała...

Było tak, jakby Magnús odbezpieczył i rzucił w pokoju granat. Huldzie zmiękły kolana. Jak ona się z tego teraz wygrzebie? Czy to w ogóle możliwe? Ile Emma powiedziała? Dlaczego tak ją zdradziła? To po prostu nie mieściło się w głowie.

Albo Magnús blefuje?

Sonduje ją?

Próbuje ją wrobić, chce, żeby przyznała, że zrobiła coś złego.

Kłopot polegał na tym, że nie potrafiła go wyczuć, nie wiedziała, jak ma rozegrać kolejny ruch. Powinna się przyznać czy iść w zaparte i zaprzeczyć?

Nie spieszyła się z odpowiedzią.

– Cóż – zaczęła w końcu – szczerze mówiąc, ta kobieta mówiła bardzo niejasno. Naturalnie nadal była zdenerwowana w związku z tymi zdjęciami z jej synem, z tymi, które znaleźliśmy. To możliwe, że pomyślała, że się do czegoś przyznała, ale ja tak naszej rozmowy nie odebrałam. – Dotknęła czoła, żeby zetrzeć z niego kropelki potu.

– Rozumiem. – Twarz Magnúsa pozostała bez wyrazu.

Całkiem nieźle mu to wychodzi, pomyślała Hulda: nie doceniała go.

– A więc chodzi jedynie o to, że się nie zrozumieliście, tak?

Miała wrażenie, że z każdym pytaniem, na które odpowiada, wkopuje się coraz bardziej i bardziej. Czuła się niekomfortowo w tym pokoju, jak złapana w pułapkę.

– Musi o to chodzić. Jesteś absolutnie pewny, że ona to zrobiła – potrafiła tego faceta? Mimo że tak twierdzi?

– Co ty sugerujesz? – spytał wolno, raczej zadowolony niż zaskoczony.

– Może jej przyznanie się to tylko chęć zwrócenia na siebie uwagi, zwłaszcza jeśli ci powiedziała, że przyznała się już wcześniej – konfabulowała Hulda, chociaż w tym momencie niczego bardziej nie pragnęła jak się poddać i powiedzieć prawdę.

– Nie ma cienia wątpliwości, że jest odpowiedzialna za ten wypadek, ale nie to jest w tym najważniejsze.

– Och?

– Emma miała mi do powiedzenia coś jeszcze...

Serce Huldy zabębniło mocno, zrobiło jej się słabo, a Magnús przeciągał moment, jakby się napawał widokiem jej zakłopotania.

– Emma zeznała, że skontaktowała się z nią później tego samego wieczoru, po przesłuchaniu. Tak było?

– Nie pamiętam. Tak, może, żeby potwierdzić jakieś szczegóły w raporcie.

– Hulda, ona twierdzi, że zadzwoniłaś i powiedziałaś, że nie musi się martwić tym, że się przyznała. Że nie pociągniesz sprawy dalej. – I w tym momencie podniósł głos, był wściekły. – Czy to możliwe, Hulda? Jest choćby cień prawdopodobieństwa, że ona mówi prawdę?

Jak miała na to zareagować? Na dzień przed odejściem na emeryturę ma sobie zaszargać papiery, bo zachciało jej się być dobrą? Co ma robić, dalej iść w zaparte? W końcu to było słowo Emmy przeciwko jej słowu.

Żeby zyskać na czasie, nie powiedziała nic.

– Wiesz, co myślę, Hulda? Myślę, że było ci jej żal. Nikt się nie będzie litował nad jakimś pedofilem – ani ty, ani ja – ale to nie znaczy, że wolno nam brać prawo w swoje ręce. Jeśli o mnie chodzi, myślę, że współczucie dla tej kobiety doprowadziło cię do

przekroczenia pewnej granicy. Do pewnego stopnia potrafię to zrozumieć. – Przerwał na krótko, ale Hulda uparcie milczała. – Ta kobieta trafi do więzienia, matka i syn zostaną rozłączeni... Rozumiem, naprawdę. W końcu straciłaś córkę.

– Nie mieszaj do tego mojej córki! – krzyknęła. – Co ty, do cholery, o niej wiesz? Nie wiesz nic ani o mnie, ani o mojej rodzinie, i nigdy nie wiedziałaś! – Ten wybuch zaskoczył nawet ją samą, ale przynajmniej udało jej się na chwilę zbić Magnúsa z tropu. Lepiej niech więcej nie próbuje wciągać w to Dimmy. Bo inaczej... nie odpowiada za siebie.

– Przepraszam. Próbowałem tylko postawić się na twoim miejscu.

Było coraz bardziej jasne, że pomimo jej dobrych intencji Emma ją sprzedała. Ta zdrada była tak niepojęta, że już samo myślenie o niej wywoływało ból. Tak, prawda, Emma była bardzo zdenerwowana, roztrzęsiona, ale to nie tłumaczyło takiego zachowania. Musiała być w kompletnej rozsypce, kiedy Magnús ją przestuchiwał.

Dopiero wtedy Huldzie przypomniało się, dlaczego poprzedniego wieczoru wyłączyła telefon. Po cholere wypila tyle wina? Kac nie pomagał jej teraz radzić sobie z ciśnieniem. Przez cały dzień nic jej nie wychodziło, a musiała być w najlepszej formie. Być może jest już za stara, pomyślała, zanim ze złością odrzuciła tę myśl. Jest tak samo dobrą policjantką jak zawsze.

Emma do niej dzwoniła późno w nocy. To powinno zapalić jej w głowie czerwoną lampkę i podpowiedzieć, jak zresztą było, że kobieta musi mieć ważny powód, skoro próbuje się skontaktować. Ale Hulda nie była w nastroju na rozmowę. Boże, jakże teraz tego żałowała. Być może Emma chciała z nią porozmawiać o tym, że ma zamiar się przyznać. Och, Chryste.

– To niezwykle poważna sprawa, Hulda – oznajmił Magnús po dłuższej przerwie wypełnionej ciężką ciszą.

Hulda nadal nie wiedziała, jak powinna zareagować i jakie mogą

być reperkusje tego, co zrobiła. Chyba Magnús nie zwolni jej w trybie dyscyplinarnym w ostatnim dniu jej pracy?

– Mówisz, że się przyznała, tak? – odezwała się, świadoma, że zadając to pytanie, potwierdza fakt popełnienia przez siebie błędu, choć niekoniecznie, że zrobiła coś nieprzepisowego. – Tylko jakie to ma teraz znaczenie, o czym rozmawialiśmy i jak ona tę rozmowę zinterpretowała? – Pohamowała haniebne pragnienie, żeby zawyć: Proszę, bądź pobłażliwy. Po tych wszystkich latach, po mojej długiej, udanej służbie, nie moglibyśmy pominąć tego drobnego błędu?

– Trafiłaś w sedno. W normalnych okolicznościach nie sądzę, żebym robił z tego wielkie halo, wiedząc, że i tak odchodzisz i że to trudny okres dla ciebie. Błąd w ocenie sytuacji, nikomu nie stała się żadna krzywda.

W normalnych okolicznościach? Co on próbuje jej powiedzieć?

– Ale to nie koniec, jest gorzej. Wczoraj wieczorem Emma dostała się do szpitala miejskiego. Rozumiem, że w przeszłości pracowała w służbie zdrowia, a obecnie jest zatrudniona w domu starców.

– Do szpitala miejskiego?

– Tak, jak się okazuje, nie było to zbyt trudne: nie mają tam licznej ochrony, ona zna szpital, a jak nie mogła się gdzieś dostać, pokazywała legitymację z domu starców.

Domyślając się już, do czego to zmierza, Hulda poczuła, że robi jej się słabo.

– Zorientowanie się, gdzie leży ten pedofil, nie zajęło jej dużo czasu. Trzymali go w sypialni farmakologicznej, ale z tego, co mówili, jego stan się poprawiał. – Magnús przerwał, bez wątplenia zauważył przerażenie na twarzy Huldy, po czym powrócił do relacjonowania zdarzeń: – Wzięła poduszkę i przycisnęła mu ją do twarzy.

Hulda była zbyt przerażona, żeby spytać, co się stało dalej. Czekwała, pochwycona w bolesne kleszcze nadziei i strachu.

– Facet nie żyje.

– Zabiła go? – spytała z niedowierzaniem, choć już się tego domyśliła.

– Zabiła, Huldo. I zaraz potem oddała się w nasze ręce. Wszystko nam opowiedziała. Że wjechała na niego samochodem za to, co zrobił jej synowi. Chciała go zabić, nie tylko z zemsty, ale żeby nie skrzywdził więcej żadnego innego dziecka. Przesłuchiwałaś ją w miejscu jej pracy, prawda? I natychmiast ją przejrzałaś. Mówiła, że byłaś ostra i że w końcu uległa i się przyznała do tego, co zrobiła. Powiedziała, że jej ulżyło. I powiedziała też... – Spojrzał w papiery przed sobą, aby zacytować dosłownie zeznanie Emmy: – Że to była ulga, że mogła zrzucić to z serca. Nie wyobrażała sobie dalszego życia z tym, co zrobiła. Po twojej wizycie spodziewała się, że wkrótce zostanie zaarrestowana, ale ty zadzwoniłaś do niej wieczorem i powiedziałaś, że jej odpuścisz. Była zaskoczona, oczywiście wdzięczna, ale też rozczarowana. Poczucie winy tak bardzo jej ciążyło, że uznała, że nie ma wyboru i musi się przyznać. Więc do ciebie zadzwoniła.

Hulda się wzdrygnęła. Ten późny telefon.

– Ale ty nie odbierałaś.

Pokręciła głową, potem zadrżała.

– Nie, byłam zajęta – przyznała szeptem. Dlaczego, do diabła, nie odebrała tego telefonu?

Magnús powrócił do wwiercania sztyletu w ranę.

– Wczoraj wieczorem bardzo źle się czuła, była zagubiona. Czuła, że nie ma dla niej przyszłości, że przed nią jest tylko ciemność, więc równie dobrze może dokończyć to, co zaczęła. Dokona czegoś ważnego. Wiesz, Hulda, mogłaś ją wczoraj powstrzymać.

Skinęła głową, gardło miała tak zaciśnięte, że nie była w stanie wydać żadnego dźwięku.

– Nie wspominając o poważnym wykroczeniu, jakiego się

dopuszciała, kryjąc ją. Więcej niż wykroczeniu, jak doskonale zdajesz sobie sprawę, złamałaś prawo, utrudniłaś prowadzenie śledztwa.

Ale intencje miałam dobre, pomyślała. Prawo nie jest wyłącznym arbitrem w kwestii dobra i zła. Czasami trzeba spojrzeć na szerszy obraz. Hulda nie miała złudzeń; doskonale rozumiała, jakie to groźne, gdy ktoś na jej stanowisku myśli w ten sposób. Ostatecznie przysięgała, że będzie przestrzegała prawa. Ale to nie był pierwszy raz, gdy je złamała pod pretekstem, że w pewnych okolicznościach jest to usprawiedliwione. Jedyna różnica była taka, że tym razem ktoś ją na tym przyłapał. Zginął człowiek i po części to była jej wina. Wezbrała w niej fala nagłych silnych mdłości, a jednak nie potrafiła wzbudzić w sobie nawet cienia współczucia dla pedofila. Powiedzieć, że zasłużył na śmierć, to może zbyt wiele, ale była przekonana, że bez niego świat był lepszym i bezpieczniejszym miejscem.

– Czy nie moglibyśmy... – zaczęła i przerwała, nie potrafiła dokończyć zdania. Po raz drugi w życiu jej świat rozpadał się w gruzy. Najpierw wtedy, gdy zginęła Dimma, teraz to. Jej reputacja, wzorowy przebieg służby, to wszystko miało pójść zaraz z dymem. A co gorsza: może mieć postawione zarzuty. Czy po tych długich latach pracy w policji zniesie to, że trafi na ławę oskarżonych? Zniesie odsiadkę...? A co z Péturem, co on na to powie? Była przerażona, że przyszłość, której z opóźnieniem zaczęła wypatrywać z radością, wymknie jej się z rąk.

Magnús siedział, nie poruszając się, nie mówiąc, tylko się w nią wpatrując. Cisza zrobiła się tak dokuczliwa, że Hulda miała ochotę zacząć krzyczeć; na cokolwiek innego była zbyt wyczerpana.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to dla mnie trudne – powiedział w końcu. – Jaki jestem zawiedziony. Zawsze cię szanowałem.

Przyjęła to ze sceptycyzmem, ale nie sprzeciwiła się.

– Jesteś wzorem dla tak wielu z nas w naszym wydziale. I utorowałaś drogę wielu innym, jak Karen. Postawiłaś mnie w sytuacji bez wyjścia.

Nie była pewna, jak ma to przyjąć. Czy Magnús mówi szczerze? Miała nadzieję, że tak, ale jeśli tak, to znaczyłoby to, że przez te wszystkie lata błędnie odczytywała sytuację, nie doceniała tego, jakim szacunkiem darzą ją jej koledzy.

Zwiesiła głowę, pokonana; opuściła ją cała chęć walki.

– Jestem wściekły, nie łudź się, ale nie będę marnował czasu i się na ciebie wydierał: sprawa jest na to o wiele za poważna. Przede wszystkim jestem załamany – ciągnął i, ku jej zdumieniu, brzmiało to tak, jakby mówił prawdę. – Często się za tobą wstawiałem, kiedy była mowa o przeniesieniu cię do innego wydziału. Jesteś powolna, ale uparta, ze starej szkoły, i nie wszyscy to doceniają. Ale miałaś wyniki.

Nie była przekonana, czy powinna w to wszystko wierzyć; nigdy nie czuła, że ma prawdziwe wsparcie ze strony Magnúsa, nawet raz. Jednak prawdą było, że na przestrzeni tych wszystkich lat sporo jej się udało, prowadziła dochodzenia dotyczące naprawdę ważnych przypadków. Dwa z nich zapamiętała szczególnie dobrze: zgon na małej wyspie na południowym wybrzeżu Islandii, gdzie czwórka znajomych zaplanowała sobie spędzenie spokojnego weekendu, i te straszliwe wydarzenia na odizolowanej farmie na wschodzie kraju, w Boże Narodzenie w 1987 roku – tym samym, w którym zginęła Dimma. Obie sprawy były dla niej bardzo trudne emocjonalnie, a ich szczegóły często ją prześladowały.

– Dziękuję – wymamrotała tak cicho, że prawie niesłyszalnie.

– Spróbujemy utrzymać to w tajemnicy, ze względu na nas oboje. Nie dzieliłem się szczegółami z żadnym z twoich kolegów. Byłoby szkoda, gdybyś miała kończyć karierę tak zhańbiona, chociaż pewnie wszystko i tak się wyda, jeśli postawią ci zarzuty. Ale tym się

zajmiemy, kiedy już do tego dojdzie. W poniedziałek przekażę sprawę prokuraturze i potem już nic nie będzie zależało ode mnie. Nie mogę sprawić, żeby ta sprawa rozplynęła się, Huldo, musisz to zrozumieć. Ale spróbuję ograniczyć szkody.

Kiwnęła głową z pokorną wdzięcznością. Nie zamierzała dłużej zaprzeczać, dalej kłamać. Zabawa się skończyła.

– Oczywiście będziesz musiała odejść natychmiast, koniec z tolerancją. Zabrałaś już swoje rzeczy?

Pokręciła głową.

– W takim razie zlecę to komuś i prześlemy ci je do domu, okej?

– Okej.

– A przy okazji, co z tą Rosjanką, tą, co się ubiegała o azyl?

Hulda walczyła ze sobą, żeby się nie rozpaść. Nie mogła w ten sposób zakończyć kariery: sześćdziesięcioczerolatka zalana łzami w ostatni dzień pracy. Odchrząknęła i odpowiedziała ochryple:

– Jeszcze nad tym pracuję. Były dwie Rosjanki.

– Tak, wspominałaś o tym przez telefon. Ale co to oznacza?

– Była taka Rosjanka, Katja, która zniknęła ponad rok temu. Potem zginęła Elena. Te dziewczyny się przyjaźniły. Wątpię, żeby Alexander połączył ze sobą te wydarzenia.

– A one są połączone?

– Nie wiem, ale należałoby to sprawdzić.

– Masz rację. – Chwilę pomyślał, po czym powiedział: – Mogłabyś w wolnej chwili spisać raport i przesłać mi go e-mailem? W pierwszym wolnym momencie sam do niego zajrzę.

Kłamał, zdradzał go ton głosu, ale Hulda doceniła gest.

– Tak, jasne, zrobię to.

Magnús wstał, wyciągnął dłoń i Hulda potrząsnęła nią bez słowa.

– Praca z tobą była zaszczytem, Huldo. Byłaś znakomitą policjantką. – Przerwał, po czym dodał: – Szkoda, że to się skończyło w taki sposób.

Znowu się obudziła i znowu nastąpiło to nagle. Wiedziała, że wciąż jest środek nocy.

Z początku myślała, że ze snu wybiło ją zimno, i rzeczywiście była zmarznięta, nie tylko głowa, ale, całe ciało. Dopiero później się zorientowała, że jej śpiwór jest rozpięty.

Jej towarzysz zszedł z górnego łóżka i przeniósł się na jej pryczę. Leżał teraz obok niej z jedną ręką wetkniętą w jej majtki.

Oszalała z przerażenia, chciała go odepchnąć, ale była tak skostniała, że kończyny odmawiały jej posłuszeństwa. On tymczasem przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Szamotała się, ze wszystkich sił próbowała mu się wyrwać.

– Przestań – warknął. – Oboje wiemy, co się wydarzy, co miałem na myśli, kiedy zapraszałem cię na ten weekend. Widziałem, jak na mnie patrzysz. Więc, do kurwy nędzy, nie odgrywaj mi tu teraz cnotki.

Słyszała te słowa i nie wierzyła własnym uszom.

Chwilę potem zaczęła drzeć się na całe gardło, głośniej niż kiedykolwiek w życiu.

A on nie zadał sobie nawet trudu, żeby ją uciszyć, zasłaniając jej usta ręką.

Hulda stała przed komisariatem na Hverfisgata i nie mogła się ruszyć, była kompletnie sparaliżowana. Minęło ją kilku kolegów. Pozdrawiali ją, przechodząc, ale ona nie była w stanie im odpowiedzieć. Stała tam tylko, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w przestrzeń.

Czuła się tak, jakby jej życie się zatrzymało: nie widziała przyszłości, nie wiedziała, co przyniesie jutro. Najbardziej pragnęła porozmawiać z Péturem, ale nie potrafiła się zdobyć, żeby do niego zadzwonić. Jeszcze nie teraz.

Wreszcie paraliż ustąpił i ruszyła wolno przed siebie; skręciła za róg budynku i szła dalej w kierunku morza. Chociaż słońce zdążyło już wyjść spoza chmur, kiedy dotarła do nabrzeżnej szosy, przywitał ją tam gwałtowny wiatr. Nie zważając na przejeżdżające pojazdy, przecięła drogę, usiadła na ławce i zapatrzyła się w panoramę gór po drugiej stronie zatoki. Ten widok nigdy się jej nie nudził. Te wszystkie szczyty, które zdobyła w swoim czasie: Esja, Skardsheidi, Akrafjall. Ich zapierające dech piękno działało uspokajająco, koło nerwy, przenosiło ją do szczęśliwszych chwil w jej życiu. Ale sprowadzało również obrazy ze zwłokami Eleny wyrzuconymi na brzeg zatoki. Morze daje i morze odbiera.

Hulda znów poczuła miazdzący ciężar samotności.

Miała tyle na sumieniu.

Powróciła myślami do Eleny. Czy to właśnie ona była kluczem? Drogą do uzyskania czegoś w rodzaju rozgrzeszenia? Sposobem na odzyskanie honoru, przynajmniej w jakiejś części? Czy jeśli rozwiąże sprawę śmierci Rosjanki, zdoła uratować coś z tego wraku, jakim było jej życie? Choćby przynajmniej to, że poczuje się bardziej

pogodzona ze sobą samą?

Niespokojne wody zatoki Faxaflói nie udzieliły jej odpowiedzi, ale za to natchnęły iskierką nadziei. Obiecała Magnúswi, że odstąpi od prowadzenia śledztwa, ale jaka była szansa, że szef się dowie, że do końca dnia będzie je kontynuowała? Że wykorzysta w pełni swoje ostatnie godziny w policji? Wciąż miała te dwa tropy, które powinna zbadać. Komu to zaszkodzi, jeśli to zrobi? Będzie musiała kłamać, udawać, że nadal pracuje w policji, ale było mało prawdopodobne, żeby ktoś to zechciał zakwestionować.

Tak, musi to zrobić. Tylko dzisiaj. To ostatnia okazja. I będzie miała czym zająć głowę do chwili, aż zbierze odwagę na wieczorne spotkanie z Péturem.

– Nikt cię nie usłyszy – powiedział, śmiejąc się i zarazem szamocząc z jej długimi kalesonami, które próbował z niej ściągnąć.

To wtedy, pomimo otumaniającego zimna, dostała skądś dodatkową porcję energii i odepchnęła go tak mocno, że spadł z łóżka na podłogę.

Poderwała się na nogi, oślepią mrokiem, świadoma, że jej jedyna szansa to ucieczka z chaty i próba ukrycia się gdzieś na tym wielkim bezludziu. I choć pomysł był nierealistyczny, musiała spróbować. Nagle w oczy wpadła jej siekierka do lodu, którą on wcześniej odczepił od plecaka i położył przy drzwiach.

Jakimś cudem zdołała dotrzeć do niej pierwsza.

Hulda zapukała do drzwi w domu Alberta. Miała nadzieję, że porozmawia z jego bratem i dowie się, czy zabierał Elenę na przejażdżkę terenówką. Ku jej zaskoczeniu drzwi otworzył sam Albert, chociaż było jeszcze przed szesnastą.

– Hulda? – zawołał, nieco zaskoczony.

– Albert, wpadłam bez zapowiedzi, licząc...

– Tak, tak, wróciłem dzisiaj wcześniej, bo chociaż raz nie było tyle roboty co zawsze. – Był zakłopotany i miał rozbiegane oczy, jakby interes nie szedł wcale tak dobrze. – Nie dostałaś tamtych dokumentów? Baldur mówił, że byłaś po nie wczoraj wieczorem.

– Och, tak, dostałam. Ale wszystkie są po rosyjsku, więc jeszcze nie wiem, co w nich jest.

– No tak, tak przypuszczałem, ale nigdy nie wiadomo, być może znajdziesz w nich coś użytecznego. Miejmy nadzieję, że zdołasz wywalczyć sprawiedliwość dla tej biednej dziewczyny. W końcu to była moja klientka.

– Szczerze mówiąc, przyszedłam, żeby jeszcze raz zamienić słówko z twoim bratem.

– Z moim bratem? – Ewidentnie była to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć.

– Tak... Twój brat, hm, wczoraj wspomniał o pewnej sprawie – skłamała niezdarnie, przeklinając się w duchu za to, że nie wymyśliła lepszej wymówki, ale z drugiej strony nie sądziła, że wpadnie na Alberta – i chciałabym ją z nim wyjaśnić.

– A co on ci takiego naopowiadał, na Boga? Coś w związku z Eleną?

– Nie, hm, tak, ale niebezpośrednio. Trochę to skomplikowane.

– A więc w związku ze mną, tak? – Głos Alberta wyostrzył się.

– Co takiego? Ależ nie, skąd. Brat jest w domu?

– Nie, nie ma go. Udało mu się dzisiaj złapać jakąś robotę, coś z wystrojem wewnątrz, więc pewnie szybko nie wróci.

– Poprosisz go, żeby do mnie zadzwonił, jak wróci?

Albert wyraźnie nie wiedział, jak ma zareagować, ale w końcu powiedział:

– Tak, tak, jasne. Poproszę. Zadzwonię na twój numer biurowy.

– Nie, nie, dzwoń na komórkę, znasz numer – doprecyzowała pospiesznie i uśmiechnęła się.

Albert odwdzieczył się jej tym samym i szybko zamknął drzwi.

Ponieważ nie pozwoliliby jej już skorzystać z usług tłumacza policyjnego, oczywistym krokiem było zwrócenie się z prośbą o pomoc do Bjartura. Hulda wróciła do samochodu i udała się do miejsca jego zamieszkania po zachodniej stronie miasta. To miał być jej ostatni przystanek, chyba że w dokumentach odkryją coś ważnego. Trochę na to liczyła, z drugiej strony coraz silniej czuła, że chętnie by się już tej sprawy pozbyła i wreszcie odpoczęła.

Zadzwoiła jej komórka, więc zjechała na pobocze, żeby odebrać. To znowu był Magnús.

– Hulda? – zaczął, głos miał ponury.

– Tak – potwierdziła, spinając się.

– Nie chciałem ci dzisiaj już więcej zawracać głowy, ale zapomniałem o czymś wspomnieć: dziś rano aresztowali Ákiego.

– Naprawdę? – Poczowała się trochę lepiej. – Za sutenerstwo?

– Między innymi, ale minus jest taki, że byli zmuszeni ujawnić się z całą operacją i skończyło się na lekkim pośpiechu – wszystko dlatego, że poszłaś go przesłuchać bez pozwolenia.

Zakłęła pod nosem.

– Istnieje ryzyko, że tymczasem jego koledzy, niestety, zniszczyli dowody. Lepiej się przygotuj, bo pewnie będą do ciebie dzwoniли w sprawie tej rozmowy z nim. Chcą się dowiedzieć, czy z czymś się wydał, na podstawie jakich informacji działałaś...

Westchnęła.

– Tak, dobrze... chociaż obawiam się, że nic nowego im nie powiem.

– W takiej sytuacji musisz się liczyć z kłopotami. Ta cała sprawa to totalne fiasko, ale trudno, stało się. Postaraj się nie załamywać.

Jeszcze bardziej, niż już jestem? – pomyślała, kiedy się rozłączyła. Mając świadomość, jak wiele wysiłku jej koledzy musieli włożyć w śledztwo, było jej naprawdę przykro, że przypuszczalnie zupełnie im je popsowała.

Nienawidziła popełniania błędów.

Naprawdę tego nienawidziła.

W dzieciństwie, kiedy odrabiała lekcje, babka zawsze zaglądała jej przez ramię, sprawdzała każdą odpowiedź, każdą pracę pisemną, nieważne, czy chodziło o gramatykę, matematykę, geografię, historię... A jej krytyka często bywała nie tylko bardzo ostra, ale też niesprawiedliwa, przynajmniej zdaniem Huldy. Babka nieustannie ją napominała, że musi się bardziej starać, że jest zbyt powolna, że musi być lepsza od chłopców, jeśli chce coś w życiu osiągnąć. Często tymi połajankami doprowadzała ją do łez.

Dopiero jako dorosła Hulda poznała koncepcję konstruktywnego krytycyzmu, która jej babce niestety była całkowicie obca.

A teraz znowu czuła ten sam wstyd. Znow się wstydziała, że popełniła błąd.

Bo przecież stać ją było na więcej.

Tym razem Hulda nie marnowała czasu, nie zaglądała do domu, tylko od razu pomaszzerowała do garażu i zapukała. W okienku zauważyła gustowną tabliczkę z napisem: „Bjartur Hartmannsson, tłumacz”.

Bjartur otworzył szybko drzwi i wydawał się zaskoczony jej widokiem.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, Bjartur, to znowu ja – rzuciła przepraszająco, świadoma, że to, co robi, to walka z wiatrakami, że jej próby rozwiązania tej sprawy prawie na pewno skazane są na niepowodzenie.

– No, no – mruknął z uśmiechem tłumacz, drapiąc się po blond czuprynie. – Wygląda, że zaczynam być dobrym, starym przyjacielem policji.

Huldzie przemknęło przez głowę pytanie, ile ten Bjartur może mieć lat. Nie zadała sobie fatygi, żeby to sprawdzić, ale pomimo jego chłopięcego wyglądu zgadywała, że dobiega czterdziestki. Kobieta, która otworzyła drzwi podczas jej poprzedniej wizyty – przypuszczalnie matka – wyglądała na około siedemdziesiąt.

– Pełne ręce roboty, co? – spytała przyjaznym tonem.

– Taa, jasne, no... może nie z tłumaczeniami, ale mam dużo grup z rosyjskimi turystami. Daję słowo, że gdyby nie dolary turystów, Islandia już dawno poszłaby na dno. Ale dzisiaj było spokojniej. Piszę tu sobie tylko... no wie pani, pracuję nad swoją książką.

Gwałtowny wzrost turystyki od czasu załamania islandzkiego systemu bankowego – i wynikającego z tego spadku wartości islandzkiej korony – niezaprzeczalnie pomagał krajowi stanąć na

nogi, bo turyści przywozili ze sobą cenną walutę obcą. Sytuacja wyglądała teraz nieco lepiej niż wcześniej, ale kryzys finansowy odbił się na wszystkich i Hulda zdawała sobie sprawę, że kwitnąca turystyka w niewielkim stopniu może wpłynąć na poprawę jej osobistej sytuacji finansowej.

– Zapraszam, niech pani wejdzie – rzucił Bjartur po chwili wahania. – Tylko niestety nadal mam tu lekki bajzel. Nie miałem jeszcze okazji kupić krzesel dla gości, więc będzie pani musiało wystarczyć łóżko. – Zacerwienił się. – To znaczy, no wie pani, będzie pani musiała usiąść na łóżku.

Znalazła wolny od klamotów kawałek i się na nim usadowiła, Bjartur opadł na stary fotel biurowy. W garażu było nieprzyjemnie duszno. Bjartur pewnie nie zdążył go wywietrzyć przed jej niespodziewaną wizytą.

– Pan tu mieszka, w tym garażu? – spytała z zaciekawieniem.

– Tak, w zasadzie to tak. Śpię tu i pracuję. Mam tu większą prywatność, rozumie pani. Mama i tata mają dom, ale nie byłem w stanie dłużej z nimi mieszkać. Miałem dość tego życia na kupie. Niestety w domu nie ma piwnicy, bobym się tam przeprowadził, ale rodzice zgodzili się na przerobienie garażu.

Hulda miała ochotę zapytać, dlaczego nie przeprowadził się gdzieś na swoje, nie wynajął jakiegoś mieszkania, ale nie zrobiła tego w obawie, że to może zabrzmieć niegrzecznie.

Bjartur domyślił się chyba jednak, co jej chodzi po głowie.

– Nie ma sensu, żebyśmy się przenieśli do własnego mieszkania. Przynajmniej jeszcze nie teraz. To zbyt kosztowne, wynajem czy kupno. Ceny za mieszkania są astronomiczne, a ja nie mam stałego dochodu. Ze zleceń na tłumaczenia i z tych grup turystycznych zarobek jest dość marny, ledwie mi starcza na przeżycie. Czasami się zdarza, że mam roboty po uszy, zwłaszcza latem, ale poza tym jest kiepsko. Ale udaje mi się trochę oszczędzać. Kiedyś na pewno

wszystko się jakoś ułoży. Poza tym rodzice nie młodnieją, kiedyś pewnie będą chcieli zamienić dom na coś mniejszego.

Albo umrą, wyczytała Hulda z wyrazu jego twarzy.

– Przyszłam do pana poprosić o małą przysługę – oznajmiła.

– Och, tak? A o jaką?

Podawała mu kopertę, którą dostała od Alberta.

– Są tu pewne dokumenty, które wykopał adwokat Eleny. Nie wiem, czy jest w nich coś interesującego, ale nie chciałabym niczego zaniedbać i tak dalej. – Uśmiechnęła się na znak, że traktuje sprawę dość lekko.

– Rozumiem. A jak idzie śledztwo, że tak przy okazji zapytam? Bo widzę, że go sobie pani nie odpuszcza.

– Nie... skąd, nawet nie zamierzam – skłamała. Prawda jednak była taka, że z wielką chęcią by je porzuciła. Zwłaszcza teraz, po tym, co usłyszała od Magnúsa, kontynuowanie dochodzenia było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, chociaż zarazem była to jedyna rzecz, jaka jej pozostała.

Nie mogła uciec od faktu, że z jej winy zginął człowiek. Fakt, był przestępcą, pedofilem, co nieco uspokajało jej sumienie, bo przecież niektóre zbrodnie są po prostu niewybaczalne.

Ale była jeszcze ta sprawa z popsuciem kolegom śledztwa dotyczącego Ákiego. Jej kariera detektywa legła w gruzach. Nic dziwnego, że nie miała ochoty na pracę. A jednak, pomimo wszystko, kontynuowała ją, zbyt uparta, żeby zrezygnować, ścigając się przy okazji z czasem.

– Oczywiście, że zerknę dla pani do tych dokumentów – zgodził się Bjartur, przekręcając się z fotelem do biurka, na które wysypał kartki i rozłożył je przed sobą. – Tylko proszę dać mi minutkę na ich przeczytanie.

– Naturalnie. – Pod wpływem nagłego podszeptu intuicji dodała: – Zechciałby pan również zwrócić szczególną uwagę na wszelkie

wzmianki o osobie o imieniu Katja?

– Katja? – upewnił się, nie odrywając oczu od tekstu.

– Tak, zdaje się, że ta kobieta była przyjaciółką Eleny.

– Okej.

– Pan ją może znał? Tłumaczył pan coś dla niej?

– Nie.

– Rzecz w tym, że ona zaginęła.

– Zaginęła?

– No cóż, albo to, albo rozplynęła się w powietrzu. To Rosjanka, też się ubiegała o azyl, dlatego pomyślałam, że te sprawy mogą mieć ze sobą związek.

– Okej. Tu nic nie ma. Pierwszy dokument to jakieś zaświadczenie z Rosji o miejscu zamieszkania; pewnie je przywiozła, żeby mieć coś na potwierdzenie tożsamości.

– Och, rozumiem – mruknęła Hulda, lekko rozczarowana. Wiedziała, że błądzi po omacku, ale te papiery to była jej ostatnia szansa. – Tak czy inaczej, bardzo proszę o uważne przeczytanie dalszych stron – powiedziała najgrzeczniej, jak potrafiła.

– Jasne.

Bjartur studiował papiery w milczeniu, siedząc tyłem do niej, a ona, przycupnięta na skraju łóżka, czekała z napięciem, aż skończy. Cisza przedłużała się w nieskończoność, aż wreszcie tłumacz lekko podskoczył na krześle.

– Zaraz, zaraz – rzucił takim tonem, jakby natknął się na coś niespodziewanego. – Zaraz, zaraz – powtórzył.

– Co? O co chodzi? – Hulda poderwała się i zajrzała mu przez ramię. Czytał ostatnią kartkę z zestawu, zapisaną pismem odręcznym.

– Znalazł pan coś? – spytała niecierpliwie.

– Cóż... chciałbym... ale...

– No co? – rzuciła już ostrzej. – Co tam jest napisane?

– Ona tu opisuje jakąś wycieczkę na wieś, na którą się wybrała z przyjaciółką. Podaje tylko inicjał jej imienia. „K”. Czyżby chodziło o tę Katję?

– Tak, to możliwe. – Hulda poczuła, że z podekscytowania cała zrobiła się spięta. Nareszcie.

– I był ktoś jeszcze... Nie jestem pewien, czy chodzi o kobietę, czy o mężczyznę...

– No, niech już pan to z siebie wydusi...

– Znów inicjał. Chyba mężczyzny. Z kontekstu wynika, że był z nimi jakiś mężczyzna.

– A inicjał? Jaka to litera?

– „A”.

Roześmiał się.

– Odlóż siekierę i pogadajmy. I tak nie będziesz miała odwagi jej użyć.

Odchodząc od zmysłów z przerażenia, oparła się o drzwi i wymachując siekierą przed sobą, drugą ręką szukała klamki.

Na jej towarzyszu nie robiło to najmniejszego wrażenia. Dał krok, a potem doskoczył do niej jednym susem i wyrwał jej siekierę.

Przez chwilę stał zupełnie nieruchomo.

Była sparaliżowana strachem, chociaż wszystko w niej krzyczało, żeby uciekała.

Potem się na nią rzucił.

Czy on ją tą siekierą uderzył w głowę? Była tak oszołomiona, tak nadal otepiała z zimna, że z początku nie zorientowała się, co się stało.

Potem, gdy dotknęła włosów, na palcach poczuła ciepło sączącej się krwi.

„A”?

– Tak.

– Chyba nie sugeruje pan...?

– Mnie też to od razu przyszło na myśl – potwierdził Bjartur, kiwając głową ze skonsternowaną miną.

Hulda powiedziała to na głos:

– Albert?

– Tak.

– Ale może... może chodziło o coś całkiem niewinnego. Może o sprawy urzędowe. Czy mógł być też adwokatem Katji?

Bjartur wzruszył ramionami.

– Niestety, dla mnie to nie brzmi niewinnie. Ona tu pisze, że doszło do jakiegoś rodzaju przemocy. W ogóle te jej wyznania to jak jakiś wpis w pamiętniku. Może chciała mieć to na piśmie, w razie gdyby coś się stało. Zakładam, że to zeznania Eleny. Bardzo słabo znała angielski, więc to naturalne, że pisała po rosyjsku.

– Co? I Albert znalazł te zapiski, i nie wiedząc, co w nich jest, przekazał je mnie?

– Ironia losu – mruknął Bjartur. – O rany, czuję się zupełnie jak jakiś bohater powieści kryminalnej. W młodości sporo się ich naczytałem. – Uśmiechnął się, jakby był zachwycony swoją nową rolą pomocnika detektywa.

– Chryste... – wymamrotała Hulda. Co ma teraz zrobić? Czy to możliwe, żeby to Albert, a nie jego brat, coś ukrywał?

– Dokończę czytanie, okej?– rzucił Bjartur i pochylił się nad kartką.

– Tak, tak – mamrotał, kiwając głową. Widać było, że naprawdę wczuł się w rolę. – Wie pani co? – odezwał się nagle, podnosząc oczy

znad kartki. – Chyba wiem, dokąd pojechali. Trochę się tam jedzie, to jakieś półtorej godziny od Reykjavíku. – Wymienił nazwę doliny, o której Hulda nigdy nie słyszała, ale z drugiej strony ją zawsze bardziej pociągały góry: doliny nie zapewniają aż tyle dreszczyku.

– Tylko że to dziwne – ciągnął Bjartur – bo ona pisze o jakimś domu, a o ile wiem, ta dolina jest niezamieszкана.

– Mógłby mi ją pan pokazać na mapie? – poprosiła.

– Mogę zrobić coś lepszego: mogę tam panią zawieźć – zaoferował się skwapliwie. – Nie mam teraz nic ważnego do zrobienia.

– Ach tak, dobrze. Dziękuję. A potem porozmawiam z Albertem. Mógłby pan przetłumaczyć dla mnie te dokumenty? Słowo w słowo?

– Jasne, podczas jazdy powiem pani dokładnie, co w nich jest. Ale, hm, moglibyśmy pojechać pani samochodem? W swoim mam za mało benzyny na tak długą trasę.

Hulda ze współczuciem pomyślała, że być tłumaczem to chyba rzeczywiście niezbyt lukratywne zajęcie.

Usiadła za kierownicą swojej wiernej starej skody, Bjartur zajął miejsce pasażera i wskazywał drogę, zarazem zaznajamiając Huldę z treścią napisanej odręcznie notatki Eleny. Elena wybrała się na wycieczkę do doliny w towarzystwie dwóch innych osób, kobiety, której imię zaczynało się na literę „K”, i mężczyzny z imieniem z inicjałem „A”. Nocowali w domku letniskowym, wyprawa jednak zakończyła się przedwcześnie, gdy mężczyzna zaatakował fizycznie swoje towarzyszek.

Huldzie trudno było uwierzyć, że mogło chodzić o Alberta, ale zupełnie wykluczyć się tego nie dało. Czy to możliwe, że Albert zamordował obie kobiety, i Katję, i Elenę? I jakie miejsce w tym wszystkim zajmował jego brat?

Kiedy jej telefon zaczął dzwonić, odmówiła krótką żarliwą

modlitwę, aby się nie okazało, że to znów Magnús. Wciąż była w szoku po ich ostatnich dwóch rozmowach, nadal nie wszystko zdążyła poukładać sobie w głowie. Bardzo żałowała, że nie może przeciągnąć śledztwa do następnego dnia, kiedy czułaby się bardziej sobą. No i szkoda też, że nie jest dziesięć lat młodsza.

Zatrzymała się na poboczu i odebrała telefon, chociaż nie znała numeru, który się jej wyświetlił.

– Hulda? Dzień dobry, tu Baldur, Baldur Albertsson. Brat Alberta.

– Co? Och, tak, witam. – Moment wydawał się zaskakująco trafny.

– Albert przekazał mi, że chciała pani porozmawiać... – W głosie Baldura wyczuwało się zdenerwowanie.

– Tak, chciałam. Chodzi o Elenę, o tę Rosjankę, którą reprezentował pański brat.

– Tak...

– Czy pan ją znał?

– Ja? Nie, to znaczy... – zaważał się, a Hulda czekała. – To znaczy... no, raz czy dwa ją widziałem. Ale dlaczego pani o to pyta?

– Zechciałby pan powiedzieć, gdzie się spotkaliście?

– Kilka razy zabierałem ją z Njardviku.

– Och? A dlaczego?

– Robiłem przysługę bratu. Musiał się z nią spotkać, a nie miał czasu sam po nią pojechać. Miał jakieś spotkania czy coś. Więc pożyczyłem jego jeepa i pojechałem po nią. To nic wielkiego. Takie rzeczy wliczamy sobie w koszta – no wie pani, czas i koszt benzyny. To chyba nic złego, prawda? Wszystko było legalne, chociaż faktycznie, to nie Albert prowadził. Jak mam czas, to mu pomagam, przynajmniej tyle mogę zrobić w zamian za to, że u niego mieszkam. Lubię być pomocny, jeśli mogę. – Oddech Baldura wydawał się przez telefon przyspieszony i nierówny.

Czy tylko o to chodziło? Że Baldur zrobił przysługę bratu?

– Dziękuję panu, Baldur. Proszę się nie niepokoić. Chciałam to

tylko sprawdzić, żebym mogła wykluczyć pana ze sprawy. Ktoś widział, jak ją pan zabierał z Njardviku. Musiałam się dowiedzieć, jaki był powód, to wszystko. Proszę się o nic nie martwić, wszystko jest w porządku.

– Okej, dzięki – odparł. – No bo... no wie pani, nie mam doświadczenia, nigdy nie byłem zamieszany w żadne śledztwo policyjne.

– I całe szczęście.

– Zdecydowanie.

Huldzie przypomniało się, że wciąż nie wie, czy Albert reprezentował także tę drugą Rosjankę, Katję.

– A przy okazji, jest tam może z panem pański brat? – spytała niby od niechcienia. – Chciałabym go o coś zapytać.

Po drugiej stronie połączenia zaległa cisza.

– No... nie, nie ma go tu. – Po chwili zastanowienia Baldur dodał: – Szczerze mówiąc, to nie wiem, gdzie on jest.

– W porządku, Baldur, nie ma sprawy. Dziękuję, że pan zadzwonił.

Po rozłączeniu się zadzwoniła na komórkę Alberta. Czuli, że powinna go złapać jak najszybciej, bo jeśli to on był zabójcą, możliwe, że będzie próbował uciec z kraju czy coś w tym stylu.

Ale Albert nie odbierał.

Przerwała połączenie i nagle przyszła jej na myśl ta syryjska dziewczyna, Amena. Coś w związku z nią nie dawało jej spokoju. Jakaś jej uwaga, która jej się wymknęła... ważny szczegół, który wcześniej jej umknął. A niech to. Dawniej była skrupulatniejsza i wszystko notowała, pamięć też miała lepszą. To było coś... coś, co ta Syryjka powiedziała... Przywołała z pamięci obraz dziewczyny w celi. Prostytucja, właśnie: Amena zdecydowanie zaprzeczała, że Elena mogła być zamieszana w prostytutkę. I jej zaprzeczenia były przekonywające. I to ona też powiedziała Huldzie o istnieniu tej drugiej Rosjanki, Katji. I o tym, że Elena dostała zgodę na pobyt...

tak, to jest to... to coś związanego właśnie z tym. Tylko co to jest, do jasnej cholery? Ciągłe jej umykało, chociaż czuła, że ma to na końcu języka.

– Przepraszam, że o to proszę, ale czy mógłbym na moment pożyczyć pani telefon? – spytał Bjartur, wrywając ją z jej rozmyślań.
– Zapomniałem powiedzieć rodzicom, że wychodzę, a na swoim... no cóż, wydzwoniłem już wszystkie opłacone minuty. – Jego twarz znowu załała się czerwienią.

– Jasne. – Podała mu komórkę.

Wybrał jakiś numer i czekał.

– Cześć, tato, posłuchaj... tak, wiem. Mama będzie musiała zrobić to sama... Nie, tato, teraz nie mogę... Pomagam tej pani z policji... Rozpracowujemy pewną sprawę... – Przewrócił oczami i nie przerywając rozmowy, wysiadł z auta.

Huldzie przypomniały się czasy, kiedy ją też traktowano jak małą dziewczynkę, a nie osobę dorosłą.

Korzystając z nieobecności Bjartura, włączyła radio i na chwilę wyciągnęła się wygodnie na siedzeniu. Miała za sobą długi dzień, a to jeszcze nie był koniec. Ale niebo było błękitne i wieczór, po mało obiecującym początku, zrobił się naprawdę piękny. Pomyślała, że maj to zdecydowanie najlepszy miesiąc w całym roku w jej chłodnej ojczyźnie.

Po kilku minutach Bjartur wrócił.

– Przepraszam za opóźnienie, możemy jechać dalej – uśmiechnął się. – To już najwyżej pół godziny.

Jechali już od godziny, Hulda czuła, że jest coraz bardziej głodna: oprócz batonika od rana nie miała nic w ustach. Poza tym coraz bardziej doskwierało jej zmęczenie. Może poprosi Bjartura, żeby to on prowadził, gdy będą wracali. I lepiej, żeby ta wyprawa nie okazała się kompletną stratą czasu. Obiecała sobie, że pod koniec dnia porzuci śledztwo, tylko czy będzie potrafiła dotrzymać obietnicy?

Nadal dręczyła ją myśl, że nie zdołała skontaktować się z Albertem. Koniecznie musi z nim porozmawiać.

Czy może raczej posłucha rozkazów: wszystko, czego się dowiedziała, przekaże Magnúсовi i niech to on kończy dochodzenie? Pewnie nie będzie za wesoło, gdy mu powie, że ich wieloletniego współpracownika podejrzewa o podwójne morderstwo. Faceci mają zwyczaj trzymać się razem, a Albert, chociaż adwokat, a nie śledczy, został zaakceptowany jako członek ich paczki.

Zakłęła pod nosem. Może powinna po prostu rzucić to wszystko w cholerę. Opuścić sobie tę całą wyprawę.

Na myśl przyszedł jej Pétur i nagle dotarło do niej, że w zasadzie to nawet się cieszy, że przechodzi na emeryturę, że ekscytuje ją perspektywa spędzenia jesieni życia z Péturem. Będą mogli robić razem tyle rzeczy, jeździć po Islandii, a może nawet za granicę, czerpiąc radość z życia w swoim towarzystwie. Nadal będzie mogła uprawiać piesze wędrówki, tylko że teraz z Péturem, ale będzie też mogła odkrywać nowe hobby; była w dobrej formie i chciała pozostać aktywna. Może zaczęłyby grać w golfa, tak jak wielu jej kolegów. Ma tylko sześćdziesiąt cztery lata i tyle możliwości przed sobą; może spróbuje – przy pomocy Pétura – pożegnać się z ciemnymi stronami swojej przeszłości. Już dawno nie widziała wszystkiego w tak jasnych barwach i tak wyraźnie.

Naprawdę bardzo już chciała wrócić do domu i od następnego dnia rozpocząć nowe życie – życie z Péturem.

Po jakiejś chwili wziął ze stołu jedną z latarek i włączył. Potem przyglądał się kobiecie na podłodze, usiłując zrozumieć, co zrobił. Kochał tę kobietę, a ona teraz leżała martwa u jego stóp. Zabił ją. To takie dziwne.

Cóż, w tej sytuacji musi ratować, co się da. Musi myśleć logicznie. Nie może dopuścić, by zbyt wiele krwi wyciekło na podłogę.

Myśleć. Najważniejsze, że nikt inny nie wiedział o ich wyprawie. I nikomu nie przyśni się nawet szukać ich tutaj ani szukać w chacie dowodów zbrodni.

Nadal było ciemno, co oznaczało, że wciąż ma dużo czasu. Musi tylko zachować spokój i działać metodycznie.

Zabił – po raz pierwszy w życiu i, prawdę mówiąc, okazało się to niepokojąco łatwe.

Myślę, że jesteśmy na właściwej drodze – oznajmił Bjartur. – To jest ta dolina, o której pisała Elena, chociaż nie wiedziałem, że stoją tu jakieś budynki. Ale z drugiej strony byłem tu dawno temu. – Potem dodał: – Jest pani pewna, że bezpiecznie jest się tu zapuszczać? Nie mam doświadczenia w... no, wie pani, w śledzeniu zabójców...

– Przecież nie zawrócimy teraz, kiedy tyle przejechaliśmy – odpowiedziała Hulda. – Będzie dobrze. Jestem przekonana, że nic nam nie grozi. To na pewno dobra droga? Na pewno jedziemy w stronę tej doliny? – Droga zamieniła się w żwirowy dukt, z każdym kilometrem stawała się coraz gorsza.

– Tak, tak, jedziemy dobrze.

Kontynuowali niewygodną jazdę do doliny, Hulda była trochę niespokojna, czy skoda wytrzyma na wybojach. Ale w jej głowie tłoczyły się też inne niepokojące myśli: o matce, która trafi do więzienia, o potencjalnych reperkusjach tego tragicznego incydentu dla niej samej; o tym, jak wszystko zrujnowała w przeciągu jednego spektakularnie koszmarnego tygodnia. Elena coraz bardziej znikiała z horyzontu, wypychana z niego przez inne zmartwienia.

Wieczór był piękny, słońce wisiało nisko na prawie bezchmurnym niebie, grupa świeżo zasadzonych drzewek rzucała długie cienie na bladezieloną trawę w dolinie. Zbocza dopiero miały się zazielenić, bo wiosna jeszcze tak tutaj nie rozkwitła jak w mieście. Przez moment, rozglądając się po rozległej otwartej przestrzeni i bezkresnym błękitnie nieba, Hulda doświadczała uczucia wolności o nieograniczonym potencjale. Ale potem zmęczenie powróciło i przyszło jej na myśl, że oddałaby wszystko za to, żeby móc się rozkoszować piękną pogodą gdzie indziej: najlepiej w Fossvogur,

wyglądając przez okna na ogród Pétura.

– Może jednak powinniśmy sobie odpuścić – wymamrotała po kolejnych pięciu minutach jazdy po wyboistej drodze i dzwonienia zębami.

– Taa, chyba ma pani rację – przytaknęła Bjartur. – Za jakieś sto metrów będzie dobre miejsce, żeby zawrócić. – W następnej chwili zawołał tryumfalnie: – Dom! Niech pani patrzy, tam jest jakiś budynek. Nowy. Nie było go, gdy przyjechałem tu ostatnio.

Hulda zwolniła i popatrzyła za wskazującym palcem tłumacza.

– Obejrzymy go? – spytał. – Założę się, że to dom, o którym pisała Elena.

– Absolutnie – potwierdziła.

Określenie „dom” było lekką przesadą. Kiedy podjechali bliżej, zobaczyli, że był to prymitywny barak czy budka obok czegoś, co okazało się placem budowy. Chociaż nigdzie nie dostrzegli żadnych robotników, było oczywiste, że na placu prowadzone są prace związane ze stawianiem fundamentów pod nowy budynek. Hulda zaparkowała przed barakiem i z nawyku przed wyjściem z samochodu bacznie zlustrowała otoczenie. To raczej niemożliwe, żeby ktoś ukrył się na tym otwartym trawiastym terenie w jasną wiosenną noc. Nie było tam nawet skałek. Jediną potencjalną kryjówkę stanowił barak.

Hulda spojrzała na Bjartura.

– Tutaj nie ma co oglądać.

– No, nie ma, ale może przynajmniej zajrzemy do baraku? – podsunął.

– Nie mamy pozwolenia – zaprotestowała, chociaż bardzo ją kusilo, żeby zlekceważyć zasady. Ostatecznie co miała do stracenia? Zwłaszcza teraz, kiedy pokonali taki kawał drogi.

– Możemy zajrzeć do środka przez okna – zaproponował Bjartur.

Wzruszyła ramionami. Nie mogła go powstrzymać.

Tłumacz obszedł mały barak, zaglądnąjąc w okna. Potem, bez ostrzeżenia, nacisnął klamkę w drzwiach. Otworzyły się.

– Nie są zamknięte – zawołał i zanim zdążyła zareagować, wszedł do środka.

– Och, a co mi tam – wymamrotała i ruszyła niespiesznie za tłumaczem, myśląc sobie, że nawet jeśli ktoś się o tym dowie, to przecież nie mogą jej wywalić po raz drugi.

Kiedy weszła do baraku, jej serce zabiło mocniej, w żyłach buzowała adrenalina, a jednocześnie umysł obudził się z uśpienia. Nagle przypomniała sobie słowa Ameny, które dotąd jej umykały. Dzień przed śmiercią Elena cały wieczór spędziła w lobby, rozmawiając przez telefon. Ale teraz Hulda wyraźnie sobie przypominała, że recepcjonista mówił, że rozmowy międzynarodowe są w hostelu zablokowane. A Elena знаła jedynie rosyjski. Czy to możliwe, że rozmawiała z Bjarturem?

Bjartur.

Gdzie on się podział? Nie widziała go nigdzie w małym baraku. Chciała się rozejrzeć, ale zanim zdążyła to zrobić, coś ciężkiego uderzyło ją w głowę.

Czyszczenie zajęło mu trochę czasu, zwłaszcza że było ciemno, ale nawet po uprzątnięciu śladów wiedział, że będzie musiał tu jak najszybciej wrócić z silniejszymi środkami i spróbuje usunąć to, co pozostało. Miał uczucie dziwnego odrealnienia, jakby to ktoś inny uderzył kobietę siekierką w głowę, a jemu tylko przypadło zadanie posprzątania po tym kimś. W pewnym sensie było mu żal Katji, ale jednocześnie był na nią wściekły, że tak głupio się zachowała. Nie zasłużyła na śmierć, ale w danych okolicznościach jego reakcja była jedyną możliwą.

Zerknął do książki gości i potwierdziły się jego przypuszczenia, że o tej porze roku w chacie goście pojawiają się w odstępach kilku dni, a nawet tygodni, więc jest szansa, że wszystko ujdzie mu na sucho, jeśli tylko wróci tu jeszcze tego samego wieczoru.

Na razie jednak przede wszystkim musi się pozbyć ciała.

Zamknął je w swoim śpiworze i przeciągnął do samochodu, pewien, że padający śnieg dość szybko zakryje ślady. W ciemnościach przed świtem, w środku zimy, z dala od cywilizacji był przekonany, że może działać i nikt go nie zobaczy, i nikt mu nie przeszkodzi. Nie wiedział tylko, co ma zrobić ze zwłokami. Wszystkie pomysły, jakie przychodziły mu do głowy, wiązały się z ryzykiem, czasem z wielkim ryzykiem.

Ostatecznie postanowił, że pojedzie pod lodowiec. Znał tam miejsce z pasem szczelin, które nadawały się do jego celów. Końcowy odcinek był nieprzejezdny, ale w taki mróz i przy takiej ilości śniegu bezpiecznie pokona go na nartach. Latem coś takiego nie byłoby możliwe, bo wtedy lodowce roją się od turystów, ale o tej porze roku gra była warta świeczki. Tam się teraz wybierze i dopilnuje, żeby Katja zniknęła na zawsze.

Hulda o wiele za długo zamykała oczy na prawdę. Z niszczycielskimi konsekwencjami tego faktu żyła już od ponad ćwierci wieku. Nie była pewna, kiedy dotarło do niej, co się dzieje, ale wtedy było już za późno. Po części był to wynik wypierania, po części jej ślepoty na to, co się toczyło tuż pod jej nosem. Cóż za ohydny paradoks. Tak się przecież zawsze szczyliła swoją spostrzegawczością, miała się za jednego z najlepszych śledczych właśnie dlatego, że nic jej nigdy nie umykało, że potrafiła przejrzeć każde kłamstwo i oszustwo o wiele szybciej niż koledzy.

Ale kiedy zbrodni dokonano w jej własnym domu, nie zauważyła niczego.

Albo nie chciała zauważyć.

Konfrontacja z tym faktem była dla niej prawie niewyobrażalna. Kochała Jóna przez większą część dorosłego życia; pobrali się młodo, Jón zawsze był dla niej dobry, był uczciwym, godnym zaufania mężem. Ich miłość kwitła, przynajmniej przez jakiś czas, i to była prawdziwa miłość; pamiętała pierwszy wspólny rok, pamiętała, jak ten przystojny miły mężczyzna zwał ją wtedy z nóg, wydawał jej się taki obyty, taki światowy. Stąd tak łatwo było przeoczyć pewne rzeczy, przekonać samą siebie, że znaczyły coś innego.

Kiedy urodziła się Dimma, oboje byli tacy szczęśliwi, tacy dumni. Ale kiedy skończyła dziesięć lat, zachowanie ich córki uległo diametralnej zmianie, zrobiła się ponura, izolowała się, miała nawracające okresy obniżonego nastroju. A mimo to do Huldy nadal nic nie docierało. Pozwalała sobie na luksus życia w ignorancji, perswadowała sobie, że przyczyna nie może leżeć w domu.

Naturalnie próbowała rozmawiać z córką. Pytała, dlaczego tak źle

się czuje, co się stało, że jest taka przygnębiona, ale Dimma uparcie unikała odpowiedzi, nie chciała niczego wyjawić, zdecydowana cierpieć w milczeniu. W chwilach rozpaczy Hulda zastanawiała się nawet, niedorzecznie, czy sami w jakiś sposób tego na siebie nie sprowadzili, wybierając tak niecodzienne imię dla ich córki: Dimma, czyli ciemność. Jakby skazali ją na taki los od urodzenia, chociaż imię wybrali wyłącznie ze względu na jego przyjemne poetyczne brzmienie. W momentach większej przytomności odrzucała jednak tę myśl jako bezsensowną i głupią.

Patrząc wstecz, żałowała, że nie naciskała na Dimmę bardziej, że nie domagała się odpowiedzi bardziej stanowczo. Dziecko tkwiło w pułapce rozpaczliwego dylematu, z każdym dniem coraz bardziej zagłębiało się w otchłani.

W tych ostatnich kilku tygodniach przed samobójstwem zaledwie trzynastoletniej Dimmy Hulda bardzo źle sypiała, jakby przeczuwała nadejście katastrofy. A mimo to nie wkroczyła odpowiednio mocno, co być może uratowałoby Dimmie życie.

Tuż po jej śmierci, kiedy zobaczyła reakcję Jóna, Hulda wszystko zrozumiwała. Nawet nie musiała pytać. W jedną noc zmienił się cały jej świat. Ale z jakiegoś powodu nie przerwali gry, udawali dalej, mieszkali w tym samym domu, pokazując światu zewnętrznemu jednolitą twarz, chociaż ich małżeństwo w tamtym momencie już nie istniało. Może chodziło o to, że Hulda chciała uniknąć skutków bezpośredniej konfrontacji z Jónem, że bała się, że jego straszliwa zbrodnia w jakiś sposób splami i ją. Języki poszłyby w ruch, szeptano by, że musiała wiedzieć, że powinna była coś zrobić, mogła go powstrzymać i uratować córkę. Uratować życie Dimmy. Najtrudniejszą do zniesienia rzeczą było to, że te oskarżenia mogły zawierać w sobie ziarno prawdy. Dlatego nie powiedziała ani słowa człowiekowi, na którym kiedyś tak jej zależało. Nie spytała go, co zrobił jej córce, którą kochała ponad wszystko. Nie chciała wiedzieć,

jak długo trwało molestowanie. Ale jednego była pewna: samobójstwo Dimmy było tego bezpośrednią konsekwencją. Dimma sama odebrała sobie życie, ale pełną odpowiedzialność za jej śmierć ponosił Jón.

Poza tym Hulda nie zniosłaby wysłuchiwania szczegółów, wyobrażania sobie obrzydliwych rzeczy, do robienia których zmuszał jej córkę.

Kiedy Dimma umarła, w Huldzie też coś umarło. W chwilach najgłębszego cierpienia, gdy rozpacz wydawała się nie do wytrzymania, w tych dniach, kiedy czuła, że to ona ponosi winę za to, co się stało – niezliczonych dniach, niezliczonych nieprzespanych nocach – jedyną rzeczą, która utrzymywała ją na powierzchni, była ognista nienawiść do Jóna.

Nie rozmawiali o córce już nigdy więcej, nigdy nie wypowiadali na głos jej imienia. Hulda nie była w stanie zmusić się do mówienia o córce w obecności tego obcego człowieka, tego... potwora. A Jón miał tyle rozumu, że przy Huldzie nigdy o Dimmie nie wspominał.

Trochę potrwało, zanim Hulda się ocknęła. Z początku nie mogła sobie przypomnieć, co się stało, gdzie jest i z kim. Ale kiedy w końcu wspomnienia wydarzeń powróciły, kiedy spróbowała otworzyć oczy, uświadomiła sobie, że straszliwie boli ją głowa.

Gdzieś leżała. Nad nią wieczorne niebo, ale też... czy to ziemia? Gdzie ona jest?

Zamknęła oczy. Chryste, co za ból, głowa jej pękała. On ją uderzył – Bjartur walnął ją czymś w głowę. Znowu otworzyła oczy, minimalnie, i ku swemu przerażeniu i niedowierzaniu zobaczyła, że leży w wykopie fundamentu na terenie budowy w dolinie.

A potem zobaczyła Bjartura, który trzymał łopatę.

Chciała krzyknąć, ale kiedy otworzyła usta, natychmiast dostał się do nich piasek. Wypływając go, zdołała wychrypieć przez wysuszone wargi:

– Co ty robisz?

Bjartur uśmiechnął się, sprawiał wrażenie przerażająco spokojnego.

– Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że odzyskasz przytomność – odpowiedział wolno. – Możesz krzyczeć, ile chcesz: jesteście tu sami. To działka mojego kolegi. Pomagam mu przy budowie domku letniskowego.

Zaczęła się wiercić, chciała usiąść, ale bez sukcesu.

– Ale i tak na wszelki wypadek związałem cię – dodał, zrzucając na nią całą łopatę ziemi. Wylądowała ciężko na jej twarzy i piersiach. Instynktownie zamknęła oczy, a kiedy je znowu otworzyła, poczuła, że szczypią.

– Co ty wyprawiasz, do jasnej cholery? – zakłęła pod wpływem

niedowierzania i wściekłości, które na chwilę przewyciężyły strach.

– Zakopuję cię w fundamentach, żeby mieć pewność, że znikniesz. Pod domem.

Jej umysł gorączkowo pracował, próbowała grać na zwłokę.

– Czy mógłbyś... mógłbyś dać mi się czegoś napić?

– Napić?

Zastanowił się.

– Nie, nie ma sensu. To twoja wina, wiesz? Trzeba było nie przychodzić i nie węszyć, nie pytać o Katję. Nikt się nie zorientował, że istnieje jakieś połączenie między Katją, Eleną i... mną. Nie mogę ryzykować. Chyba to rozumiesz, prawda?

– Chcesz powiedzieć, że zamierzasz mnie zabić?

– Ja... ja cię zakopię. Potem przypuszczalnie rzeczywiście umrzesz.

Z sercem walącym jak bęben Hulda zaczęła się szamotać, chcąc się wyswobodzić z więzów, ale mogła jedynie przekręcać się na boki. Bjartur przytknął czubek łopaty do jej piersi i mocno nacisnął.

– Leż spokojnie!

– Czy to tak... tak pozbyłeś się Katji? – spytała. Cokolwiek, żeby tylko mówił dalej.

– W pewnym sensie. Ale ona... leży gdzie indziej.

– Gdzie?

– To chyba nie twój interes, co? Z drugiej strony raczej nikomu już tego nie zdradzisz. Jest w zimniejszym miejscu niż to – uśmiechnął się. – Ze mną też się wybrała na wycieczkę, tyle że okoliczności były zupełnie inne. Widzisz, byłem w niej zakochany i ona o tym wiedziała. Myślałem, że ta wycieczka to początek naszego związku, ale ona tak nie uważała i... no cóż, co się stało, już się nie odstanie.

Hulda walczyła o oddech, starała się oprzeć narastającej panice, zachować jasność myślenia. Jak by tu znaleźć sposób na wydostanie się stąd. Musi przekabacić Bjartura. Ale do tego potrzebuje czasu, musi go wciągnąć w rozmowę. Cokolwiek, żeby tylko jej umysł

trzymał się z daleka od myśli, że zostanie pogrzebana żywcem.

– To ty zamordowałaś Elenę, tak? – spytała, starając się panować nad głosem. – W wieczór przed jej śmiercią długo rozmawialiście przez telefon, prawda?

– Elena. Ona to rozgryzła – odparł. Wcześniej znów zaczął sypać na nią ziemię, ale teraz przerwał i oparł łopatę na hałdzie piasku. – Tylko ona wiedziała, że przyjaźnię się z Katją. Nie dawała mi spokoju, ciągle pytała, co się z nią stało. Na początku skłamałem, powiedziałem, że pomogłem Katji uciec, że ukrywa się na wsi. Ale Elena nalegała, żebym pozwolił się jej z nią spotkać. Potem zadzwoniła do mnie w ten wieczór, kiedy... kiedy Katja zginęła. Straszyla, że pójdzie na policję. Próbowałem ją przekonywać, żeby tego nie robiła. Musiałem ją powstrzymać, chyba rozumiesz?

Hulda kiwnęła głową.

– Tego wieczoru zaprosiłem ją na spacer nad morzem. Zgodziła się, nie bała się, nie miała powodu.

– Muszę się zobaczyć z Katją! – oznajmiła Elena przez telefon. – Muszę!
– Cóż, to niemożliwe – odparł Bjartur. Był w swoim garażu albo raczej w garażu rodziców. Miał za sobą trudny miesiąc: zleceń było mało, a nad książką nie chciało mu się pracować, nie miał na to energii. Ciągle dręczyło go wspomnienie zajścia w górach. Odtwarzał je w myślach, tę chwilę, gdy musiał zabić kobietę, którą kochał. Katję, która przyjechała do jego kraju szukać w nim azylu; którą poznał, kiedy został jej tłumaczem. Od razu się zaprzyjaźnili, tak przynajmniej myślał. A ona była taka ładna. Ponieważ nie знаła słowa po angielsku, często się zwracała do niego o pomoc, i czasami kończyło się na tym, że przegadywali cały wieczór. Oboje lubili naturę i literaturę rosyjską. Rozmowy z kobietami nigdy nie przychodziły mu łatwo, przynajmniej nie z Islandkami, i teraz, gdy kończył czterdziestkę, praktycznie pogodził się z tym, że już zawsze będzie singlem, ale potem w jego życiu pojawiła się Katja. Fantazjował, że się z nią ożeni, co z automatu zapewniłoby jej pozwolenie na pobyt. Może wyprowadziłby się od rodziców albo wysłałby ich do domu starców, a w ich domu zamieszkał z Katją. Zaplanował sobie wszystko, całą ich wspólną przyszłość, i czekał tylko na właściwy moment, przekonany, że Katja czuje do niego to samo co on do niej. Był przekonany, że dziewczyna go kocha. Potem podczas jakiejś rozmowy rzuciła mimochodem, że chętnie pojechałaby kiedyś za miasto. Natychmiast to podchwycił, uważając, że to jego szansa. Zabierze ją w góry, zatrzymają się na noc w górskiej chacie. I tam, gdy będą tylko oni dwoje, odcięci od świata zewnętrznego, ich związek się rozpocznie.

Ale rzeczy ułożyły się zupełnie inaczej. Skończyło się na tym, że musiał ją zabić. Naturalnie nie chciał tego zrobić, ale czasami człowiek nie ma wyboru. Tak jak z Eleną; ją też musiał zabić. Nieustannie pytała o Katję, a on musiał kłamać, opowiadać, że pomógł jej się ukryć; że Katja dowiedziała

się, że prawdopodobnie nie otrzyma zgody na pobyt, i spanikowała. Oczywiście to też nie było prawdą, ale musiał wymyślić jakiś wiarygodny powód na wytłumaczenie tego, że się ukrywa. Elena nie zakwestionowała tej opowieści.

Modlił się o to, żeby Elena jak najszybciej została deportowana i żeby nie musiał jej więcej oglądać. I żeby nigdy się nie wydało, co spotkało Katję. Policja jej szukała, ale nikt nie wiedział o ich wyprawie w góry i nikt – z wyjątkiem Eleny – nie wiedział, że on i Katja tak dobrze się dogadywali. To znaczy dobrze do tej nocy w chacie.

Ale potem przyszedł dzień, w którym zadzwoniła Elena. Dowiedziała się, że jej podanie o udzielenie azylu zostało zaakceptowane. Na tę wiadomość wpadł w panikę: Elena chciała się spotkać z Katją, żeby przekazać jej dobre wieści i namówić, aby się ujawniła, żeby mogły rozpocząć nowe życie razem na Islandii.

– Muszę się z nią zobaczyć – nalegała. – A ty jesteś jedyną osobą, która może pomóc. Powiedz mi tylko, gdzie ona jest... nikomu tego nie zdradzę. Chcę się z nią tylko zobaczyć, porozmawiać.

– Nie możemy tak ryzykować – odpowiedział.

Po drugiej stronie połączenia zapadła cisza.

– W takim razie pójdę na policję – oznajmiła Elena.

– Na policję?

– Tak. Powiem, że pomogłeś jej uciec. Przesłuchają cię i będziesz musiał powiedzieć prawdę. A wtedy może Katja będzie miała szansę, rozumiesz? Szansę na uzyskanie prawdziwego pozwolenia na pobyt. Ale najpierw musi się ujawnić!

Znowu zaległa cisza. Rozmawiali już tak długo, że Bjartur zdążył się zamienić w strzępek nerwów. Nie miał sił dłużej kłamać. Był tym wyczerpany. A teraz jeszcze zaczął się bać.

Nie może trafić do więzienia. Nie może. Morderstwo nie może się wydać. Ciało Katji leżało bezpiecznie na dnie szczeliny lodowca, oczyścił chatę z wszelkich obciążających dowodów. Zresztą nikt, zupełnie nikt, nie wiedział,

że tam byli. Myślał, że mu się udało, że będzie bezkarny, ale ta dziwka Elena postanowiła wszystko zniszczyć.

– Dobrze – zgodził się na koniec.

– Dobrze? – powtórzyła Elena, wyraźnie zdumiona. – Chcesz, żebym poszła na policję?

– Nie, powiem ci, gdzie ona jest. Albo... albo może wolisz pojechać do niej ze mną i sama się z nią zobaczyć?

– Co? Serio? Tak, oczywiście, że tak wolę.

– Myślę, że wszystko będzie dobrze. To wielki dzień, ekscytujące wieści... zawiozę cię do niej.

W trakcie gdy mówił, jego umysł gorączkowo pracował, obmyślał idealne miejsce: odizolowana mała zatoka przy Flekkuvíku, mniej więcej w połowie drogi między Reykjavíkiem i Keflavíkiem. Znał ten teren dobrze; jako przewodnik wycieczek zapoznał się z geografią kraju albo osobiście, albo czytając o tym w książkach. Zaletą tej konkretnej zatoczki było, że choć z Njardvíku jechało się do niej nie dłużej niż kwadrans, wokół nie było żadnych domów ani drogi. Mieli zagwarantowane, że będą sami, bo nawet samochodem nie dawało się tam dojechać; będą musieli wysiąść i kilkaset metrów przejść piechotą.

– Możesz po mnie przyjechać? – spytała Elena.

– Hm... ale nie do hostelu. Nie chcę ryzykować, że ktoś mnie zobaczy... rozumiesz, ze względu na to, że Katja się ukrywa. – Wymienił sklep w pobliżu hostelu i poprosił, żeby tam się spotkali.

– Ależ to daleko – utyskiwała Elena, szcękając zębami z zimna. Śnieg jeszcze wprawdzie nie spadł, ale było lodowato, a ona nie ubrała się odpowiednio. No cóż, nic nie można było na to poradzić. Bjartur prowadził ją ścieżką wiodącą do zatoczki. Przed nimi zamajaczyły jakieś budynki, ledwie widoczne w mroku.

– Katja jest w tamtym domu, w tym bliżej morza – oznajmił w końcu.

– Naprawdę? Tam jest?

– Nikt by nie wpadł na to, żeby jej tu szukać.

– Niewiarygodne. Chcesz powiedzieć, że była tu przez cały ten czas?

– Na początku mieszkała u mnie – wyjaśnił, pozwalając, by do jego głosu zakradło się trochę ciepła. I nawet na chwilę sam w to prawie uwierzył, przypominając sobie swoje fantazje o ożenku z Katją i sprowadzeniu jej do swojego domu. – Ale to było zbyt ryzykowne – ciągnął. – Mieszkają ze mną rodzice. Wcześniej czy później odkryliby Katję.

– Rozumiem – odpowiedziała Elena.

Nie potrafił w mroku odczytać wyrazu jej twarzy. Przekonał ją?

– Jestem pewna, że będzie się kwalifikowała do uzyskania prawa pobytu jak ja – dodała po chwili. – Mamy bardzo podobną sytuację.

– No racja – zgodził się. – Racja.

– Tylko... szkoda, że uciekła. To był twój pomysł? – W tonie jej głosu pobrzmiwały oskarżycielskie nuty.

– Mój? Ależ skąd – obruszył się, udając urażonego. – Robiłem, co mogłem, żeby ją od tego odwieść.

– Czy ona wie? Że przyjedziemy, o to mi chodzi.

– Nie. Nie ma telefonu.

Elena zamilkła.

I odezwała się ponownie dopiero, gdy zbliżali się do domu.

– Wiesz, coś tu nie gra, Bjartur. Tutaj nikt by nie zamieszkał. W oknach nie ma szyb. Te budynki są opuszczone.

– Nie gadaj bzdur. Zapewniam cię, że ona tu jest.

Elena odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, i teraz mógł zobaczyć, że jej oczy mrużyły się podejrzliwie.

– Czy ty mnie okłamujesz?

Była z nim sama, w zimnie i ciemności, i nagle stężała ze strachu.

Bjartur zatrzymał się. Było prawie bezwietrznie, szum fal hipnotyzował. Przyjrzał się Elenie. Nie miała jak mu teraz uciec.

– Kłamiesz? Dlaczego to robisz? – Głos jej się podniósł, zrobił się piskliwy,

napięty. – Gdzie jest Katja?

Zaczęła się od niego odsuwać. On się nie poruszył.

Potem się odwróciła i rzuciła do ucieczki.

Dopadł ją szybko i kiedy to zrobił, rzucił na ziemię, chwycił leżący blisko kamień i walnął ją nim w głowę, ogłuszając. Zabił ją? Chyba nie. Wydawało mu się, że wyczuwa puls.

Wziął ją na ręce i zataszczył wiotkie ciało do zatoki, potykając się w ciemności raz czy dwa na kamieniach. Potem położył ją na brzuchu, z twarzą w słonej wodzie, i przytrzymał głowę pod wodą.

Chcesz powiedzieć, że w tych dokumentach, które przyniosłam, nic nie było? – spytała Hulda, jednocześnie gorączkowo myślała, postanowiła zrobić wszystko, żeby tylko ich rozmowa się nie urwała.

Bjartur roześmiał się. – Nic interesującego. Oczywiście musiałem szybko coś wymyślić, kiedy wspomniałaś o Katji; znaleźć jakiś powód, żebyś dała się wyciągnąć z miasta. Muszę się ciebie pozbyć. Nie mam innego wyjścia.

Hulda zakłęła w duchu. Ten dzień zamienił się w prawdziwe piekło. Wszystkie jej błędy wróciły, żeby się na niej zemścić: wyznanie Emmy, ten zamordowany w szpitalu pedofil, aresztowanie Ákiego. Trzeba było nie wystawiać dzisiaj nogi z łóżka. W normalnych okolicznościach o wiele szybciej zorientowałyby się, że coś jej zagraża, ale zmartwienia stępiły jej intuicję.

– Błagam, daj mi łyk wody – poprosiła, mimo że prośenie o cokolwiek tego człowieka było dla niej czymś wstrętnym.

– Później – burknął.

Później? – zdziwiła się w duchu. Nie była pewna, co to może oznaczać.

– Czy one obie były prostytutkami? – pytała dalej.

Bjartur parsknął śmiechem.

– Oczywiście, że nie. Ani jedna, ani druga. To były porządne dziewczyny, zwłaszcza Katja była piękna.

– Ale... – Dopiero teraz, o wiele za późno, Hulda zrozumiała, jak Bjartur ją zwiódł, jak pchnął ją w błędnym kierunku już na samym starcie.

– Byłem zaszokowany, kiedy cię zobaczyłem na swoim progu – ciągnął. – Sądziłem, że mam to już z głowy, że śledztwo zostało

zamknięte dawno temu. Myślałem tylko o tym, jak odciągnąć twoją uwagę od siebie. Potem mnie olśniło: powiem ci, że Elena była prostytutką. I trafiłem w dziesiątkę, co? Złapałaś się na ten haczyk.

Hulda zamrugła, w oczach miała pełno ziemi. Kiedy się jej pozbyła, zobaczyła, że Bjartur się uśmiecha półprzytomnie.

Poczuła, że serce zaciska się jej z przerażenia, ale nie mogła pozwolić, żeby ją to sparaliżowało. Przez chwilę znów była dzieckiem, zamkniętym za karę w spiżarni przez babkę.

Na moment przymknęła oczy, skupiając się na śpiewie ptaków. Ktoś na pewno przyjdzie jej z pomocą. Wprawdzie było po północy, ale ktoś się tu będzie kręcił. Albo może Bjartur się rozmyśli, może chce ją tylko nastraszyć... Ale jej nadzieja malała z każdą mijającą sekundą.

– Nie ujdzie ci to bezkarnie – oznajmiła w końcu, lecz zabrzmiało to nieprzekonywająco, nawet dla niej samej.

– Uszły mi już dwa zabójstwa. Zaczynam być prawdziwym ekspertem. I dopilnuję, żeby nikt nigdy cię nie znalazł. W tym tygodniu mamy wylewać fundamenty betonem.

– Ale... – Pomyślała o swojej komórce. O tym, że komórki się lokalizuje, będzie wiadomo, gdzie ją pogrzebano, nawet jeśli na ratunek będzie już za późno.

Bjartur po raz kolejny dał dowód, że potrafi chyba czytać w myślach.

– Pozbyłem się jej wieki temu. Pamiętasz, jak ją pożyczyłem, udając, że muszę zadzwonić do ojca? Wyjąłem z niej wtedy baterie.

– Jest jeszcze moje auto.

– To trochę trudniejsze, fakt, ale jego też się jakoś pozbędę. Zepchnę z klifu do morza i potem wrócę do miasta pieszo. Tak czy inaczej, nikogo nie będzie interesowało, co robiłem, bo w tej sprawie nie występowałem jako podejrzany. Nie obawiaj się, pozbędę się go.

I znów zabrał się do zasypywania jej ziemią.

Zaletą ciemności jest to, że nie rzuca cienia.

Hulda zamknęła oczy.

Postanowiła, że nie będzie dłużej walczyć. Podda się.

Duszące uczucie klaustrofobii było straszne, ale o dziwo, kiedy już się pogodziła z nieuniknionym, ze świadomością, że nikt nie przybędzie jej z ratunkiem, że to ostatnie chwile jej życia, zalała ją fala spokoju. Nie będzie musiała znosić upokarzających oskarżeń o naruszenie etyki zawodowej. Po jej śmierci Magnús odstąpi od zarzutów, była o tym przekonana. Jej myśli popłynęły do Pétura. Będzie na nią czekał. Może nawet będzie próbował się do niej dodzwonić. I będzie musiał czekać wiecznie.

Jej twarz była prawie w całości zasypana ziemią.

Ponad wszystko śmierć oznaczała litościwą obietnicę ucieczki: koniec koszmarów. Od dawna upragnione odpuszczenie. Spokój. Przez ostatnie dwadzieścia lat, jak nie więcej, Hulda próbowała odpokutować swoją winę tak straszliwie ciężącą jej na duszy, okazując wyrozumiałość i współczucie winowajcom. Niekiedy prowadziło ją to do przekraczania granic, jak w przypadku Emmy. Ta kobieta popełniła zbrodnię, wjechała samochodem w pedofila, ale Hulda rozumiała ją aż za dobrze.

Nie wiedziała, ile czasu jej zostało. Możliwe, że tylko kilka krótkich sekund.

W tej chwili niemalże żałowała, że nie wierzy w żadną siłę wyższą. W dzieciństwie regularnie chodziła do kościoła z dziadkami, ale później, po śmierci córki, utraciła resztki wiary.

Jej myśli znów powędrowały do Jóna i Dimmy.

Kiedyś nikogo nie kochała tak bardzo jak męża i córki. Ale kiedy

odkryła, że Jón poddawał Dimmę nieopisanemu okrucieństwu, jej miłość zamieniła się w nienawiść. Za jednym zamachem straciła ich oboje: Dimma odebrała sobie życie, Jón zamienił się w potwora. Jej nienawiść rosła, każdego dnia stawiała się coraz silniejsza, pęczniąc, przeobrażając się w olbrzymią niekontrolowaną furję. To, co Jón zrobił, było niewybaczalne, a jednak żył on, a nie Dimma. Za każdym razem, gdy go widziała, Hulda myślała o córce. Dimma nie żyła, Hulda ją zawiódła, a mimo to jej serce przepęłniała miłość macierzyńska większa nawet niż wtedy, gdy córka żyła.

Musiała usunąć Jóna ze swojego życia. Ale sam rozwód to byłoby za mało, zresztą nie chciała narażać całej rodziny na publiczne pranie brudów, zwłaszcza że chodziło o nadużycia seksualne. To w ogóle nie wchodziło w rachubę. Nie, ona chciała zachować pozory, tak żeby wyglądało, że wszystko jest w porządku, ale Jón musiał odejść i musiał zapłacić za swoje obrzydliwe zbrodnie.

Ostatecznie okazało się to bardzo proste.

Jón miał chore serce, ale przy odpowiednim leczeniu mógłby dożyć późnej starości.

Hulda podmieniła mu tabletki na bezużyteczne, a potem czekała, mając nadzieję, że podmiana przyniesie jakiś skutek, że Jón – pewnego pięknego dnia – po prostu zaśnie i już się nie obudzi.

Naturalnie wiedziała, że to, co robi, jest złe. A nawet nie tylko złe, ale też że to po prostu morderstwo. Odpychała jednak od siebie te uczucia, skupiając się na tym, co miała pod ręką, na pozbyciu się Jóna. Licząc, że może wtedy zyska trochę spokoju. Pragnienie wymierzenia sprawiedliwości było niewyobrażalnie silne; musiała pomścić śmierć córki. No i, poza tym, nie była w stanie znieść myśli, że Jón mógłby tak sobie dalej żyć, zupełnie jak gdyby nigdy nic.

Po wymyśleniu tego planu ani razu nie naszły jej żadne wątpliwości. Te pojawiły się później, o wiele za późno.

W końcu miała dość czekania. Któregoś dnia wróciła do domu na

lunch, wiedząc, że Jón tam będzie. Z rozmysłem wdała się z nim w kłótnię i bezlitośnie ją przedłużała, aż doprowadziła Jóna do takiego stanu, że dostał zawału.

Padł na podłogę w salonie, nie mógł mówić, nie mógł krzyczeć, wciąż jednak żył. Patrzył na nią błagalnym wzrokiem. Nie mógł wiedzieć, co zrobiła, a ona nie czuła potrzeby cegokolwiek mu wyjaśniać. Stała tam tylko i patrzyła, jak umiera, myśląc o Dimmie. Nie czuła nic, ani żalu, ani radości. A potem wreszcie umarł i pojawiło się uczucie ulgi, że w końcu jest po wszystkim.

Wiedziała, że wreszcie może ruszyć z miejsca. Oczywiście rozumiała, że już nigdy nie będzie normalnie, ale przynajmniej zrobiła to, co musiała.

Zabiła człowieka, który popełnił zbrodnię gorszą niż morderstwo.

Zostawiła go na podłodze i poszła do pracy.

Później, po powrocie do domu, „znalazła” jego zwłoki i wezwała pogotowie. I to było wszystko.

Mężczyzna z chorym sercem zmarł przedwcześnie. Nic w tym niezwykłego. Niedużo wcześniej jego córka popełniła samobójstwo; to okazało się ogromnym stresem. Nie było nawet cienia podejrzeń w kwestii prawdziwych powodów, przez które Dimma się zabiła, a już tym bardziej nikt nie widział nic nienaturalnego w śmierci Jóna. Wszyscy współczuli żonie, która w dodatku była policjantką. Naturalnie nie było też żadnego dochodzenia, Huldzie wszystko się upiekło, tyle że od tamtej pory nie było nocy, żeby Jón nie nawiedzał jej w snach. Popełniła morderstwo i uszło jej to na sucho, odkryła jednak, że nie jest w stanie żyć z tym faktem.

Może więc to słuszna kara, pomyślała, że jej życie zakończy się w tak okrutny sposób.

Próbowała nie poddawać się panice, chociaż już się dusiła, ziemia zatykała jej nos i usta. Czekwała na nieuniknione, myśląc o córce. Zresztą zawsze o niej myślała, tak naprawdę Dimma nigdy nie

opuszczała jej myśli, tyle że teraz bardzo wyraźnie widziała jej twarz i zalewała ją bezgraniczna miłość zmieszana ze straszliwym poczuciem winy.

Dimma...

Bjartur chyba przestał zrzucać na nią ziemię. Może odpoczywał. A może wypowiedziała imię córki na głos i to go na chwilę zdekoncentrowało.

Potem znowu sięgnął po łopatę.

Ptaki śpiewały.

Nie wiedziały, że jest noc.

EPILOG

To ogromna satysfakcja widzieć, że tak wielu was się tu zebrało w ten piękny dzień, żeby złożyć ostatni hołd Huldzie Hermannsdóttir – powiedział ksiądz. – Naturalnie, to nie jest zwyczajny pogrzeb, ponieważ wszyscy mamy świadomość, że Hulda jeszcze się nie odnalazła. Modlimy się całym sercem, aby się okazało, że Hulda żyje, że nadal jest wśród nas, że tylko po prostu odeszła z powodów osobistych. Tak więc może powinniśmy potraktować tę uroczystość bardziej jako okazję do uczczenia jej życia, choć oczywiście z wielu względów jest to smutny moment. Nikt z tutaj obecnych nie wie, co się wydarzyło w ostatnim dniu pracy Huldy ani dlaczego zniknęła bez śladu akurat przed przejściem na długą i szczęśliwą emeryturę, nagrodę za te wszystkie lata oddanej służby w policji. Jest rzeczą oczywistą, że nie wszyscy witają ten etap życia z zadowoleniem: niektórzy obawiają się tego dnia, inni nie mogą się go doczekać. Nie wiemy, jakie uczucia towarzyszyły Huldzie w związku z jej przejściem na emeryturę ani o czym myślała tego ostatniego dnia. Nie wiemy również, gdzie jest teraz jej ciało, ale jednego możemy być pewni, a mianowicie, że Hulda spoczywa w pokoju tam, gdzie jest, pogodzona z Bogiem i z bliźnimi. Hulda była doświadczoną policjantką, szybko uzyskiwała coraz wyższe stopnie, szacunkiem darzyli ją zarówno młodszy, jak i starsi koledzy. Przez większą część swojej kariery zajmowała się poważnymi przestępstwami, jej celem było zapewnienie spokoju i bezpieczeństwa naszym obywatelom. W ostatnich latach brała udział w wielu dochodzeniach o najwyższym priorytecie, często stojąc na ich czele, w innych przypadkach pracując za kulisami, unikając światła jupiterów z charakterystyczną dla niej skromnością.

Wielu kolegów Huldy wykroczyło daleko poza zakres swoich obowiązków, poszukując jej tej wiosny, pomimo zupełnego braku wskazówek co do okoliczności i miejsca jej zaginięcia. Wiem, że Hulda byłaby głęboko poruszona ich bezinteresownymi i wielkodusznymi wysiłkami, będącymi świadectwem tego, że jej koledzy ogromnie ją szanowali i byli jej bardzo oddani. Jej przyjaciele nie rezygnowali z poszukiwań do ostatnich chwil. Najwięcej czasu spędzili na przeszukiwaniu terenów podgórskich, tam, gdzie Hulda, można by tak powiedzieć, czuła się jak w domu. Jak zapewne wszyscy wiecie, jej największą pasją były wycieczki górskie: mówiąc jej własnymi słowami, była prawdziwą kozicą. Utraciłem rachubę szczytów, które zdobyła – sama prawdopodobnie też ją utraciła. Wyobraźmy ją sobie zatem, jak w przededniu przejścia w stan spoczynku dla uczczenia tej okazji wspina się na swoją ulubioną górę, wybiera się w podróż, która okazała się jej ostatnią. I niech pociechę przyniesie nam myśl, że teraz spoczywa w samym sercu islandzkiej głuszy, którą tak kochała.

Z powodu trudnej sytuacji rodzinnej pierwsze dwa lata swojego życia Hulda spędziła w domu dziecka. Takie rzeczy nie były niczym niezwykłym w tamtych czasach, a Hulda pozostawała pod dobrą opieką oddanego personelu. W wieku dwóch lat zamieszkała z matką, a później wraz z nią u dziadków od strony matki. Wszyscy razem tworzyli jedną wielką kochającą się rodzinę, Hulda była zawsze bardzo związana z matką, dziadkiem i babką. To szczęśliwe, pełne miłości dzieciństwo przysłużyło się jej w późniejszym życiu: miała otwarte i pogodne usposobienie, była bezkonfliktowa. Hulda nigdy nie poznała swojego ojca, który był Amerykaninem.

Ale w jej sercu ponad innymi najważniejsze miejsce zajmowały dwie konkretne osoby. Jedną był jej mąż Jón, którego poznała w młodości i za którego wyszła po bardzo krótkim okresie znajomości. Szczęśliwa decyzja! Opisywano ich jako prawdziwe pokrewne

dusze. Hulda i Jón trwali razem w szczęściu i w niedoli, mieli wiele wspólnych zainteresowań, dopełniali się, jak na dobrą parę małżeńską przystało. Znajomi zaświadcniają, że nigdy się nie kłócili. Zamieszkali razem na wybrzeżu w Álftanes, wtedy jeszcze terenach wiejskich, i być może to tam zrodziła się miłość Huldy do islandzkiej przyrody.

To również tam urodziło się ich oczko w głowie, córka Dimma. Dimma była lubiana w szkole, była też wzorową uczennicą, małą dziewczynką z wielkim potencjałem, tak więc nic dziwnego, że Hulda i Jón byli z niej ogromnie dumni. Dlatego jej tragiczna śmierć w tak młodym, nastoletnim wieku była tym większym ciosem dla jej rodziców. Radzili sobie z tym ze stoicyzmem i odwagą, nierozłączni jak zawsze, bez wątpienia czerpiąc pociechę jedno od drugiego. Nadal mieszkali w Álftanes i po jakimś czasie oboje powrócili do pracy: Hulda w policji, Jón w inwestycjach. Dwa lata później Hulda straciła również Jóna, miłość jej życia. Kilka lat wcześniej stwierdzono u niego chorobę serca, nikt jednak się nie spodziewał, że umrze tak młodo. Po raz kolejny Hulda musiała się zmierzyć z ogromnym szokiem i odpowiedziała na to niezwykle dzielnie, stanęła na nogi, by dalej walczyć z życiem i dawać z siebie wszystko w jej jakże wymagającym zawodzie.

Hulda nigdy nie zapomniała o Jónie i Dimmie. I jak wiemy, pozostała wierna chrześcijańskiej wierze w przekonaniu, że w przyszłym życiu połączy się z najbliższymi. Dla nas, którym tak bardzo brakuje Huldy, pocieszeniem powinna być świadomość, że Hulda odpoczywa teraz w objęciach ramion Jóna i Dimmy, których kochała ponad wszystko.

Panie, pobłogosław pamięci Huldy Hermannsdóttir.

PODZIĘKOWANIA

Szczególne podziękowania należą się Haukurowi Eggertssonowi za rady na temat wypraw w góry i w głąb kraju oraz prokurator Huldzie Marí Stefánsdóttir za pomoc w kwestii procedur policyjnych.